

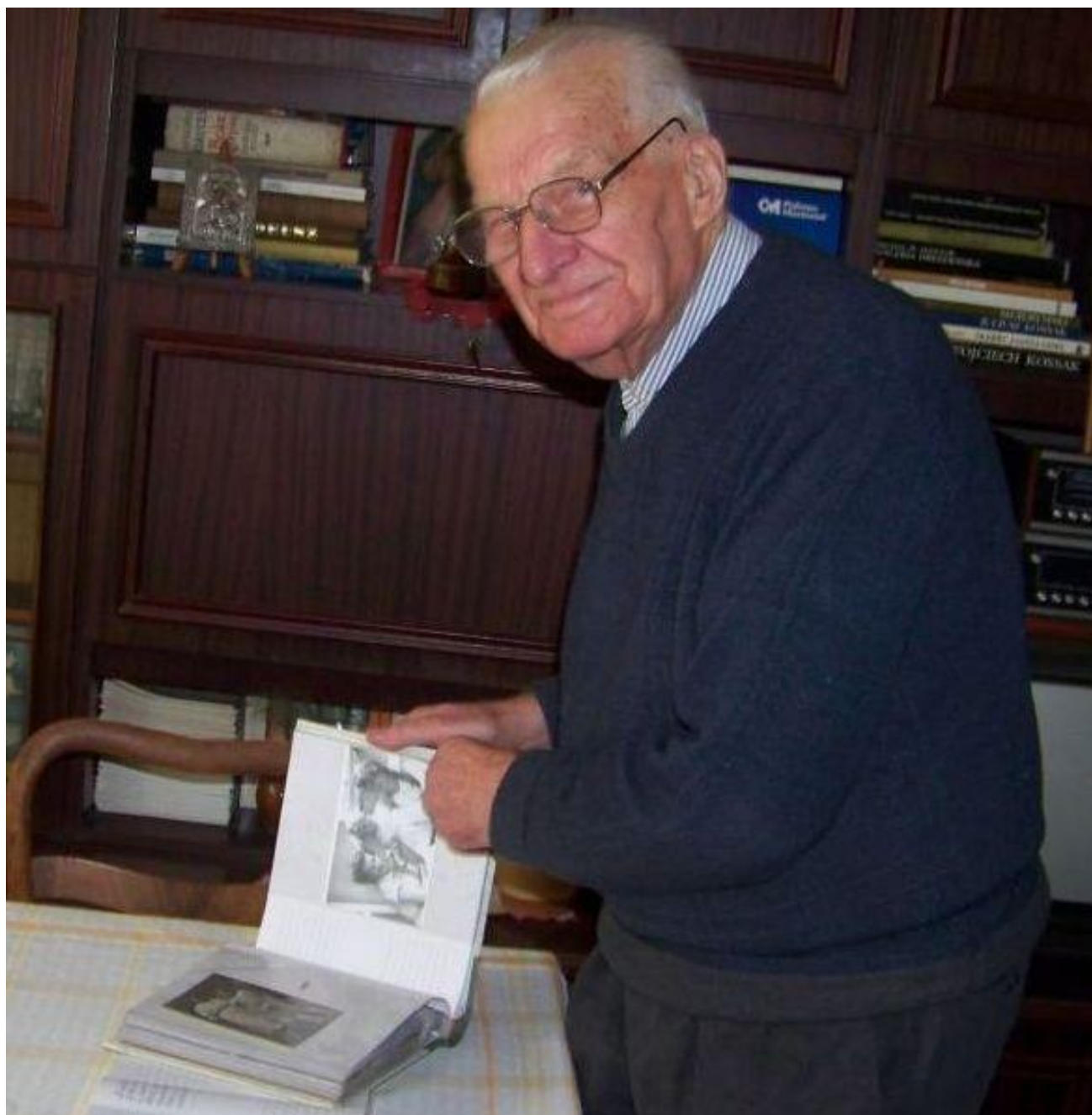
# Wspomnienia

**Nikodem Nowakowski**



**Warszawa 2010**

# WSPOMNIENIA



**Warszawa 2008. Nikodem Nowakowski pokazuje zdjęcia rodzinne.**

## KUJAWY



Tematem tej części opowiadania jest życie, jakie toczyło się na kujawskiej wsi w latach dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku wśród mieszkańców, a także w rodzinie, również w latach następnych.

Kolebką naszej rodziny jest wioska Milżyn położona przy szosie prowadzącej z miasteczka Lubraniec w powiecie włocławskim do miasteczka Izbica. Odległość z Milżyna do Lubrańca wynosi około pięciu kilometrów, natomiast do Izbicy niespełna osiem kilometrów. Wioska ta nie stanowiła zwartego osiedla. Na około czterdzieści zamieszkujących tu rodzin, tylko jedenaście mieszkało w większym skupieniu, w pobliżu niewielkiej sadzawki. Zagrody pozostałych mieszkańców rozsiane były zarówno wzdłuż przebiegającej szosy, jak i w głąb, przeważnie po zachodniej jej stronie. Tylko osiem domów mieszkalnych było murowanych z cegły i krytych dachówką lub papą, natomiast pozostałe, były to lepianki kryte słomą.

Osobliwością wioski Milżyn była sosna rosnąca przy drodze prowadzącej do Zgłowiączki, wsi z kościołem parafialnym pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny, nazywanej Matką Boską Siewną. Sosna ta miała u dołu ponad metr średnicy i górowała nad całą okolicą. Popularnie nazywano ją Chujką. Podobna sosna rosła również w sąsiedniej wsi Sosnowa Wola. Według opowiadania mojego ojca, opartego na opowiadaniach jego dziadka Kazimierza Pińskiego, sosny te, to pozostałość olbrzymich borów rosnących w przeszłości w tej okolicy. W borach tych było mnóstwo wilków, które napadały zarówno na zwierzęta, jak i na ludzi. I tak na idącego o zmroku ubranego w długi kozuch chłopca wskoczył z tyłu wilk łapami na ramiona. Chłop ten chwycił wilka za łapy i przeciągnął mocno do dołu tak, że pysk wilka był unieruchomiony. Jednak tylnymi łapami wydarł dziury zarówno w kozuchu, jak i w ciele chłopca. Zdążył on jednak wejść do karczmy, gdzie wilk został zabity, ale i chłop ten nie przeżył. Lepiej powiodło się koniowi, który pasł się na łące ze związanymi powrozem przednimi nogami. Tu do skradającego się wilka, pierwszy zaatakował koń i powrozem od nóg trafił mu na kark. Przyduszając w ten sposób pysk wilka do ziemi, koń bezpiecznie zdierał zębami z niego skórę, i tak wilk pozostał już na łące.

Przy szosie, gdzie krzyżują się drogi w Milżynie, stał jeszcze na początku lat dwudziestych, chylący się do upadku duży drewniany krzyż z wizerunkiem Chrystusa ukrzyżowanego. Aby zapobiec jego upadkowi, mieszkańcy tej wioski postawili w jego miejsce własnym kosztem okazałą figurę z czerwonej cegły. Każdego roku w miesiącu maju o zmroku, zbierali się przy tej figurze mieszkańcy okolicznych wiosek i śpiewali najpierw litanię, a po niej pieśni do Matki Bożej.

Niedaleko za miedzą oddzielającą od strony wschodniej pola mieszkańców Milżyna od pól majątku Siemnowek, stała górująca nad okolicą suszarnia cykorii. Każdego roku, późną jesienią unosiły się z niej potężne kłęby dymu, a jeszcze większe pary. Za miedzą naszej kilkumorgowej działki, zwanej pastwiskiem, rósł niewielki las sosnowy, w którym pod jesień pojawiały się, co roku różne gatunki grzybów. Chodziliśmy tam szczególnie po muchomory, aby karmić nimi i w ten sposób tępić muchy, których nigdy do końca nie można było się pozbyć.

Ludność wioski Milżyn to rolnicy, ale niektórzy mieszkańcy znali i wykonywali również inne zawody i prace wymagające odpowiednich kwalifikacji. I tak:

- macocha ojca (moja babcia), Wiktoria Nowakowska, przędła na napędzanym nogą kołowrotku z lnu nici na odzież oraz na sznurek do wyrabiania sieci na ryby,
- ojciec mój był młynarzem wiatracznym, pszczelarzem, a także wyrabiał sieci na ryby narzędziami własnej produkcji,
- Kobus był kowalem,
- Kustosik był szewcem,
- Grabowski był stolarzem,
- Lewandowski i Płaczekiewicz byli strycharzami (formowali glinę na cegły),
- Laskowski był murarzem i zdunem,
- bracia Stawiccy byli pilarzami (piłowali ręcznie kłody na deski),
- Ignaczewski grał na klarncie i na flecie.

Zarówno w naszej wiosce jak i wioskach na terenie całych Kujaw, miejscowa ludność mówiła kujawską gwarą. Dla przykładu podaję niektóre wyrazy w tej gwarze, użyte w zdaniach:

- przyniesłam mliko na śniodanie, to i na łobiot tyż bydom zocirki, bo dziecioki nie lubiom skworków ani w boszczu, ani w rzodkich kartofli (zupa kartoflana), ani z prażuchy (gotowane ziemniaki pomięte razem z mąką),
- jo ni mom grzychu bo nie godom paskudnie jak łuni,
- łun miół łośle łuszy, a łuna czorne jak diabol łoczy i sukniom do samy zimi,
- mielim sioć pszynice, ale grot zaczun bić i musielim zmykać na podwyrko.

A oto niektóre wyrazy w tej gwarze z tłumaczeniem:

- dryl- siewnik
- jaczka- kaftan
- kieca- jałówka
- kiecka- suknia, spódnica
- kierda- knur
- kapłun- zupa: kawałki chleba zalane wrzącą wodą i olejem
- Nizin - Milżyn
- pantówki- ziemniaki (tak mówili tylko najstarsi)
- pomycny- wścibski
- posiasny- przydatny, pasujący
- przekacnąć się- przespać się
- pućka- sowa,
- szczyny- mocz,
- sotrzy-potrzy- zarozumialec, bufon
- żydek- scyzoryk.

Niektórzy mieszkańcy Milżyna byli analfabetami. Zamiast podpisu stawiali trzy krzyżyki. Byli również też tacy mężczyźni, którzy po podpisaniu się, stalówkę wycierali o włosy na głowie.

Ludność naszej wioski wyznawała wiarę katolicką. Nie można było powiedzieć, że ktoś z mieszkańców nie chciał chodzić do kościoła. W każdą niedzielę i święto, na drodze prowadzącej do kościoła, można było widzieć gromady ludzi wracających z nabożeństwa. Do kościoła nie chodzili tylko ci, co nie mieli świątecznych ubrań, albo butów, albo jednego i drugiego, co widać było zwłaszcza u dzieci. Niektórzy z tych, co szli do kościoła, buty zakładali dopiero pod parkanem cmentarza kościelnego, aby na dłużej starczyły. Podobnie, z powrotem wracali boso.

W okresie między Nowym Rokiem, a Wielkim Postem odbywała się kolęda, to jest odwiedzenie przez księdza swoich parafian. Na to spotkanie przygotowany był stół z białym obrusem, na którym stał krzyż z wizerunkiem Chrystusa, dwie świece i kropicidło obok naczynia z wodą święconą. Przed księdzem, do mieszkania pierwszy wchodził ministrant śpiewając kolędę. Przy palących się świecach odmawiano wspólnie modlitwę, a następnie ksiądz wodą święconą poświęcał obecnych i mieszkanie. Rozmowa księdza z obecnymi w spotkaniu członkami rodziny, kończyła się wręczeniem przez księdza obrazków świętych, a głowa rodziny odwzajemniała się przekazaniem księdzu kopertę z banknotem na potrzeby kościoła.

Szóstego stycznia w święto Objawienia Pańskiego, inaczej Trzech Króli, w kościele poświęcano kredę oraz suszone zioła. Kredą oznaczano się drzwi wejściowe do mieszkania pierwszymi literami nazwisk monarchów, którzy złożyli pokłony Dzieciątku Jezus: G.M.B.- Gaspar, Melchior, Baltazar oraz aktualnie rozpoczęty rok, licząc od narodzenia Chrystusa. Obecnie w miejsce litery G., wpisuje się literę K.- Kacper. Zioła można było użyć w mieszkaniu, jako kadzidło.

Drugiego lutego w Święto Ofiarowania Pańskiego, inaczej Matki Boskiej Gromnicznej, w kościele podczas nabożeństwa, poświęcano świece nazywane gromnicami. Zapalano je w domach, gdy na dworze szalała burza z piorunami. Gromnicę podawano także w rękę konającemu z równoczesnym odmawianiem modlitw w jego intencji przez osoby obecne. Przy każdym zmarłym, wyłączając małe dzieci, zbierali się znajomi w każdy wieczór przed dniem pogrzebu, na tak zwaną pustą noc, to jest na śpiew pieśni religijnych w intencji osoby zmarłej.

We wtorek, ostatniego dnia karnawału, czyli w ostatki, chodziła po wsi od popołudniowych godzin koza w towarzystwie śmierci z kosą, diabła z widłami, Heroda, Żyda, niedźwiedzia, konia i bociana. Odwiedzali oni kolejno wszystkie domy ze swoim programem satyrycznym, za co otrzymywali datki pieniężne albo pączki.

Następnym dniem po ostatkach jest pierwszy dzień Wielkiego Postu, czyli Środa Popielcowa. W kościołach kapłani posypywali głowy wiernych popiołem ze słowami: z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Każdego roku w czasie Wielkiego Postu prowadzone były w kościołach rekolekcje wielkopostne przygotowujące do odbycia spowiedzi wielkanocnej. W tym okresie odbywały się też popołudniowe nabożeństwa poświęcone rozmyślaniom o Męce Pańskiej: w piątki, z wyjątkiem Wielkiego Piątku, w czasie Drogi Krzyżowej oraz w niedziele w czasie Gorzkich Żali.

Przed Wielkanocą, już na początku Wielkiego Tygodnia, zawsze było słyhać we wsi huk wzniecane przez chłopców od małego do dużego. Huk powstawał po przybiciu kanflorku (sporządzanego z mieszanki soli Bertolta z siarką) w moździerz, albo gałkę w szmatce, kamieniem na kamieniu. Nierzadkie były przypadki, że psy przestraszone hukami zrywały się z łańcuchów i uciekały jak najdalej. Tak było i z Azorem mojej babci.

W kościele w Wielki Piątek od chwili przeniesienia Najświętszego Sakramentu z tabernakulum w ołtarzu do grobu, strażacy zaciągali przy grobie wartę. Stali po dwóch stronach w hełmach z toporami przy ramieniu i tak warta trwała ze zmianami do procesji rezurekcyjnej w wielkanocny poranek. Zgodnie z tradycją, w Wielką Sobotę poświęcano pokarmy, a w tym przekrojone jajko do podzielenia się nim przy składaniu życzeń w Wielkanoc przed śniadaniem. Skorupkę tego jajka, jako poświęconą, spalano później w ogniu. Święcenie pokarmów odbywało się przeważnie w kościele, ale i w naszym domu pokarmy również sąsiadów były poświęcone. W kościele, w Wielką Sobotę, poświęcano też ciernie oraz wodę, którą wierni nalewali do butelek dla własnego użytku. Ciernie zabierano na korony do obrazów Chrystusa.

Uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego rozpoczynały się w kościele o świcie procesją z Najświętszym Sakramentem w monstrancji zabranej z grobu. „Wesoły Dziś Dzień Nam Nastal”, to pieśń śpiewana i na przemian przez orkiestrę grana w czasie procesji obchodzącej trzykrotnie dookoła kościoła. Również, przez cały czas procesji były dzwony, a dziewczynki w bieli sypały przed monstrancją kwiatki. W czasie procesji trwała prawdziwa kanonada huku na zewnątrz cmentarza kościelnego. To ustawieni w rzędy przy parkanie chłopcy, jeden po drugim strzelali z kanflorku, jak na komendę.

Drugi dzień wielkanocny, to popularny dyngus, czyli oblewanie się wodą. Szczególnie drugi dzień dyngusu, w którym prawo do polewania należy do żeńskiej części ludności był bardziej



emocjonujący. A oto przykłady. W majątku Świerczyn nad jeziorem, szły kobiety z wiadrami wody do napojenia krów i spotkały idącego mężczyznę. Od razu ruszyły w jego kierunku, a on uciekał w stronę jeziora i w końcu wbiegł do wody. Nie darowały. Z pobliskiego spichlerza przyniosły szufle od zboża i lały wodę na niego. Po tej kąpeli mężczyzna zmarł. Inny mężczyzna mieszkający w wiosce, widząc wchodzące na podwórko kobiety z wiadrami wody, wpadł do spichlerza i zamknął się. Kobiety widząc w murze okienko przyniosły ze stodoły lodę (koryto, przez które podaje się słomę lub siano do pocięcia przez sieczkarnię) i tą drogą lały wodę dopóki mężczyzna nie uciekł w pole, już dobrze po drodze oblany. Inaczej poradził sobie w innej wsi stary kawaler Kostek. Kobiety z wiadrami weszły do izby, w której Kostek jeszcze spał. Zbudzony, prosił, aby pozwoliły mu wyjść z łóżka dla uniknięcia zalania pościeli, na co one się zgodziły. Kostek szybko ściągnął pod pierzyną bieliznę, wyskoczył nagi z łóżka i zawołał, - tero możeta łoć. Przestraszone widokiem kobiety uciekły. Był również i inny zwyczaj polewania. Do rodziny, gdzie była panienka na wydaniu, przychodzili chłopcy odświętnie ubrani z buteleczką pachnącej wody i przy powitaniu polewali rączkę. Biedniejsi robili to zwykłą wodą. Gospodarze wtedy zapraszali do stołu na poczęstunek z mocniejszym napojem.

Uroczystość Zesłania Ducha Świętego, popularnie nazywana Zielone Świątki, obchodzona była nie tylko w kościele. Mieszkania, domy, płoty, a nawet dachy dekorowane były tatarakiem i inną zielenią. Nierzadko też i ścieżki prowadzące do domów posypywano białym piaskiem w desenie. Również i na stołach z ciastami, wśród których dominowały rogaliki, więcej było zieleni dla ozdoby niż w zwykłą niedzielę.

Podobnie jak w całym kraju, również na Kujawach, bardzo uroczysto obchodzone było święto Bożego Ciała. W ustalonych z góry czterech odpowiednich miejscach ubierano kwiatami i zielenią ołtarze. Przy każdym ołtarzu odczytywany był fragment Ewangelii każdego z czterech ewangelistów. Procesja z Najświętszym Sakramentem pod baldachimem rozpoczynała się i kończyła się w kościele. W drodze śpiewane i na przemian przez orkiestrę grane były pieśni eucharystyczne, a dziewczynki w bieli sypały kwiatki. W procesji brała również udział straż pożarna, jeżeli na terenie parafii istniała. Uroczystość Bożego Ciała obchodzono w czwartek po uroczystości Trójcy Świętej przypadającej w pierwszą niedzielę po Zesłaniu Ducha Świętego. W następny czwartek po święcie Bożego Ciała, to jest na zakończenie oktawy tego święta, odprawiano w kościele ostatni nieszpór również z procesją na zewnątrz kościoła. W czasie tej uroczystości poświęcano wianki z różnych pachnących ziół. Wianków było osiem tyle ile jest dni w oktawie.

Piętnastego sierpnia w uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, popularnie nazywanej Matką Boską Zielną, poświęcano w kościołach bukiety wykonane z drobnych owoców, kłosów i ziół, jako wotum za zebrane plony. O zbieraniu plonów z pól, pamiętał również organista kościelny, który angażował parafian z koniem i wozem, jeździł po wioskach i zbierał od rolników 'snopkowe' to jest zboże w snopkach, przeważnie bezpośrednio z pól.

Każda świątynia katolicka ma swego patrona. Kalendarzowy dzień tego patrona jest równocześnie dniem odpustu w parafii. Dzień odpustu w parafii Zgłowiączka przypada na ósмого września, w Święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, popularnie nazywane świętem Matki Boskiej Siewnej. Naturalnym zjawiskiem była zwiększona ilość ludzi biorących udział w mszach świętych odpustowych, odprawianych w tym dniu. W odpust do kościoła przychodziło więcej parafian, niż w inne dni świąteczne, a także przychodzili ludzie z innych parafii.

Odpust na Kujawach jest tradycyjnym dniem goszczenia krewnych, a nawet znajomych. Z tej frekwencji korzystali ludzie szukający zarobku i dlatego też wokół parkanu cmentarza kościelnego, zawsze stały jeden przy drugim stragany i stoły pełne cukierków, zabawek i innych drobiazgów przyciągających oczy. Była też katarynka z morską świnką, lub papugą wyciągającą losy, karuzela, strzelnica i inne atrakcje. Również strażacy w mundurach byli widoczni na odpuscie. Chodzili na zewnątrz cmentarza kościelnego w towarzystwie panienek, które przypinały ludziom do ubrań 'kwiatek' to jest karteczkę z pieczętką straży. W ten sposób kwestowali oni z puszką na potrzeby straży.

Pierwszego listopada w Święto Wszystkich Świętych, a także w następny Dzień Zaduszny odbywały się na cmentarzach procesje żałobne prowadzone przez księdza z danej parafii

opiekującego się cmentarzem. W czasie procesji odczytywano nazwiska osób zmarłych tzw. wypominki, za których odmawiano modlitwy. Śpiewano również pieśni za zmarłych, a groby poświęcano wodą święconą. Przed tymi świętami, groby zarówno na cmentarzach, jak i miejsca upamiętniające poległych i pomordowanych obrońców ojczyzny były gruntownie porządkowane i zdobione kwiatami przy palących się zniczach.

Przed Bożym Narodzeniem już od początku adwentu, organista w towarzystwie chłopca z koszykiem zanosił dla mieszkańców wioski opłatki do dzielenia się przy stole wigilijnym. Koszyk noszony przez chłopca służył do noszenia jajek wkładanych przez gospodynie za otrzymane opłatki. W niektórych szkołach, z inicjatywy nauczycielek, uczono przed Bożym Narodzeniem śpiewu kolęd na lekcjach śpiewu, a na lekcjach robót ręcznych przygotowywano ozdoby na choinkę. Odbywały się też próby dzieci mających wystąpić w jasełkach. Śpiewy kolęd w szkole przy choince, a także przedstawienia jasełek o narodzeniu Chrystusa dla rodziców dzieci uczęszczających do szkoły odbywały się po Nowym Roku. W kościele śpiew kolęd rozpoczynał się na nabożeństwie zwanym pasterką, odprowadzającym w wigilię Bożego Narodzenia o północy z 24 na 25 grudnia. Kolędy śpiewano do święta Ofiarowania Pańskiego, czyli do drugiego lutego.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, w uroczystość świętego Szczepana, poświęcane było w kościołach ziarno owsa. Obrzęd ten miał przypominać śmierć św. Szczepana przez ukamienowanie i dlatego z chwilą poświęcenia następowało w kościele wzajemne obrzucanie się ziarnem po głowie, nie wyłączając twarzy. Po zakończeniu nabożeństwa, podłoga w kościele pokryta była całkowicie nie tylko owsem, ale i twardym zbożem, a nawet i kamyczkami. Akcja ta przeważnie kończyła się dopiero na cmentarzu kościelnym.

Kultura mieszkańców wsi kujawskiej kształtowała się w zasadzie tylko na tradycji przekazywanej z pokolenia na pokolenie. I tak na przykład w rozmowie między rzemieślnikiem używano zwrotu stryj. Oprócz księży w parafiach, używających w tamtym okresie czasu do sprawowania obrzędów w kościele tylko łaciny oraz nauczycieli wiejskich szkół państwowych, we wsiach nie było ludzi wykształconych. W prawdzie niektórzy ziemianie mieszkający na wsiach byli wykształceni, na co wskazywały noszone przez nich oficerskie mundury, żyli oni jednak w izolacji od reszty wsi, bo i ich dzieci miały swoich nauczycieli. Nie mniej w powiecie nieszawskim znalazł się swoisty wyjątek, bo jeden z dziedziców (popularna nazwa ziemianina) zgłosił się na członka kółka rolniczego istniejącego w sąsiedniej wsi. Oczywiście wybrano go natychmiast na prezesa tego kółka. Po pewnym czasie zaistniała konieczność załatwienia pilnej sprawy wymagającej uzgodnienia i akceptacji prezesa kółka. W tym celu, sekretarz kółka udał się w niedzielę rano do siedziby prezesa oddalonej o kilka kilometrów i tam potrzebę rozmowy zgłosił lokajowi, który poszedł zameldować gościa. Po chwili wrócił on z karteczką i ołówkiem w ręku i oznajmił, że pan dziedzic życzy sobie, aby sekretarz napisał, o co chodzi, bo pan dziedzic jest jeszcze w łóżku. Sekretarz nie miał wyboru i napisał. Lokaj kartkę zaniósł i po pewnym czasie przyniósł od dziedzica dla sekretarza inną kartkę. Sekretarz z tą kartką wrócił do domu. Na najbliższym zebraniu członków kółka rolniczego z udziałem prezesa, sekretarz przedstawił sposób potraktowania go przez pana prezesa i zakończył przysłowiem, „Kto łączy się z dworem ten zapłaci dupą, albo worem”.

Antypatia, wręcz nienawiść do ziemian ze strony ludności mieszkającej na wsiach i pracujących sezonowo w ich majątkach, wypływała nie tylko ze złego traktowania ich, ale również, a może przede wszystkim, ze względu na wykorzystywanie ich pracy za niską zapłatę. I tak za przepracowaną od wschodu do zachodu słońca dniówkę najemnicy dostawali jeden złoty zapłaty, co równało się cenie jednego kilograma cukru. Stali pracownicy majątków ziemskich byli w pewnym stopniu zniewoleni. Musieli tytułować dzieci ziemian bez względu na ich wiek: panienka, panienko, paniczku, paniczku. Ludzie ci nie byli też spotykani w organizacjach zarówno zawodowych, jak i młodzieżowych.

Szkoły powszechnie na kujawskich wsiach mieściły się przeważnie w wynajmowanych u gospodarzy izbach mieszkalnych. W takich jednoklasowych szkołach nauka dziecka kończyła się na czwartej klasie szkoły powszechnej. Odrębne budynki szkolne na wsiach o pełnym programie nauczania siedmiu oddziałów, w tamtych czasach należały do rzadkości. Dlatego też, aby ukończyć siedmio oddziałową szkołę powszechną, trzeba było chodzić do szkoły w mieście. O wykształceniu

na poziomie średnim, młodzież wiejskim mogła tylko marzyć. Co światlejsza młodzież wiejska starała się zastąpić brak wykształcenia w szkole, zdobywaniem wiedzy w organizacjach młodzieżowych takich jak Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, Związek Młodzieży Wiejskiej Wici i Związek Młodzieży Wiejskiej Siew, przysposobienie wojskowe Strzelec, Związek Harcerstwa Polskiego, a także przez organizowanie konkursów szczególnie dotyczących uprawy roślin oraz przez czytanie gazet i książek. Niektórzy nauczyciele, zwłaszcza młodszy, szkół wiejskich zapraszali młodzież w zimowe wieczory do szkoły na doksztalające kursy oraz pogadanki na tematy aktualnie interesujące, zgłaszane przez słuchaczy. W Miłżynie był też wyświetlane w szkole filmy przez kino objazdowe.

Wszystkie te inicjatywy i wysiłki ludzi dobrej woli nie rozwiązywały podstawowego problemu, jakim była panująca w większości wsi kujawskich skrajna bieda wśród bezrolnych i małorolnych mieszkańców. Ta ciężka sytuacja nie pozwalała zajmować się niczym innym, jak staraniem o nakarmienie i ubranie rodziny. Dzieci głodne wołały o chleb nie tylko w domu, ale i u drugich dzieci, które go miały. W wielu domach zamiast cukru używano sacharynę pochodzącą z przemytu nazywaną przez cichych dostawców 'słodkie'. Słoninę i sadło wędzono w kominach, aby zaoszczędzić opał potrzebny do wędzenia w beczkach bez dna. Ta bieda widoczna była i na zewnątrz. Na dziurach w codziennych ubraniach przyszywano łąty, często jedną na drugiej. Podobnie było z butami. Na dziurach w butach od święta, szewc dawał „przyszczyпки”. Na codzień chodziło się boso, a w chłody i zimą w drewniakach (trepach).

W przedstawionej sytuacji o użytkowaniu obuwia w naszej wsi, pełne uzasadnienie znajduje przysłowie, że „szewc bez butów chodzi”. Widać było jego biedę w opowieści jak zabrał do worka płód poroniony przez krowę u gospodarza i poniósł do połowy chałupy, bo druga połowa legła w gruzach. Psa u niego nie było, ale było dwoje małych dzieci. Aby zaoszczędzić na mydle i chusteczkach kobiety wycierały nosy w codziennie noszone fartuchy, a mężczyźni w rękawy. To szczególne oszczędzanie na mydle, widać to było na brudnych rękach i bosych nogach, na ubraniach, a zwłaszcza na koszulach. Dziecko jednej panienki z sąsiedniej wsi siedzące w wózku, często cuchnęło przy zbliżaniu się do niego. Mężczyźni myli bardzo dokładnie nogi tylko przed wejściem do beczki, aby udeptać kapustę do zakwaszenia.

Ubodzy ludzie również przychodzili z zewnątrz do naszej wioski z prośbą o wsparcie. Nosili ze sobą po kilka torebek na różne gatunki mąki i kaszę. W porze posiłku prosili o jedzenie zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Nieraz kilkoro dziennie przychodziło. Jeden z tych proszących, chodzący po okolicznych wioskach miał duży brzuch. Mówili o nim ludzie, że chodzi zawsze głodny i skórę na tym brzuchu musi zakładać i ścisnąć pasem. Umówiły się gospodynie w jednej wsi i ugotowały dla niego sagan (duży żeliwny polewany garnek) kaszy, a on zjadł i poszedł do stodoły spać. Stamtąd jednak już nie wyszedł. Było podejrzenie, że kasza mogła nie być całkowicie ugotowana.

Ciężkie warunki bytowania ludności w naszej wsi, miały niewątpliwie wpływ na możliwości właściwego wykorzystywania wolnego czasu przez młodzież i dzieci zarówno w dni świąteczne, jak i w pozostałe dni i wieczory. Nie było pieniędzy na opłacenie muzykantów i dlatego zabaw tanecznych na wolnym powietrzu nie było. W istniejącej sytuacji młodzież i dzieci organizowały sobie zajęcia i rozrywkę według własnych pomysłów. Z nastaniem wiosny, gdy zaczęły krążyć w drzewach soki, chłopcy urządzali sobie granie na różnych puszczalkach, które sami robili z gładkich gałęzi rosnących wierzby. Robili też wyścigi z fajerkami pchanymi po ścieżkach za pomocą odpowiednio zakrzywionego drutu. Kulanie kręgiem po szosie pomiędzy przeciwnikami nie tylko pojedynczymi i nie tylko chłopcami, ale w niedzielę również przez dorosłych mężczyzn to częsty widok w pogodne dni lata.

Niemal w każdą niedzielę, Żydzi przejeżdżali konnymi wozami z Lubrańca do Izbicy. Przy przejeździe przez naszą wioskę, często sypały się na nich kamienie z rąk chłopców, którzy krzyčeli, że w święto się nie jeździ. Po kilku takich przywitaniach już z daleka Żyd trzymał w wyciągniętej ręce cukierka wartości jednego grosza i tak cukierkami prowadził chłopców do końca wsi. W ten sposób obie strony były zadowolone. Żydzi zapewnili sobie bezpieczeństwo, a chłopcy jedli cukierki.



Sadzawka w naszej wsi była ulubionym przez dzieci miejscem zabaw zarówno latem jak i zimą. Latem kąpanie, bo woda była czysta i nie głęboka. Zimą na lodzie była ślizgawka oraz jazda na łyżwach i sankach. Łyżwy i sanki chłopcy robili sobie sami z drewna obciąganego pod spodem grubym drutem. Zakładali łyżwę tylko na jedną nogę i przywiązywali sznurkiem. Robili też sobie chłopcy proce z rozwidlonych gałęzi, gumy ze zniszczonych dętek i kawałka miękkiej skóry. Strzelali kamykami, zdarzało się, że w szybę. Strzelali też z luków własnej produkcji. Był to wygięty w pałąk kij ściągnięty sznurkiem, a strzała była z kawałka trzciny zakończonej zaostrowym gwoździem przymocowanym nicią. Starsi chłopcy produkowali również broń palną. Służyły do tego celu kapiszony od pocisków karabinowych obcinane na zmniejszonej średnicy, a także kawałki luf lub odpowiednie rurki. Syn kowala Władek, odpowiednio zatykał jeden koniec rurki, wypiłował otworek przed zatkanym końcem i taką lufę obsadzał na drewnianą kolbę. Aby wystrzelić, wystarczyło nasypać do lufy kanflorku zmieszanego z utartym węglem drzewnym, ubić stemplem, włożyć odpowiedni pocisk, lub nasypać śrutu i przez wypiłowany otworek w lufie podpalić zapalką. Przy zabawach z bronią a zwłaszcza tą z hukiem, było zawsze dużo emocji.

Młodzież męska dużo wolnego czasu spędzała przy grze w karty i to zarówno dla zabawy, jak i dla pieniędzy. Grali w każdych możliwych warunkach i nieraz do późnej nocy przy naftowej latarni, a każde lokum było dobre: w mieszkaniu, na powietrzu, na strychu, w stodole, w szopie. Młodzi chłopcy też grali, ale w guziki. Z nastaniem cieplejszych dni po zimie ta zabawa była powszechna. Była też ona utrapieniem dla matek, które musiały przyszywać do ubranek nowe guziki w miejsce przegranych. Byli w naszej wiosce wśród mężczyzn i starszych chłopców i tacy, co nie grali i nie strzelali, ale gwizdali. Zwyczajowo gwizdali różne pieśni i piosenki zarówno rano przy wykonywaniu lżejszej pracy, jak i idąc, a nawet w czasie odpoczynku. Chłopcy gwizdali nieraz zbiorowo. Dzieci nie mając na wsi karuzeli, urządzały sobie huśtawki na drzewach lub stodole, a także jeździły wokoło na dyszlu od kieratu. Niektóre dzieci oparte uchem o słup telefoniczny chętnie nasłuchiwały grania, jakie nie raz z tego słupa dochodziło. Nikt im jednak nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tylko czasem to zjawisko występowało.

Oprócz radości z uczestnictwa w zabawach, dzieci chętnie współzawodniczyły ze sobą, aby wykazać się, że są lepsze od innych i stąd rywalizowały o pierwszeństwo we wszystkim, co było w trakcie tych zabaw dostępne. A oto dyscypliny, które dziatwa uprawiała: biegi do wyznaczonej mety, strzelanie do celu z łuku i procy, rzucanie kamieniami do celu (przeważnie w butelkę) na odległość, w górę i po wodzie licząc odbicie od wody (nazywano to 'zbijanie kaczek'), stanie na głowie z oparciem rękami na czas, chód na rękach na odległość, skoki na odległość i wzwyż, wspinaczka na drzewa na wysokość i czas, odbijanie kamyka palantem (deseczka w kształcie rakiety do tenisa) na odległość i do celu, wyścigi na łyżwach i sankach, wyścigi w pływaniu na odległość, nurkowanie na czas i odległość.

Ja też pospołu za tymi dziećmi często byłem  
i razem z nimi się bawiłem,  
ale kamieniami w Żydów nie rzucałem.  
Nieraz jednak piwa naważyłem  
i za to, zaraz od ojca zapłatę dostałem.  
Było i niesprawiedliwie, to wtedy płakałem.

O odbywającym się weselu w naszej wsi, można było się dowiedzieć ze słyszenia marszów granych przez orkiestrę na powitanie przyjeżdżających gości weselnych. Przyjeżdżali konno, przeważnie bryczkami. Zdarzało się, że znakomitszy gość przyjechał wolantem, który różnił się od bryczki tym, że tylne oparcie było jednolite i całe w czarnym kolorze. W bryczce natomiast, tylne siedzenie miało oparcie osadzone na prętach i całe było w kolorze jasnym. Ilość gości oceniano po ilości pojazdów wiozących gości na ślub do kościoła. Do ślubu narzeczeni jechali na końcu, a z kościoła małżeństwo wracało, co koń wyskoczy naprzodzie, witane marszem przez orkiestrę już z daleka. Wśród mieszkańców naszej wioski nie było pijaków i nie było również wieści o nadużywaniu alkoholu na odbywających się weselach.

W kujawskich miasteczkach takich jak Lubraniec i Izbica, jak równię innych, odbywały się targi i jarmarki w określonych dniach tygodnia, miesiącach czy kwartałach. W tych dniach rolnicy zwozili furmankami na sprzedaż to, co wyprodukowali na polu, w ogrodzie, w oborze, stajni, chlewie i kurniku, a także znaleźli w lesie. Handel odbywał się na placu targowym bezpośrednio z wozu po uzgodnionych cenach. Przy poważniejszych transakcjach, nie obyło się bez przybijania ręką w rękę podawanej, a także uzgodnionej ceny. Znacznie poważniejsze transakcje, a zwłaszcza przy udziale pośrednika kończyły się nieraz postawieniem przez stronę zadowoloną, litku, czyli oblaniem, w najbliższym lokalu gastronomicznym lub z kieszeni wyjętą butelką z wódką.

Z drugiej strony na targi i jarmarki przywożone były towary przemysłowe, a zwłaszcza ubrania i obuwie. Wszystko to sprzedawane było na wydzielonym placu z ustawionych rzędami stołów i straganów. Sprzedawcami przeważnie byli Żydzi, którzy podawali nieraz cenę towaru dwukrotnie wyższą od ceny, za jaką ten towar kupowali. W niektórych wioskach powiatu nieszawskiego odbywał się okresami również handel raz w tygodniu na wozach z pieczywem i wyrobami wędliniarskimi. Jeszcze inny rodzaj handlu na tym terenie prowadzili handlarze, nazywani 'kuzojami'. Skupowali oni na wioskach drób, młode gołębie nazywane młodzioki i nabiał. Każdy handlarz kupione produkty nosił w dwóch koszach przewieszonych przez ramię na pasku na targ do Aleksandrowa lub Ciechocinka, przechodząc w obie strony około 50 kilometrów.

Od czasu do czasu przejeżdżał przez naszą wioskę Żyd nazwiskiem Wołek i krzyczał: szmat, szmat, szmat. Na to wołanie niektórzy mieszkańcy, a zwłaszcza dzieci, wynosiły zarówno szmaty, jak i złom żelazny, a Wołek dawał za to według uznania różne blaszane świecidełka, gliniane kogutki do gwizdania, igły i inne drobiazgi. Po jakimś czasie, Wołek zabierał szmaty i złom na wóz zaprzężony w konia. Inny handlarz nosił w torbie eter, po Kujawsku nazywany 'amedyny' i odwiedzał mieszkańców wioski w domach. Zapach nawet z daleka od niektórych osób wskazywał, że i na ten towar nabywców znajdował.

\*

Rodzina nasza składała się z dziewięciu osób: rodzice, trzy córki i czterech synów. Związek małżeński rodzice zawarli w roku 1898 i zamieszkali w Milżynie. Mama Bronisława z domu Korzeniewska urodzona w roku 1878, córka Józefa i Jadwigi z domu Gębicka i ojciec Wawrzyniec Nowakowski urodzony w roku 1875, syn Franciszka i Jadwigi z domu Pińska. Córki: Felicja, Regina ur. 11.IX.1906 r. (Fela); Kazimiera ur. 23.IV.1914 r. (Kazia); Ewa ur. 15.VI.1922 r. oraz synowie: Adam ur. 8.I.1905 r. (Adaś); Bronisław ur. VII.1909 r. (Broniek); Witold, Jan ur. 26.VIII.1911 r. (Tolek); i Nikodem ur. 1.V.1917 r. (Nikod). Według opowiadania mamy, troje urodzonych pierwszych dzieci zmarło. Również zmarło dziecko urodzone w roku 1920.

Mama miała ośmioro rodzeństwa, a w tym sześć sióstr: Marię, zamężna Kucińska, Stanisławę zamężna Michałowska i zakonnice: Józefę, Annę, Antoninę i Janinę oraz dwóch braci: Stanisława i Jana. Ojciec miał dwie siostry: Małgorzatę, zamężna Ziółkowska i Rozalię, zamężna Michalak oraz dwie siostry z drugiego małżeństwa swojego ojca: Bronisławę, zamężna Szczepaniak i Józefę, zamężna Ignaczewska.

Zarówno jedna jak i druga rodzina moich rodziców gorliwie wyznawała wiarę katolicką, co przejawiało się między innymi wyborem życia zakonnego przez cztery najmłodsze siostry mamy. Również wybór mojego ojca na męża, mama uzasadniała tym, że miał dużą książeczkę do nabożeństwa, którą nosił w niedzielę do kościoła pod ręką, bo nie mieściła się w kieszeni. Będąc chłopcem, służył też w kościele do mszy świętej, jako ministrant.

Rodzice byli średniego wzrostu. Mama ciemna blondynka, ojciec nieco ciemniejszy, łysawy, z brązowymi wąsami. W przeciwieństwie do na ogół poważnego ojca, mama miała sentymentalne uosobienie. Ojciec nigdy nie śpiewał w domu, a zagwizdał tylko wtedy, gdy się z jakiegoś powodu bardzo był zadziwiony. Za to mama często śpiewała, albo nuciła pieśni, czy piosenki przy szyciu, a także wykonując lżejszą pracę. A oto urywek często śpiewanej przez nią piosenki „a moje rywalki z wami się prawuje, jemu w łeb wypale, sama się otruje”. Bardzo chętnie słuchała też mama śpiewu ulubionych piosenek jak na przykład „Stachu jam cię przecież kochała, tobie serce oddała, wróc do

mnie wróć”. Ale nie tylko śpiew ją wzruszał. Nieraz wspominała o przyjemności, z jaką słuchała pięknego gwizdania rano, jeszcze o zmroku, idącego szosą mężczyzny. Były to Godzinki, czyli pieśń ku czci Matki Najświętszej.

Mama tylko czytała. Pisać nauczyła się w czasie okupacji podczas drugiej wojny światowej. Zachowała się napisana przez mamę w tym czasie kartka o sposobie odmawiania Koronki do Miłosierdzia Bożego. Ojciec chodził przez jeden rok do szkoły rosyjskiej w Lubrańcu. Pisał i czytał po polsku i po rosyjsku. Palił dużo papierosów, początkowo z samoródki to jest z własnego siewu tytoniu, który suszył i w drewnianym korytku z grubym dnem, rąbał siekierą liście i łodygi na sieczkę, zawijał w bibułkę i palił, zaczynając od tego każdy dzień. Po wprowadzeniu zakazu siewu tytoniu, palił machorkę kupowaną w paczkach, którą nosił ze sobą w odpowiednio spreparowanym świńskim pęcherzu.

Do rodziny naszej należała również macocha ojca a dla nas dzieci babcia, Wiktoria Nowakowska, która mieszkała w domku stojącym na naszej ziemi w odległości około jednego kilometra od domu naszego. Otrzymywała on od swojego pasierba (naszego ojca) alimenty, to jest środki żywności oraz paszę dla krowy na zimę. Babcia, to był anioł na ziemi, wcielony w człowieka.

Siedzibą całej rodziny mamy był Milżyn, natomiast ojciec mieszkał tutaj u swojego dziadka, Kazimierza Pińskiego, powstańca z 1863 roku. U niego też zamieszkali czasowo rodzice po ślubie. Ojciec mamy był budowniczym wiatraków mielących zboże na mąkę i stąd mama otrzymała od niego wiatrak na wiano. Ojciec ojca był rolnikiem, który przy pomocy Kazimierza Pińskiego, kupił około dziesięciu hektarów ziemi i łąk z parcelowanego majątku Milżyn. Były to jednak działki różnej wielkości i w sześciu różnych miejscach, a poza tym oddalone od siebie nawet do dwóch kilometrów. Ponadto zakupiona została połowa czworaka zamieszkiwanego poprzednio przez rodziny robotników pracujących w majątku. Drugą połowę tego budynku zajmowała rodzina kowala. W zakupionej połowie były trzy izby, z których jedną przeznaczono na mieszkanie, jedną na oborę dla krów i pozostałą na stajnię dla koni. Izba ta służyła za mieszkanie powiększającej się rodzinie o przychodzące na świat dzieci do roku 1917, to jest do czasu pobudowania nowego domu. Ten nowy dom był murowany z czerwonej cegły, z dwoma kominami, pokryty dachówką, a w nim były cztery izby i dwie sienie. Dom ten wraz z zabudowaniami oraz opisaną wyżej częścią czworaka, stodołą i budynkiem dla świń i drobiu, był położony na działce o powierzchni około pół hektara, na której stał również wiatrak.

Działka w stosunku do tuż przebiegającej szosy była położona o kilka metrów wyżej, a skarpę porastał gęsty ligustr. W środku podwórka okolonego opisanymi zabudowaniami rosła kilkudziesięcioletnia szeroko rozgałęziona topólka, a pod nią była studnia obudowana deskami, bez kołowrotka. Wymiana tej obudowy na betonową już z kołowrotkiem została dokonana w roku 1926. W tym też roku wymurowana była z cegły piwnica w ziemi, z wejściem naprzeciw drzwi wejściowych do domu. Przez kilka lat od pobudowania tego domu wykorzystywane na mieszkanie były tylko dwie izby. W mniejszej z dwoma oknami wychodzącymi na zachód z widokiem na ogródek i niżej przebiegającą szosę urządzony był pokój, w którym stały dwa jasne łóżka tego samego koloru, ciężki stół z toczonymi nogami oraz cztery krzesła. Druga obszerna izba z jednym oknem od strony południowej z widokiem na komórkę i z drugim oknem na wschód z widokiem na ogród i na jego końcu na wiatrak łączyła dwie funkcje: kuchni i pokoju. Kuchnia z czerwonej cegły stała w rogu izby. Do palenia torfem miała cztery duże paleniska kryte fajerkami, a nad nią wisiał okap z zasłonkami.

W drugiej części izby stały dwa łóżka i szafa na ubrania, wszystko w szarym kolorze z wytoczonymi ozdobami. Stół był duży, wykonany przez stolarza na zamówienie, a cztery okrągłe krzesła miały zdobione siedzenia i wygięte w pałąk oparcia. Na ścianie wisiały dwa duże w czarnym kolorze obrazy. Jeden przedstawiał Chrystusa w cierniowej koronie, drugi Matkę Boską Bolesną. Obok wisiał drewniany krzyż, przywieziony przez mamę z pielgrzymki do Częstochowy. Na drugiej ścianie wisiał zegar z wahadłem i dwiema wagami, który wybijał godziny. Był to prezent ślubny dla mamy od jej ojca. Zegar ten zawsze obsługiwał ojciec. Każdego wieczoru podciągał wagi do góry i od czasu do czasu sprawdzał punktualność jego chodzenia z wykazami wschodów i zachodów słońca znajdującymi się w jego książce do nabożeństwa. Wskazówek do tyłu nigdy nie cofał. Zegar ten

służył do końca drugiej wojny światowej. Największa izba od frontu z dwoma oknami na zachód stała pusta, a druga izba najmniejsza z oknem na wschód była magazynem do wszystkiego. Do każdej izby wejścia były przez jedną z dwóch sieni. W sieni od strony wschodniej znajdowała się drabina na strych, otwór pieca do wypiekania, oraz drzwi do komory, w której między innymi przechowywana była uprzęż dla koni, bo kradzieże z budynków w naszej wiosce zdarzały się dość często. Przedstawiony wyżej opis o przeznaczeniu poszczególnych izb uległ zmianie w roku 1923. W niewykorzystanej dotąd największej izbie urządzono salę szkolną dla dzieci, a do izby najmniejszej przeniesiona została kuchnia. Nauka w tej szkole odbywała się przez dwa lata. Później izba ta wykorzystywana była sporadycznie na zebrania młodzieży i członków kółka rolniczego oraz dla uczestników różnych kursów wieczorowych i pogadanek.

Mama przed wyjściem za mąż pracowała, jako pomoc domowa u zarządcy majątku ziemskiego. Znała, zatem, pracę zarówno w kuchni, jak i przy wychowaniu dzieci, a także i praca w polu nie była jej obca. Wszystkie te prace podobnie jak większość kobiet mieszkających na wsi wykonywała mama i po za mąż pójściu. Zachowywała przy tym od dziecka nabytą wielką pobożność, przekazywaną również nam dzieciom. Uczyła nas pacierza z pamięci, jak na przykładzie:

Ojcze z nieba wysokiego  
Miej w opiece mnie małego  
Niech Twa łaska dobry Boże  
Dobrym być dopomoże.  
Do Ciebie rączki wnoszę  
O zdrowie dla taty i mamy proszę  
I proszę Ciebie niech mnie od złego  
na każdym kroku aniołki strzegą.

Jeżeli dziecko ociągało się do ukłęknięcia, aby mówić pacierz, mama przypominała, że Matka Boża tak do niego mówiła:

Nie wiesz, po co tu przychodzę,  
Bo mnie serce boli srodze,  
Żem tak z Boskim Synem w niebie  
Nie słyszała dzisiaj Ciebie.

W miarę wzrastania odmawialiśmy klęcząco pacierz coraz dłuższy zgodnie z katechizmem. Do kościoła w Zgłowiączce, oddalonej od Milżyna o około 3 km, chodziliśmy wszyscy w każdą niedzielę i w każde uroczyste święto kościelne oraz w święto narodowe 3-go Maja. Przez całe życie mama bardzo troszczyła się o nas, a szczególną jej troską było zachowanie wiary, którą wpajała w nas od najmłodszych lat. Żegnając wyjeżdżające z domu swoje dziecko mama zawsze mówiła, - przeżegnaj się na drogę, a jeśli pobyt poza domem miał trwać dłużej to dodawała jeszcze, - pamiętaj o Bogu. Od założenia własnej rodziny mama pracowała dużo, w dzień i w nocy. Robiła wszystko: gotowała, piekła chleb, który żegnała krzyżem po wsadzeniu do pieca, szyła, karmiła konie, krowy, świnię, kury i kaczki, prała rękami w balii bez tary, nosiła wodę ze studni i sadzawki do prania, doiła krowy dwa razy dziennie, uprawiała ogródek, sprzątała, a podczas nieobecności ojca pracowała również w polu i na wiatraku. Do gotowania potraw używane były sagan-y wpuszczane na palenisko w kuchni po zdjęciu odpowiedniej ilości fajerek i stąd też dolne połowy saganów zawsze były pokryte sadzą. Paliwem w kuchni był tylko torf, a podpałką słoma lub perz (chwast). Woda ze studni przez długie lata była ciągnięta ręcznie wiadrem uwiązany-m na powrozie.

Głodu w naszej rodzinie nie zaznaliśmy. Nasze codzienne, oprócz piątków, śniadania to zakwaszony na mące żytniej na noc barszcz z ziemniakami obieranymi po ugotowaniu w mundurkach, okraszony tłuszczem, a dla ojca ze skwarkami. Wszyscy pozostali w rodzinie skwarków nie jedli. W piątki zamiast barszczu była polewka z kaszą, bez kraszenia. Chleb był zawsze w naszym domu, niekiedy jedliśmy go z masłem. W pierwszym i ostatnim tygodniu

Wielkiego Postu, barszcz był kraszony olejem, a w ostatki przed Wielkim Postem zawsze jedliśmy pączki albo chruściki. Codziennie obiady były skromne. Dla przykładu: zsiadłe mleko i mięte ziemniaki (krychanki) kraszone skwarkami dla ojca a z tłuszczem dla pozostałych domowników; ziemniaki z kapustą gotowaną ze skórkami słoniny; zacierki z mlekiem; pyzy kraszone i zsiadłe mleko; kasza jęczmienna z mlekiem i ziemniakami; zupa kartoflana. Na obiad w niedzielę, przeważnie była zabijana kaczka. Gotowana była w rosolu, który pod koniec gotowania zaprawiano krwią tej kaczki spuszczaną na ocet, aby nie krzepła i po zagęszczeniu mąką wlewana do gotującego rosolu. W ten sposób powstawała czernina, którą jedliśmy z kluskami. Mięso kaczki zawsze dzielono jednakowo: starsi większe części, młodszy mniejsze. W zależności od pory roku do mięsa zawsze była jedna z uprawianych jarzyn: sałata, ogórki w postaci mizerii lub kiszona, buraczki, marchew, kapusta kiszona. W okresie prac w polu i na łące pracujący zawsze otrzymywali drugie śniadanie nazywane 'pod-dziesiątą' oraz podwieczorek. Na kolacje jedliśmy przeważnie chleb z mlekiem. Czasem była kawa z upalonego na blasze żyta z domieszką cykorii i zabelana mlekiem. Do tego, czasem był chleb z masłem lub ze smalcem. Niekiedy ojciec jadł mykę, to jest pszenną mąkę rzucaną na gotujące się mleko. Zdarzało się również, że jedliśmy własnego wyrobu wędlinę jak również jajecznicę lub gotowane jajka.

Nas dzieci od najmłodszych lat ubierała mama w to, co sama uszyła. Tylko chłopcy przystępujący do pierwszej Komunii Świętej otrzymywali ubranka kupione. I tak było zawsze, że tylko te ubranka chłopięce pochodziły z zakupu. Ubrania codzienne dla wszystkich, mama szyła przez wiele lat i to ręcznie, bo maszyna do szycia została zakupiona dopiero w połowie lat dwudziestych. Woda do prania w dużej balii przynoszona była z sadzawki w dwóch wiadrach na szuńdach. Jest to odpowiednio wyżłobiony do karku i ramion bal z lekkiego drewna z łańcuszkami na końcach do zaczepienia wiader. Pobieranie z sadzawki wody do prania wynikało stąd, że woda studzienna była bardzo twarda. W uprawianym ogródku okalającym z trzech stron nasz dom mama początkowo sama, a później z córkami sadiły i pielęgnowały różne gatunki zarówno kwiatów jak i warzyw. Szczególnie dużo sadzonych były ogórków, które zakwaszone jedliśmy zimą.

Raz w życiu widziałem mamę tańczącą na weselu w naszym pokoju. Było to wesele krewnej naszego sąsiada kowala. Jednak ze względu na ciasnotę w jego mieszkaniu, orkiestra i tańce zostały przeniesione do naszego domu. Wieczorami we wszystkie dni świąteczne oraz w Wielkim Poście mama długo modliła się ze swojej książki do nabożeństwa. Była to książka, co najmniej 10 cm grubości i niewiele mniejszego formatu od szkolnego zeszytu.

Nie wychodzili też z naszego domu proszący o wsparcie, aby mama im tego wsparcia nie udzieliła. Otrzymywali przeważnie miarkę mąki, a w porze obiadowej obiad. Jeden z tych biedaków, po zjedzeniu obiadu w przystępie szczerości powiedział, - chwala Bogu siódmy obiadek się zjadło.

\*

Ojciec przede wszystkim zajmował się wiatrakami. Na początku musiał nauczyć się młynarstwa od swego teścia, bo to było podstawowe źródło dochodów na utrzymanie rodziny i trzeba było pracować latem i zimą, w dzień i w nocy w zależności od pory pojawienia się wiatru. Dlatego też na wiatraku stało łóżko. Takie warunki pracy spowodowały nabawienie się przez ojca chronicznego kaszlu.

A jak wyglądał wiatrak widziany z bliska oczami chłopca oraz według opowiadań ojca, a także braci Adama i Bronka, postaram się przedstawić poniżej, z tym, że w załączonym opisie budowy wiatraka do mielenia zboża na mąkę, nazwy niektórych przedmiotów i zespołów będą takie, jakie w tym czasie potocznie używano w branży młynarskiej. W wiatraku posiadanym przez ojca nie było aparatury, ani urządzeń precyzyjnych. Z wyjątkiem dwóch par kamieni młyńskich i dwóch poziomych osi stalowych, nie licząc różnych okuć, wszystkie elementy i zespoły były z drewna.

Na podłożu położone i zamocowane były skrzyżowane ze sobą w jednej płaszczyźnie dwie przyciesie czworokątne z drewna dębowego o wymiarach około 70 na 90 centymetrów. Na skrzyżowaniu tych przyciesi, ustawiony i odpowiednio z nimi powiązany stał stember również z drewna dębowego o średnicy około jednego metra. Dodatkowo stember był jeszcze powiązany z

przyciesiami czterema zastrzałami, także z drewna dębowego, ale o mniejszej średnicy. Ustawione pod odpowiednim kątem stanowiły one podpory dla stembra.

Pod podłogą pierwszego piętra, stembra oplatał dookoła stolec z grubych bali sosnowych, natomiast pod podłogą drugiego piętra, na wierzchołku stembra położona była poziomo czworokątna mącznica, również z drewna, i o zbliżonych do stembra wymiarach. Długość mącznicy równała się długości ściany wiatraka. Na mącznicy spoczywał cały ciężar wiatraka, wyłączając stember i opisane wyżej elementy bezpośrednio z nim związane. Na ciężar ten składały się na zewnątrz: ściany z desek przybite gwoździami do rygli z sosnowych kantówek, listwy na stykach desek oraz czworodrzwi, dach z gontów na krokwiach, dwie sosnowe belki powiązane z wystającym na zewnątrz końcem wału napędowego, tworzące cztery śmigie. Do śmig tych wpasowane były miecze pod odpowiednim kątem, aby wszystkie śmigie obracały się zgodnie. Miecze służyły do utrzymywania płacht i przodków wykonanych z dranic łupanych z drewna sosnowego. W każdej śmidze zakładano po cztery płachty i cztery przodki, które w zależności od miejsca ich założenia były odpowiednio nazywane. Ich nazwy od dołu do góry były następujące: odzimek, kwatera, trzecia i odwalna, wałek z kołem na linę do wyciągania i opuszczania worków obciążonych, schody i mostek na pierwsze piętro, dyszel sosnowy do nakręcania wiatraka.

Na pierwszym piętrze były następujące elementy: podłoga z desek, skrzynia na mąkę z poziomym obracającym się wokół osi cylindrem wewnątrz w kształcie prostopadłościanu z napiętą gazą z jedwabiu do oddzielania mąki od otrąb, worki ze zbożem, mąką i otrębami, ręczny młyn do czyszczenia zboża, waga dziesiętna, łóżko z desek i schody na drugie piętro. Na drugim piętrze była podłoga i na niej dwa ganki: duży i mały. Na ganku dużym były dwa okrągłe kamienie, jeden na drugim o jednakowej średnicy około trzech metrów i grubości około czterdzieści centymetrów każdy oraz ich osłona, wał napędowy z kłoca dębowego o średnicy około pięćdziesięciu centymetrów, w którym na zewnątrz obsadzone były śmigie, a wewnątrz obsadzone było koło około siedmiu metrów z nabitymi palcami do obracania cywi. Cywia, to bęben zazębający się z palcami koła, obsadzony na stalowej, pionowej osi, która wirując, obracała górny kamień. Był tam też kosz z desek na zboże zsypujące się pod kamień do przemiału oraz szneka do przemieszania zmielonego zboża od kamieni do skrzyni na pierwszym piętrze. Ganek mały, inaczej nazywany żubrownik, posiadał takie same urządzenia, co ganek duży, lecz o znacznie mniejszych rozmiarach i służył tylko do przemiału zboża na razówkę, lub na ospę dla zwierząt, a także był używany do oczyszczania ziarna, a każdy uzyskany produkt sypał się bezpośrednio do worka.

Na drugim piętrze znajdowały się trzy urządzenia: wskaźnik szybkości obrotów śmig nazywany regulatorem, podelga do regulowania nacisku górnego kamienia na kamień dolny i ruflak włączający wciąganie worków ze zbożem, czynny tylko w trakcie obracania się śmig, czyli chodzenia wiatraka. Zarówno na pierwszym jak i na drugim piętrze w bocznych ścianach znajdowały się okrągłe zamykane okienka. Do nakręcania wiatraka w stronę, z której wieje wiatr służył kołowrót połączony łańcuchem z dyszlem wychodzącym na zewnątrz pod mostkiem na pierwszym piętrze. Kołowrót opierał się o grube pale wkopane w ziemię wokół wiatraka, a napędzany był ludzką siłą odpowiednio grubym drągiem.

Za zmielenie zboża była pobierana miarka. Było to potrącenie odpowiedniego procentu zboża od ilości dostarczonej do przemiału. W tej miarce uwzględniony był również rozkurz mąki, jaki powstawał przy jej produkcji. Widać to wyraźnie na ubraniach młynarzy. Mąkę uzyskaną z przemiału tych miarek, ojciec wywoził do Lubrańca i tam sprzedawał do piekarni, które były w rękach żydowskich. W miarę upływu czasu zaczęły jednak wzrastać trudności ze zbytem mąki. Rosła konkurencja ze strony innych młynarzy, bo w Lubrańcu był młyn, należący do Żyda i były tam również dwa wiatraki. Blisko Lubrańca, we wsi Smogorzewo, też był wiatrak. Ponadto w połowie lat dwudziestych pobudowano jeszcze jeden młyn w Lubrańcu. Wszyscy producenci starali się wyprodukować jak najbielszą mąkę najmniejszym kosztem, a jakość mąki zależała głównie, od jakości ziarna, a nawet od jego wilgotności oraz od jego oczyszczenia na żubrowniku.

A oto przykład z życia wzięty jak sprzedawało się mąkę. Jednego dnia ojciec zabrał mnie do Lubrańca mając na wozie worek mąki, którą po przyjeździe na miejsce, zaoferował do kupna piekarzowi nazwiskiem Rozen. Ten po obejrzeniu, powiedział, -na kłajster mogę kupić i podał cenę



znacznie niższą od żądanej przez ojca, który na to, odwrócił się i odszedł. Po dłuższym czasie chodzenia po mieście, prawdopodobnie do innych piekarzy, ojciec wrócił i oddał mąkę Rozenowi za jego cenę.

Ojciec w swoim życiu poza zarobkowaniem na mieleniu zboża, starał się wykorzystywać wszystkie inne możliwości do podnoszenia standardu życia rodziny. Utrzymując zawsze dwa konie, uprawiał każdy kawałek w większości lichej ziemi. Każdego roku kopany był torf występujący w łące. Zalegał on około 7-8 metrów w głąb i dlatego jego wydobywanie odbywało się przy pomocy ręcznej maszyny obsługiwanej przez czterech ludzi. Wsuszenie jego było niezwykle pracochłonne zwłaszcza przy niesprzyjającej pogodzie, ale korzyści przynosił duże. Służył do palenia w kuchni, do ogrzewania mieszkania, do palenia w piecu do pieczenia chleba, a także w piecu do wypalania cegły. Był chętnie kupowany, jako jedyny w okolicy materiał do palenia. W powstałych po wybraniu torfu kanałach zalanych wodą, żyły ryby. Były to karasie, liny, szczupaki, okonie i płocie. Łowiliśmy je zarówno na wędkę jak i w sieci własnej produkcji ze sznurka, który z lnu uprzedła babcia, macocha ojca. W tym celu len był siany u nas na polu. Ażeby uzyskać włókno, len dojrzwały wrywany był z korzeniami, po wysuszeniu dziergany z nasion, moczony, suszony i międzony aż do uzyskania włókna. Mając własny opał oraz odpowiednie pokłady gliny w ogrodzie przed domem, raz w roku wypalano w piecu polowym cegłę. Aby uzyskać lepszą jakość, pod koniec palenia torfem, cegła była zasypywana z góry miałem węglowym. Piec mieścił jednorazowo około 30 tysięcy sztuk cegieł, a ze zbytem podobnie jak z torfem, nie było trudności.

Przed domem od strony wschodniej, ojciec posadził kilkanaście drzewek owocowych, a wśród nich znajdowała się pasieka. Był jeden ul i około dziesięciu kuszek. Kuszki były robione ze słomy, w kiściach splatanych witkami w kształcie stożka. U spodu był otwór do przechodzenia pszczoł po języku z drancicy, a wewnątrz dwa skrzyżowane patyki, na których pszczoły zakładały plastry. Stawiane były na stolcu z desek i oblepiane dookoła gliną, a stolec ustawiano na czterech kołkach wbitych w ziemię. Od deszczu kuszki były chronione przez czapy również ze słomy, odpowiednio powiązane w kształcie lalki ze szmatek. Oprócz bardzo lubianego przez nas wszystkich miodu, zwłaszcza w plastrach, również węża, popularnie nazywana susz, była cennym surowcem dającym po przetopieniu воск. To była przyjemność mamy, gdy zanosila go do cechmistrza, który przetapiał go i odlewał na świece, jedną na gromnicę dla mamy, a pozostałe do kościoła. W tamtych, bowiem czasach, w czasie mszy świętej paliły się na ołtarzu tylko świece z wosku. Poza pracą na wiatraku i w gospodarstwie ojciec brał aktywny udział w pracach społecznych. Był również członkiem rady parafialnej przy kościele w Zgłowiączce.

Po wkroczeniu Niemców w czasie pierwszej wojny światowej, ojciec został aresztowany i osadzony w więzieniu we Włocławku, jako podejrzany o współdziałanie w ukrywaniu dzwonu kościelnego. Zwolniony został po miesiącu, gdy dzwon ten został wyciągnięty z rzeki. W tym czasie, a był to miesiąc maj, cały ciężar obowiązków ojca, również na wiatraku, zmuszona była wykonywać mama, a do tego dowozić ojcu żywność do oddalonego o 28 km Włocławka. Ojciec wspólnie z innymi mieszkańcami Miłżyna zorganizował kółko rolnicze, w którym pełnił funkcje sekretarza. Był zagorzałym zwolennikiem Wincentego Witosa, prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego Piast, które w latach trzydziestych wspólnie z dwoma innymi stronnictwami chłopskimi utworzyło Stronnictwo Ludowe. Był stałym czytelnikiem tygodnika Wola Ludu, a po zjednoczeniu, Zielonego Sztandaru. Czytał też stale pismo fachowe Związku Organizacji Kółek Rolniczych.

Przez całe życie wieczory w rodzinie spędzaliśmy przy lampach naftowych. Były dwie: kuchenna, mniejsza z blaszanym talerzykiem odbłaskowym i wygiętym drutem do zawieszania oraz pokojowa, większa, stojąca z porcelanowym kloszem. Do budynków wychodziło się z latarnią naftową, albo w budynku zapalało się światelko z naftą w kałamarzu z szyjką. W domu wszyscy czytali dużo gazet z prenumeraty, przeważnie tygodniki oraz miesięczniki religijne takie jak Posłaniec Serca Jezusowego oraz Rycerz Niepokalanej, książki własne i wypożyczone z biblioteki szkolnej i z koła młodzieży. Były też u nas czasowo różne gazety obce jak np. popularna wśród mieszkańców Miłżyna Gazeta Grudziądzka, a z pism satyrycznych najpopularniejszą była Mucha. Obce gazety trafiały do nas, ponieważ mieszkańcy naszej wioski na odbytym zebraniu upoważnili ojca do odbioru z poczty w Lubrańcu wszystkich przesyłek nadsyłanych pod ich adresem. Przesyłki

były przynoszone codziennie przez Witolda, który chodził do szkoły w Lubrańcu. Za przyniesiony list odbiorcy zobowiązali się płacić po 20 groszy, natomiast gazety otrzymywali bez opłaty. Odbiór z naszego domu należał do adresata.

Oprócz czytania wieczorami gazet, czy książek przyjęła się również gra w warcaby, nazywana popularnie damką. Chętnie grali w damkę wszyscy w domu: rodzice i dzieci od małego do dużego. Ojciec tak polubił tę grę, że odkładał czytaną gazetę, jeśli mama lub któreś z nas, dzieci, zaproponowało mu rozegranie partyjki. Zdarzało się, że nie raz wieczorem przy stole ojciec wspominał zasłyszane od dziadka swego, Kazimierza Pińskiego, różne opowiadania z czasów pańszczyzny. Oto zapamiętane dwa z tych opowiadań. Podczas wyprawianej uczyty zgłosił się wezwany chłop do szlachcica, który zlecił mu skoszenie w jednym dniu łąki, którą inni kosili przez dwa dni, ale obiecał mu za to dać cielaka. Gdyby jednak nie zdążył skosić nie otrzyma żadnej zapłaty. Chłop zgodził się pod warunkiem, że dostanie obiad, bo do chałupy miał daleko. Zgoda zapadła. Następnego dnia wcześnie rano, chłop podzielił łąkę na cztery ćwiartki kosząc przez środek jeden pokos wzdłuż, a drugi wszerz łąki. Do południa skosił dwie ćwiartki, czyli jedną połowę łąki. Szlachcic widząc, że przegrywa, polecił kucharzowi, aby zupę na obiad dla chłopca zaprawił ziołami przeczyszczającymi. Chłop obiad zjadł i poszedł kosić, ale zioła zaczęły działać i musiał on koszenie, co raz przerywać. W zagrożeniu, że może stracić cielaka, chłop ściągnął spodnie, a koszulę przepasał paskiem powyżej bioder i tak z odsłoniętym tyłkiem kosił dalej, już bez przerwy. Do wieczora resztę łąki skosił i w obecności gości szlachcica, którzy wczoraj byli świadkami umowy, chłop cielaka zabrał.

Ksiądz na kujawskiej wsi miał swego konia i bryczkę do wyjazdów i w związku z tym zatrudniał parobka, starszego już mężczyznę, którego cenił, jako człowieka roztropnego. Goszcząc u siebie księdza z sąsiedniej parafii wybrali się obaj w drogę bryczką, którą powoził parobek. W drodze ksiądz z uznaniem opowiadał gościowi o swoim parobku, co jednak nie trafiało do przekonania słuchającemu księdzu-gościowi, bo obiecał udowodnić, że to przesada. Okazja trafiła się, gdy wjechali do lasu. Jadąc pod górkę koń głośno wypuścił z siebie powietrze. Wtedy ksiądz-gość zapytał powożącego parobka, -co ten koń do was powiedział? Na to parobek odpowiedział, że jest to łaćńska mowa, a ja proszę księdza łaćniny się nie uczyłem.

Ojciec na swoje imieniny, w dniu dziesiątego sierpnia otrzymywał swoje ulubione kwiaty aksamitki, nazywane na Kujawach turkami. Wesoło było w rodzinie, gdy ojciec kładąc się spać, odkrywał okazałego turka nawet pod pierzyną. Podobnie jak mama, ojciec mimo spędzanych na wiatraku nieprzespanych nocy, modlił się na klęczkach codziennie rano i wieczorem. Ojciec, przed jedzeniem zawsze odmawiał modlitwę i żegnał się. Również przed rozpoczęciem krajania całego bochenka chleba, żegnał go nożem. Ten zwyczaj żegnania chleba był przez wszystkich w rodzinie praktykowany.

W miarę ubywania dnia, różne prace wykonywane były tylko wieczorem przy lampach naftowych. W szczególności było to szycie i naprawa rodzinnych ubrań. Do około lat dwudziestych, mama szyła ręcznie, a później, na nożnej maszynie, dla siebie bieliznę, w tym staniki nazywane sznurówką, spódnice, suknie, płaszcze letnie, fartuchy, czapki na głowę, serdaczki na kozuchu z owczej skóry. Kupowała tylko palta zimowe oraz duże wełniane chustki z frędzlami na głowę.

Do około lat trzydziestych, ojciec również nosił bieliznę uszytą tylko przez mamę. Koszule były szyte bez kołnierzyków, tylko ze stojącym paseczkiem, do którego przypinany był spinkami z przodu i z tyłu sztywny kołnierzyk, na którym wiązany był krawat. Koszula była rozpinana tylko od góry do pasa. Z przodu, na wysokości pasa, u koszuli wisiał język z dziurką do przypinania kalesonów na guzik. Ponadto u góry kalesonów, po bokach, przyszyte były końcami tasiemki, przez które przetykano końce szelek zapinanych na guzikach u spodni. Wynika z tego, że koszule były wpuszczane do kalesonów. W dni świąteczne ubierano drugą koszulę, nazywaną wierzchnią, z kołnierzykiem i spinkami przy mankietach. Zamiast koszuli wierzchniej, przypinany był też u góry do koszuli, a u dołu do guzika kalesonów, gors, to jest usztywniona biała osłona koszuli na piersiach. Zimową porą, wychodząc ojciec zakładał jeden z dwóch baranich korzuchów, krótki lub długi. Siostry nosiły majtki z przyszytymi naprzódzie stanikami zapinanymi wzdłuż pleców na guziki.

Tylne części majtek były przypinane na dwa guziki. W ten sposób uszyte były spodnie dla chłopców z tą różnicą, że z przodu był rozporek. Nie nosili też chłopcy żadnych majtek.

Wieczorami dokonywane były też naprawy różnego rodzaju sprzętu używanego zarówno na wiatraku jak i w gospodarstwie domowym i w polu. Wyrabiano również sieci na ryby. Wybierano też ziarna chwastów i jęczmienia z ziaren jarej pszenicy. Jednak prawdziwym maratonem w długości czasu w zimowe wieczory, było oskubywanie pierza, jakie z całego roku gromadziło się z kaczek zabijanych na niedzielne obiady. Nierzadko przy tej pracy śpiewane były piosenki jak i pieśni religijne, zwłaszcza w okresie Wielkiego Postu. Zadane w szkole lekcje, odrabiane były również wieczorami. Wieczorami przychodzili też do nas, od czasu do czasu, na pogawędkę niektórzy zaprzyjaźnieni sąsiedzi, a także kumoter Kapeliński. Jeśli wydarzyło się coś ważniejszego we wsi lub w kraju, jak na przykład przewrót majowy w 1926 roku, to wtedy przychodziło więcej osób i trzeba było przynosić do mieszkania deski, aby każdy mógł usiąść.

\*

Z nastaniem wiosny rozpoczynały się prace w polu. Najpierw przygotowywany był grunt pod zasiew owsa na ziemi lekkiej, piaszczystej, występującej na działce nazywanej pastwiskiem. W miarę wysychania ziemi, wywożony był obornik na grunty niżej położone, wilgotne, na których uprawiano inne zboża jare oraz sadzono ziemniaki i buraki pastewne na karmę dla krów. Uprawa tych okopowych roślin była prawdziwą udręką. Szczególnie uciążliwe było pielenie buraków z chwastów na kolanach, przeważnie gołymi rękami, zarówno na mokrej jak i spieczonej, twardej ziemi. Taka praca trwała całymi dniami bez względu na pogodę. To był koszmar trwający przez całą wiosnę.

Lato, to okres koszenia trawy, suszenia i zwózki siana do stodoły. Również latem kopany był torf a potem długo suszony. Aby dobrze wysuszyć torf, pierwszą czynnością było podzielenie wyciągniętych z wody brył na cztery części, każda wielkości dwóch cegieł. Następnie układano je w niewysokie stożki a po przeschnięciu, dwukrotnie przestawiano w coraz wyższe stożki. Następnie układano je w wálki, a na koniec stawiano sążnie według ustawionych z desek form. Lato, to również okres koszenia i zbioru z pól zbóż ozimych jak i tych z zasiewów wiosennych. Jęczmień, jako zboże niewyrośnięte, z kłosami łatwo kruszącymi się, wiązany był w powrośla z żytniej słomy i zawsze składany w stodole. W zależności od urodzaju, żyto i pszenica składane były w stogi.

Na urodzaj i zbiory zbóż decydujący wpływ miała pogoda i dlatego latem pierwsze spojrzenie po nocnym śnie mieszkańiec wsi kierował w niebo, a szczególnie na zachód, bo przeważnie od tej strony nadchodziły burze. Zarówno susza jak i nadmiar deszczu obniżały zbiory, ale z dwojga złego susza nie ociążała za sobą takich szkód jak zalane wodą pola i łąki, szczególnie w okresie zbiorów. Aby ograniczyć szkody, zmoczone snopy zboża rozwiązywano i układano na ściemniku. Podobnie zmoczone siano w kopach rozstrząsywano na łące. W przypadkach skrajnych, suszy czy deszczu, w kościołach, podczas nabożeństw śpiewano pieśń błagalną Boże Abrahamów z prośbą o odwrócenie klęski. Pracę rolnika i jego nadzieje mogła też całkowicie zniweczyć burza gradowa, a takie na Kujawach często występowały, jak na przykład ta, która przeszła nad wioską Czołpin.

Jesień, to zbieranie plonów zarówno z ziemi jak i z drzew w sadach. To był także okres zasiewów zbóż ozimych, żyta i pszenicy, a także innych odmian zimotrwałych jak na przykład rzepaku. Wszystkie uzyskane zbiory, czy to z pól, czy z łąk, czy też z sadów wymagały nie tylko wielkiego wysiłku, ale także nakładów materialnych, a wynik zawsze był niepewny, uzależniony od praw natury. Mieszkańcy wiosek kujawskich ufali jednak zawsze w pomoc Boga. Przejawiało się to między innymi w kierowaniu do spotkanych przy pracy osób życzenia Szczęść Boże lub Szczęść Panie Boże. Na to życzenie padało zawsze podziękowanie, - Bóg zapłać albo Panie Boże zapłać. Życzenia te kierowane do ludzi pracujących można było słyszeć codziennie od przechodzących obok ludzi, zarówno młodych jak i starszych, znajomych jak i niezajomych.

Odpęzieniem wśród dni ciężkiej pracy przy sprzęcie zbóż, kopaniu ziemniaków i buraków, oraz zasiewów zbóż ozimych był odpust w parafii. W przeddzień, a często i wcześniej, trwały gorączkowe przygotowania w domach na przyjęcie gości, krewnych i znajomych, z innych parafii.

Odpust był dla dzieci zawsze dniem emocji wśród straganów przy kościele, a w domu goszczeniem w radosnym nastroju przybyłych gości. Po uczestnictwie w uroczystej sumie w kościele, goście z odpustowymi cukierkami przyjeżdżali na obiad. U nas, na stole przeważnie był rosół z makaronem, różne mięsa z dodatkami, wódka na pobudzenie apetytu oraz ciasta i napoje. Zdarzyło się, że jeden z naszych gości odpustowych, znany smakosz mocniejszych napojów, odszedł od stołu i wplótł się w drabinę stojącą przy ścianie budynku i sam nie mógł już jej opuścić. Trzeba go było stamtąd „wytrząsnąć”. Ale też w dzień odpustu w parafii Zgłowiączka, 8 września, zdarzył się u nas bardzo przykry wypadek. Koń w stajni źle się zachował i ojciec uderzył go od tyłu, a ten kopnął ojca w pierś tak, że ojciec upadł. Przyniesiony do mieszkania, jęczał z bólu. Ktoś powiedział, że trzeba przywieść księdza, ale ojciec oznajmił, że u spowiedzi był dzisiaj. To też brat mój Adam natychmiast pojechał do Lubrańca i przywiózł lekarza Żyda, który nazywał się Poper. Zalecił on okłady jak również napisał receptę. Kiedy ojciec zapytał ile ma zapłacić, usłyszał krótką odpowiedź, - czterdzieści. A po namyśle dodał: albo dwa korce owsa, bo ja też mam konia. Po jakimś czasie, ojciec szczęśliwie powrócił do zdrowia.

Ośmiomiesięczny okres wytężonej pracy rolnika na polu kończył się w październiku. Dzień pierwszego listopada to święto Wszystkich Świętych-mieszkańców nieba. Drugi dzień tego święta nazywany Zaduszki, ma nam przypomnieć o tych, co odeszli i o potrzebie modlitwy za ich dusze. Po powrocie z popołudniowego nabożeństwa i procesji na cmentarzu w dniu Wszystkich Świętych, wieczorem w domach dominowały w rozmowach tematy o zjawiskach z życia pozagrobowego.

Mama opowiadała, że po śmierci swojego ojca przez długi okres czasu często płakała z żalu po jego stracie. Przestała płakać, gdy pewnej nocy przyśnił jej się i powiedział, - dlaczego ty płaczesz, mnie tutaj jest lepiej niż tobie. Ojciec opowiadał, że po nabożeństwie i procesji dniu Wszystkich Świętych, na środku w kościele ustawiany był katafalk, a na nim kładziono szaty i naczynia liturgiczne używane do odprawienia mszy świętej. Miały one służyć duszom przychodzącym o północy do kościoła. Będąc ministrantem chciał sprawdzić, czy istotnie dusze przychodzą w nocy i w tym celu zagiął odpowiednią stulę. W Zaduszki, jako pierwszy wszedł do kościoła i zobaczył, że stula leżała na swoim miejscu, ale była bez zagięcia. Ktoś inny opowiadał, że chcąc sprawdzić, czy dusze przyjdą w nocy do kościoła, ukrył się między ławkami, aby tam zostać na noc. Nikogo nie widział, ale czuł, że ciasno mu było jak w tłumie.

Jeszcze inny starszy człowiek opowiadał, że w Zaduszki, pytał go żołnierz rosyjski, który w nocy pełnił wartę w pobliżu cmentarza, jakie to było u was święto, bo mieliście procesję o północy z cmentarza do kościoła i z powrotem na cmentarz.

Miesiąc grudzień do czas adwentu, czas przygotowań do świąt Bożego Narodzenia w kościele i w domu. W kościele przez cały czas adwentu odprawiane były wcześniej rano msze święte nazywane roratami. Rozpoczęcie rorat rozpoczynano w ciemnym, nieoświetlonym kościele. Dopiero po chwili zapalano światła, a tym roratę, to jest świecę ozdobioną wstążką spiętą w kokardkę.

W naszym domu, dzieci zajmowały się produkowaniem ozdób choinkowych. Do klejenia łańcuchów, lalek, gwiazdek, ptaszków, gołębi na wydmuszkach z jajek i innych z kolorowego papieru, używaliśmy tylko kleju zrobionego z mąki i wody. Dorośli pisali i wysyłali kartki z życzeniami świątecznymi, a także i opłatek do krewnych i znajomych. Prawdziwej, świerkowej choinki u nas w domu nigdy nie było. Wykonanymi przez nas ozdobami ubieraliśmy zawsze wysoki na dwa metry oleander, rosnący u nas w pokoju, na którym paliły się też świeczki.

Przy stole, najpierw była modlitwa, następnie łamanie się opłatkiem z życzeniami, apotem wspomnienia. W 1927 roku smutna to była uroczystość z powodu braku przy stole Adama, który pełnił służbę w wojsku. Silne przygnębienie płaczącej mamy, udzieliło się nam wszystkim.

Stół był nakryty białym obrusem, a pod nim położone było siano. Oddzielne naczynie na stole zawsze czekało no podróznego. Zarówno przed podzieleniem się opłatkiem jak i przy przystąpieniu do jedzenia, z każdej potrawy ojciec wkładał do oddzielnego naczynia porcję dla krów. Opłatek dla krów był zawsze albo różowy albo zielony. Zarówno opłatek jak i jedzenie z wieczerzy podawane było rano w Boże Narodzenie każdemu bydłociu do jedzenia. Były takie, że jadły chętnie, a innym to nie smakowało. O tradycji podawania bydłu pokarmów z wieczerzy wigilijnej słyszało się na wsi kujawskiej wiele. Najczęściej wymieniano dwa powody kultywowania tej tradycji. Jeden,

że w stajni przy narodzeniu Chrystusa były zwierzęta, wół i osioł, a drugi, że w noc wigilijną o północy bydłęta rozmawiają ludzkim głosem. Opowiadali też, że ciekawy gospodarz chciał dowiedzieć się, o czym będą mówić jego woły i przed północą poszedł cichaczem podsłuchiwać. Tam usłyszał jak woły umawiały się jak wywieść swego gospodarza na cmentarz. Teraz już nie ma ciekawych, bo gospodarz na cmentarz wyjechał.

Według tradycji, wieczerza wigilijna winna składać się dwunastu potraw, to jest tylu było apostołów. My jedliśmy najpierw śledzia wymoczonego i posypanego cukrem, następnie rybę smażoną, kapustę z grochem, ryż na gęsto ze śliwkami i barszcz czerwony, zagęszczoną zupę z suszonych śliwek z jak najdłuższymi kluskami, aby i kłosy rosły jak najdłuższe, a na koniec ciasta i kompot z suszonych owoców. Po wieczerzy było dużo emocji przy otwieraniu złożonych pod drzewkiem paczek od Mikołaja. Na zakończenie zawsze śpiewaliśmy kolędy. Do kościoła na pasterkę odprawianą o północy chodziliśmy z mieszkańcami wsi gromadnie. Nabożeństwo to trwało długo, bo odprawiane były trzy mszy jedna po drugiej w tym królewska i pasterska.

W karnawale, oprócz kozy chodzącej w ostatki, żadnych innych atrakcji nie było. W każdą niedzielę Wielkiego Postu chodziliśmy do kościoła dwa razy: do południa na mszę świętą i po południu na Gorzkie żale. Ponadto uczęszczaliśmy na nauki rekolekcyjne głoszone w kościele, przygotowujące do wielkanocnej spowiedzi. Uczestnictwo w rekolekcjach traktowane było u nas na równi z obowiązkiem uczestnictwa we mszy świętej w dni przez kościół nakazane. Tak samo odbycie spowiedzi wielkanocnej po rekolekcjach było traktowane, jako naturalne przygotowanie do właściwego przeżywania Świąt Wielkanocnych. W niedzielę Palmową, która jest ostatnią niedzielą przed Wielkanocą, Fela, co roku nosiła do poświęcenia ozdobny bukiet z gałązek kwitnącej kotkami wikliny. Każdego też roku, w Wielki Piątek, mimo, że jest to dzień powszedni, wszyscy z naszej rodziny braliśmy udział w przedwieczornym nabożeństwie, podczas którego, Najświętszy Sakrament przenoszony był z tabernakulum w ołtarzu do grobu pańskiego.

Również w domu trwały przygotowania do godnego uczczenia najważniejszego w roku święta, jakim jest Wielkanoc. Co roku bielona była wapnem kuchnia, a pozostałe izby w miarę ich zabrudzenia. Odbywało się też szorowanie i mycie niemalowanych podłóg i stołków oraz mycie okien. Wielkie pranie zaczynało się od namoczenia na noc w wodzie z proszkiem bielizny, a biała, była dodatkowo gotowana w blaszanym kotle nazywanym parnikiem. Był też, przeważnie przed samymi świętami, zabijany świniak. Robił to zawsze w sposób profesjonalny ojciec, bo żaden nawet nie kwiknął. W ostatnich dniach przed świętami było pieczenie ciast, a w tym popularnej wielkanocnej babki. To była domena mamy. Również mama robiła z masła baranka w pozycji leżącej, który był pokryty wełną z masła wyciśniętego przez płótno. Oczy miał z ziarenek pieprzu, pyszczek był czerwony, a przy nodze stała na patyczku chorągiewka z krzyżykiem. Mama też z części tłuszczu wytopionego z sadła zabitego świniaka, wykonywała lampki do zapalenia przy grobie Chrystusa w kościele.

Oprócz ojca, wszyscy w domu chętnie zasiadali do malowania rozpuszczonym woskiem jajek, które później gotowane były w łupinach z cebuli. W Wielką Sobotę, zanosiliśmy w ozdobnym koszyczku pokarmy do poświęcenia w kościele. Z powrotem przynosiliśmy również poświęcone ciernie i wodę. Dzień Wielkanocy rozpoczynał się bardzo wcześnie, bo wszyscy szliśmy na mszę rezurekcyjną, zaczynając się o świcie przy ogłuszającym huku od przybijanego kanflorku. Mama nie lubiła żadnego hałasu, ale dla uczczenia Świąt Zmartwychwstania Chrystusa, pieniądze na kupienie kanflorku, do ręki wsunęła. Śniadanie w dzień Wielkanocny rozpoczynało się od życzeń składanych sobie wzajemnie przy dzieleniu się poświęconym jajkiem. Potem był biały barszcz na kielbasie i ziemniaki, kielbasa na gorąco z chrzanem, szynka ubrana zieleniną, a na koniec babka i inne ciasta oraz kompot z suszonych owoców. Na uroczystość Zesłania Ducha Świętego, czyli Zielone Świąta, czczone w dwóch dniach, dekorowaliśmy zawsze tatarakiem, zielenią i kwiatami nie tylko izby, ale i drzwi wejściowe do domu i płoty. Również do czterech śmig wiatraka przytwierdzone były duże gałęzie z drzew liściastych, widoczne z daleka.

Aż nadszedł przełomowy w naszym życiu rok 1927. Brat mamy, Jan Korzeniewski zaproponował ojcu kupno jego gospodarstwa. Uzasadniał to zamiarem skończenia z pracą w

rolnictwie, a wystąpienie z tym do ojca tłumaczył tym, że w całej rodzinie nasze gospodarstwo było najgorsze. Jego gospodarstwo około 14 hektarów ziemi jak nazywano pszenno-buraczanej, położone było we wsi Świerczynek, w gminie Czamanin, w powiecie wrocławskim, w parafii Świerczyn, w odległości około 30 kilometrów od Milżyna. Ziemię tę dzieliła polna droga na dwie części 2/5 i 3/5. Na całej szerokości większej części działki była łąka z torfem o powierzchni jednego hektara. Ponadto wśród pola były małe łączki.

Przy drodze stały zabudowania z gliny, kryte słomą. W jednym budynku było mieszkanie składające się z pokoju i kuchni od strony drogi, a dalej za ścianą stajnia i obora, oddzielone od siebie płotem z desek. Do mieszkania wchodziło się przez dobudówkę krytą papą. Dalej stała stodoła zamykająca podwórze od strony północnej, a następnie, po drugiej stronie podwórza, równoległe do opisanego budynku stał drugi budynek, również częściowo mieszkalny. Za jego ścianą był chlew i kurnik. Za budynkiem z dobudówką był sad niewielki, który ciągnął się wzdłuż drogi publicznej. Studnia bez kołowrotka była po drugiej stronie tej drogi. Propozycję kupna tego gospodarstwa ojciec przyjął i wkrótce został spisany akt notarialny.

W porównaniu do posiadłości w Milżynie, wartość nabytego gospodarstwa w Świerczynku była znacznie wyższa. W związku z tym, ojciec stał się dłużnikiem Jana Korzeniewskiego. Na niezapłaconą sumę, ojciec podpisał i wręczył wierzycielowi weksle. Termin spłaty długu nie został ustalony. Następstwa tego, jakie później wystąpiły, ciągnęły się długo. Od niezapłaconej sumy, ojciec miał płacić odsetki w wysokości 24 procent rocznie.

Transakcja ta została zawarta w czasie żniw. Rodzina czasowo podzieliła się w zależności od aktualnych potrzeb do pracy i załatwiania spraw związanych ze sprzedażą posiadłości w Milżynie. Trwało to kilka miesięcy zanim znaleźli się kupcy, a było ich czterech. Babcia, macocha ojca miała wybór: albo pozostać u córki Bronisławy, albo przeprowadzić się z naszą rodziną. Wybrała to pierwsze. W zamian za to, Bronisława otrzymała odpowiednią rekompensatę w cenie przy kupnie od ojca ziemi i chaty, w której mieszkała babcia. Ostatecznie przeprowadzka zakończyła się w listopadzie, kiedy ja i Kazia przewiezieni zostaliśmy wozem po śniegu.

W porównaniu z mieszkaniem w Milżynie, w Świerczynku była wielka ciasnota. Nie mogli wszyscy spać w mieszkaniu, bo mieściły się tylko dwa łóżka i kołyska w pokoju. Jedno łóżko było dla rodziców a w drugim spała Kazia i ja naprzemian nogami. Fela miała swoje łóżko w przybudówce, a Bronek i Tolek spali zimą na wyrku w stajni, a latem w stodole. W późniejszym okresie i ja do nich dołączyłem zimą z łóżkiem przerobionym z kołyski, jak Ewa przeniosła się do łóżka Kazi na moje miejsce.

Płacenie wysokich odsetek od zaciągniętego długu spowodowało znaczne obniżenie naszego poziomu życia. Trzeba było ograniczać wydatki na zakupy, uprawiać popłatne, ale najbardziej pracochłonne w uprawie buraki cukrowe, sprzedawać nabiał, zbierać kamienie na polu oraz wykopywane z ziemi głazy i później rozkruszane do sprzedaży w miejscach skupu. Zmagania z wywiązaniem się podjętych zobowiązań trwały około trzech lat. Jednego wiosennego dnia 1930 roku, Jan Korzeniewski, w towarzystwie swojego szwagra Michała Michałowskiego, zgłosił się do ojca i oznajmił, że przyjechał po pieniądze. Na pytanie ojca ile ma przygotować, Korzeniewski odpowiedział, że na papierosy to on pieniądze ma, a na inne rzeczy potrzebuje wszystkie. Wiadomość ta wyraźnie odbiła się na twarzy ojca, wprost oniemiał.

Rozpoczęły się poszukiwania wyjścia z zaistniałej sytuacji. Najprostszym wyjściem byłoby uzyskanie pożyczki z banku i w tej sprawie ojciec udał się między innymi do prezesa Banku Polskiego w Warszawie, ale i tu spotkał się z odmową. Pozostało, więc jedyne wyjście, jakim była zamiana gospodarstwa i uzyskanie dopłaty na spłatę długu. I tak się stało.

W krótkim czasie zamiana taka nastąpiła na gospodarstwo o powierzchni jedenastu hektarów, położone we wsi Miałkie, oddalonej cztery kilometry od Świerczynka. Wieś ta położona była w tych samych granicach administracji państwowej, co Świerczynek, w pobliżu jeziora Orzelskiego, z którego wypływa rzeka Zgłowiączka. Odległość do kościoła parafialnego w Świerczynie wydłużyła się w porównaniu z odległością ze Świerczynka trzykrotnie, do około sześciu kilometrów.

Ziemia w tym gospodarstwie była częściowo piaszczysta z wysokim pagórkami, łąka była z kanałami po wybranym torfie, pozostała część, stanowiąca około połowy całości, była średniej klasy.



Ziemie tę dzieliła na dwie części publiczna droga polna. Po wschodniej stronie tej drogi stały wokół czworokątnego podwórka, zabudowania: czteroizbowy dom mieszkalny, dwa budynki inwentarskie i stodoła. Wszystko było pobudowane z gliny i kryte słomą. Mieszkaliśmy w tej wsi około sześciu miesięcy. Ojciec nie mógł sypiać po nocach. Przerażał go i budził pagórek wznoszący się niedaleko za stodołą. Mając część niewydanych pieniędzy, uzyskanych z dokonanej zamiany gospodarstwa, zlecił pośrednikowi poszukiwania innego gospodarstwa do następnej zamiany. Wkrótce pośrednik wskazał chętnego do zamiany.

Był nim właściciel gospodarstwa oddalonego od wsi Miałkie o około czterdzieści kilometrów, położonego w powiecie niezawskim w gminie Sędzin, we wsi o trzech nazwach: Adolfin przed parcelacją folwarku, Jedność po jego parcelacji, a po wojnie Bodzanowo w parafii Siniarzewo. Powierzchnia tego gospodarstwa wynosiła ponad dziewiętnaście hektarów. Ziemia równinna, typowy czarnoziem kujawski, oraz około trzech hektarów łąki z częściowo występującym płytko torfem i kępami rosnącej trzciny. Łąka ta nosiła nazwę Bąkowo.

Przez wieś przechodziła polna droga, a po jej południowej stronie stał budynek, w części przeznaczony na mieszkanie od strony drogi, a w pozostałej części mieściła się stajnia i obora ze wspólnym wejściem. Stodoła zamykała podwórze od strony południowej, a w jej szczycie wychodziła z podwórza droga na łąkę. Oba budynki pobudowane były z gliny, kryte słomą, nieotynkowane ani wewnątrz ani zewnątrz. Podwórze ogrodzone od strony północnej i wschodniej sztachetami z desek z bramami w kierunku drogi i łąki. Na środku była studnia z kołowrotem, a przy niej betonowe koryto na wodę do pojenia zwierząt. Z tyłu budynku od strony zachodniej, był niewielki sad z wyrosniętymi jabłoniąmi i gruszami, porzeczkami i malinami.

Właścicielem tego gospodarstwa był obywatel polski narodowości niemieckiej. Nabył on tę posiadłość z obciążeniami na rzecz poprzedniego właściciela i jego rodziny. Były to alimenty w naturze, a w tym pszenica i ziemniaki w określonych ilościach oraz 120-kilogramowy świniak, corocznie dla właściciela i jego żony dozgonnie. Dla każdego z czworga ich dzieci, po dojściu do pełnoletniości, po 140 kwintali pszenicy. Po obejrzeniu gospodarstwa i zapoznaniu się z obciążeniami, ojciec zdecydował się na zamianę i w sierpniu 1930 roku i na tę transakcję, spisany został akt notarialny w Warszawie. Zaraz potem nastąpiła przeprowadzka i wtedy okazało się, że przedstawiony przed zawarciem tej transakcji obszar ziemi stanowił tylko cztery piąte gospodarstwa. Pozostała jedna piąta powierzchni, położona była na bagiennym, nieurodzajnym terenie nazywanym Bachorza, w odległości około czterystu metrów od zabudowań, po drugiej stronie drogi.

Na mieszkanie w budynku, były przewidziane trzy izby, każda z jednym oknem: z kuchni na zachód z widokiem na sad, a z pozostałych izb jedna na północ z widokiem na ogródek i drogę, druga na wschód z widokiem na podwórze. Wprowadzenie do mieszkania nastąpiło po otynkowaniu ścian oraz ich pobieleniu wraz z deskami i belkami w sufitach. Do wykonania tych prac poświęciła się mama.

Wieś Jedność powstała jak już wspomniano, w wyniku przeprowadzonej parcelacji majątku Adolfin. Zakończenie tej parcelacji nastąpiło w pierwszej połowie lat trzydziestych i wtedy w wiosce było dwadzieścia jeden zagród, w tym jedna na Bachorzy. Niejako przedłużeniem tej wioski była kolonia Bodzanowo, licząca około trzydziestu zagród, która dalej łączyła się z następną wsią Czołpin. Jedność i kolonia Bodzanowo tworzyły jedno sołectwo. Wśród mieszkańców tych wiosek nie występowały też żadne odrębności.

Na terenie kolonii Bodzanowo, na pograniczu z wsią Jedność, wsią Bodzanowo i folwarkiem Bodzanowo, pobudowana była w końcu lat dwudziestych, czteroklasowa szkoła powszechna z dużym holem i mieszkaniami dla nauczycieli na piętrze. Wieczorami, a także w dni świąteczne, sale szkolne wykorzystywane były w miarę potrzeb na zebrania straży pożarnej, organizacji Strzelec, koła młodzieży Siew, kółka rolniczego oraz na pogadanki i przedstawienia, a niekiedy i na zabawy taneczne.

Do kościoła parafialnego w Siniarzewie, położonego przy szosie Włocławek – Inowrocław, prowadziła dwukilometrowa polna droga, która była błotnista, zwłaszcza na odcinku niziny Bachorza. Na targi do Osiecin, odległych około dziesięciu kilometrów, prowadziła droga również w większości błotnista.

W odległości około dwóch kilometrów od wsi Bodzanowo, znajdował się przystanek kolejki wąskotorowej na trasie Nieszawa – Dobrze. Ta miejscowość znana była ze znajdującej się tam cukrowni. Ludność obu połączonych w jedno sołectwo wiosek, to niemal w stu procentach rolnicy. Tylko około piętnaście procent posiadało wówczas gospodarstwa powyżej dziesięciu hektarów ziemi. Pozostali mieszkańcy to małorolni i dlatego musieli dodatkowo pracować zarobkowo. Były to przeważnie prace sezonowe przy spręćie zbóż i wykopkach okopowych w pobliskich majątkach ziemskich: Bodzanowo, Bilno, Siniarzewo i Gosławice. W koloni Bodzanowo był wiatrak do mielenia zboża, był też szewc, dwa sklepy z mieszanymi artykułami oraz pięciu muzykantów, w tym cztero-osobowa rodzina Kochanowskich. Żył też wśród mieszkańców koloni, posiadający rodzinę, człowiek skazany za popełnione morderstwo z chęci zysku.

Zwyczaje tutejszej ludności, podobne były jak w innych częściach Kujaw. Odbywały się dość często zabawy taneczne, zwłaszcza latem, na wolnym powietrzu. Widoczny był również niespotykany zwyczaj trzymania czapek na głowie w mieszkaniach przez płęć męską. Tylko na czas posiłku czapki były zdejmowane. Ponadto w potocznych rozmowach, zamiast słowa tak, najczęściej używano słowo jo.

W przedstawionym pokrótce środowisku i w nowych warunkach bytowania naszej rodziny, rozpoczęły się normalne nasze zajęcia w gospodarstwie rolnym. Równocześnie jednak, trzeba było usuwać występujące braki w wyposażeniu zarówno mieszkania jak i w budynku. Na początku pobudowany został piec do chleba oraz do wędzenia. Niezależnie od istniejących, założono nowe drzwi wejściowe z szybami w górnej części, dla lepszego oświetlenia kuchni. Poważnym nakładem sił i środków, dobudowany został budynek z pomieszczeniami na spichrz, chlew i piwnicę, na okopowe, również z wejściem w murze do drugiej piwnicy. Wybrana na mury glina, utworzyła sadzawkę dla kaczek. Pobudowana została również szopa na opał i zadaszenie dla wozu i innego sprzętu. Wkrótce też posadzono z tyłu budynków topole. Na jednej wysokiej topoli, rosnącej przy stodole, po latach, bocian założył sobie gniazdo.

Podobnie jak w Świerczynku, uprawna ziemia podzielona była na pięć części o zbliżonym obszarze. Taki podział wynikał z przyjętej zasady stosowania pięcioletniego płodozmianu. Pięcioletni cykl zasiewu na każdej części przebiegał w tej samej kolejności: po wykopaniu okopowych (ziemniaki, buraki, marchew), wiosną zasiew pszenicy jarej i jęczmienia, na jesieni zasiew żyta, a na wiosnę w oziminy wsiew koniczyny, po jej spręćie w następnym roku, zasiew pszenicy ozimej. Uprawiane buraki cukrowe odwożone były do cukrowni w Dobrem odległym o około siedmiu kilometrów, a stamtąd przywożono wysłodki na paszę dla bydła.

Bąkowo, łąka z rosnącą bujną trawą tonęła, co roku w wodzie po wiosennych roztopach i dlatego pocięto ją rowami. Rów główny, który od środkowej części do ujścia oddzielał pola wsi Jedność od pól kolonii Bodzanowo, odprowadzał wodę do kanału na Bachorzy. W rowach utrzymywały się szczupaki i karasie, a na kępach w trzcinie gnieździło się ptactwo wodne: łyski, dzikie kaczki, a nawet kurki. Trzcina wycinana była i zbierana do palenia w piecu do chleba, a także do krycia dachów. Pierwsza trawa koszona była na siano, które chętnie zjadały krowy i konie. Również cięta była na sieczkę, jako domieszka do ciętego zboża. Po spręćie siana na odrośniętej trawie, pasły się krowy do późnej jesieni.

Ziemia na Bachorzy praktycznie nie była uprawiana przez około trzy lata. Tylko na niewielkich skrawkach wyżej położonych, sadzone były ziemniaki i siany był owies, ale zbiory były bardzo skromne. Pozostała część zalana wodą zarastała zielskiem. Stan ten trwał do około połowy lat trzydziestych, to jest do czasu przekopania kanału odwadniającego. Po rozwiezieniu wybranej ziemi, cała działka była wykorzystywana przeważnie pod uprawę zbóż jarych oraz okopowych.

Do uprawy ziemi w posiadanych przez nas gospodarstwach oraz do wyjazdów, zawsze utrzymywaliśmy dwa konie. Na przestrzeni lat, padły u nas trzy konie. W Miłżynie gniada klacz przy porodzie, a w Jedności szpakowata klacz przez ochwat i kary wałach wskutek pęknięcia kości nogi od kopnięcia go przez drugiego. Ponadto w 1939 roku zabrany został dla wojska inny kary wałach, ulubieniec nas wszystkich w domu.

Wszyscy w naszej rodzinie piliśmy zawsze mleko od własnych krów. Tylko okresowo nadmiar mleka sprzedawany był do mleczarni. Oprócz krów, hodowane były również cielęta oraz

buhaj. Podobnie jak mleko, także wieprzowinę jedliśmy tylko z świń własnej hodowli. W Świerczynku jak i w Jedności, był hodowany również knur. Niektóre świny miały tendencje do rycia w gnoju i wywracania koryta. Jedynym sposobem zapobieżenia temu, było założenie takiemu osobnikowi drutu w ryj. Spożywane przez nas mięso z drobiu jak i jajka pochodziły również z naszego kurnika. Młodzi członkowie rodziny, z zamięłowaniem hodowali króliki i gołębie zarówno dla przyjemności jak i na sprzedaż potomstwa. Były też u nas zawsze dwa psy podwórzowe oraz dwa koty. W Milżynie ulubieńcem wszystkich w rodzinie był czarny kundel Borys. Żył z nami przez wiele lat do starości, aż oślepnął tak, że nie rozróżniał odległości. W Jedności wszyscy bardzo lubiliśmy czarną sukę Kunę, wychowaną u nas od małego szczeniaka. Żyła na wolności. Miała całkowitą swobodę poruszania się po podwórzu i w oborze, gdzie miała swoje legowisko. Jeśli tylko któraś krowa nie była spokojna, to Kuna łapała ją za nogę. Uspokajała również bijące się na podwórzu koguty. Skończyła tragicznie. Wieczorem w ostatki przed Wielkim Postem, jedliśmy przy stole pączki, gdy naraz usłyszeliśmy, że Kuna zaatakowana została przez obcego psa. Próby odpędzenia go nawet przy użyciu kija nie powiodły się i dlatego napastnik został zastrzelony. W Wielkim Tygodniu przed Wielkanocą, Kuna dostała ataku wścieklizny.

Przy przeprowadzkach do nowego gospodarstwa zabierane było wszystko, co żyło w siedzibie dotychczasowej. Nie zgodziła się na taką zmianę stara kotka i przewieziona ze Świerczyna do Miałkiego, wróciła z powrotem na stare miejsce. Odległość między tymi wioskami wynosiła około czterech kilometrów drogą polną, z kilkoma zakrętami, przebiegającą przy zabudowaniach folwarku Iłowo. Przy przeprowadzkach przewożony był także sprzęt i maszyny gospodarcze takie jak pług, kultywator, Ciężkie i lekkie brony, radło, młockarnia, siewkarnia i wialnia. Zgodnie z zawartymi porozumieniami z poprzednimi właścicielami, tylko kieraty nie były przewożone.

W miarę upływu czasu od zamieszkania we wsi Jedność, wszyscy z naszej rodziny stopniowo wtapiali się w to nowe środowisko. Następowало to przede wszystkim przez kontakty z ludźmi na terenie organizacji i szkoły. Ta integracja z miejscowym społeczeństwem nie oznaczała bezkrytycznego przyjmowania zakorzenionych tu zwyczajów i zachowań w kontaktach z ludźmi. Nabyte przez nas w przeszłości doświadczenia i przestrzegane zwyczaje, były nierzadko na tym terenie również z naszej strony z powodzeniem przekazywane. Może tu posłużyć drobny przykład opowiedziany przez ojca. Sołtys zwołał do swego mieszkania zebranie mieszkańców obu wiosek. Gdy ojciec wszedł do izby, zobaczył wszystkich siedzących mężczyzn w czapkach na głowie. Sam czapkę zdjął, a za nim wszyscy zrobili to samo. Mieliśmy również większą niż inni możliwość dzielenia się wiadomościami zarówno z regularnie otrzymywanych gazet jak i z radia, które na terenie naszych wiosek posiadał tylko kierownik szkoły. U nas radio zainstalował Adaś w połowie lat trzydziestych. Był to aparat z dwiema parami słuchawek, które często były rozdzielane do jednego ucha, aby więcej osób mogło równocześnie słuchać. Antena była zaciągnięta wzdłuż siodła na dachu budynku i stodoły, a na uziemie posłużyła blacha ze starego wiadra. Ojciec należał do kółka rolniczego pełniąc funkcję sekretarza. Był również wybrany na członka gromadzkiej rady narodowej, a następnie został członkiem zarządu gminy Sędzin z siedzibą w Krzywosądry.

\*

Nadszedł wrzesień 1939 roku. Sąsiedzi z zachodu i wschodu wkroczyli do naszego kraju mordując, grabiąc, niszcząc, wywożąc ludzi do obozów na Sybir i do pracy w zakładach i w rolnictwie. O grabieży na wsiach i wywożeniu ich właścicieli za Kutno, jak nazywano generalną Gubernię, mówiło się powszechnie wkrótce po wkroczeniu do kraju okupanta niemieckiego.

Wtedy to też obywatel polski, mieszkaniec wsi Jedność, Otto Hundl założył na lewy rękaw opaskę z niemieckim napisem i z fuzją na ramieniu przechadzał się drogą przez wieś. On też polecił moim braciom wypisywać dowody osobiste (kenkarta) wzywanych do jego mieszkania, mieszkańcom naszych wiosek. Od początku 1940 roku trwały u nas w domu przygotowania do przewidywanego wysiedlenia. Sprzedawane były zapasy zboża, świny, jałowizna, a uzyskane pieniądze, niemieckie marki, ojciec dzielił na członków rodziny. Ważniejsze dokumenty, zarówno rodzinne jak i odnoszące się do gospodarstwa, zostały złożone do wysterylizowanego słoja i z

oblanym stearyną nakryciem, słoń ten spoczął w ziemi przy szparze w fundamencie stodoły, od strony wschodniej. W porze letniej, niektóre przedmioty z mieszkania, w tym pościel, były wyniesione do stodoły sąsiada posiadającego niewielkie gospodarstwo. Mama została przewieziona do zaprzyjaźnionego organisty mieszkającego w Krzywosądku. Był on przedtem organistą w Zgłowiączce. Pozostali w domu pełniliśmy na zmianę każdej nocy wartę, bo grabież majątków odbywała się tylko nocą. Latem noc spędzaliśmy w zbożu.

I stało się. W nocy z 19 na 20 lipca 1940 roku nocując w zbożu na Bachorzy, usłyszeliśmy szczenie naszych psów uwiązanych przy budach na podwórzu, szczeniły długo. Przez utratę majątku z mieszkaniem włącznie, musiało nastąpić, jakże bolesne w takich warunkach, pożegnanie się każdego z wszystkimi w rodzinie. Tylko rodzice, szczęśliwie pozostali razem. Po pewnym czasie wynajęli sobie u życzliwych sąsiadów w Jedności izbę i mieszkali w niej do czasu powrotu na własne gospodarstwo wiosną 1945 roku. Był to nie tylko powrót, ale i zrzucenie przez ojca obowiązku doręczania mieszkańcom obu wiosek pism urzędowych, do czego był zobowiązany przez Otto Hundla.

Wyjęte niezwłocznie po powrocie dokumenty złożone w słoju do ziemi, nie uległy uszkodzeniu. Do odzyskanego gospodarstwa, zagrabionego w czasie wojny przez niemieckiego okupanta wrócili rodzice, Ewa oraz czasowo Tolek. Na stałe pozostali w gospodarstwie rodzice z Ewą, która wkrótce wyszła za mąż. Testamentem zapisanym w akcie notarialnym z dnia 15 lipca 1952 roku, ojciec ustanowił jedyną spadkobierczynią naszą mamę i zobowiązał do podziału gospodarstwa z wyszczególnieniem obszaru gruntu dla każdego z nas dzieci. Zagrodę przeznaczył Ewie zobowiązując ją do utrzymania mamy do śmierci. Ja i moich dwóch braci otrzymaliśmy działki jednakowej wielkości, po cztery morgi ziemi (2,22 hektara). Ojciec zmarł 24 listopada 1952 roku i został pochowany na cmentarzu w Siniarzewie. Na pogrzebie rodzina była w komplecie z wyjątkiem Adasia. We wspólnocie z rodziną Ewy, mama przeżyła niespełna osiemnaście lat. Zmarła 27 września 1970 roku i została pochowana na cmentarzu w Siniarzewie. Na pogrzebie rodzeństwo było w komplecie.

Adaś rozstał się z nami w roku 1930, gdy mieszkaliśmy w Świerczynku. Już, jako chłopiec pomagał ojcu na wiatraku przy mieleniu zboża. W miarę dorastania był już samodzielnym młynarzem. W wieku szkolnym, ukończył trzy klasy szkoły powszechnej. Należał do koła Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w Zgłowiączce. Był również strażakiem w Ochotniczej Straży Pożarnej, która miała swą siedzibę również w Zgłowiączce. Na kilka miesięcy przed powołaniem do służby wojskowej, otrzymał pracę w charakterze kierownika młyna parowego w miasteczku Chodecz. W październiku 1926 roku, został powołany do wojska w 8 pułku saperów w Toruniu. Jako sanitariusz, służbę tę ukończył w stopniu kaprała w 1928 roku. Po powrocie z wojska, działał w Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej przy parafii w Świerczynie. Organizował i sam brał udział w konkursie upraw płodów rolnych, a w tym kukurydzy i buraków. Za uzyskane wyniki w uprawie oraz za opis przebiegu konkursu, otrzymał nagrodę w postaci centnara saletry chilijskiej, najcenniejszego sztucznego nawozu. Adaś zmarł 18 lipca 1997 roku. Byłem na jego pogrzebie. Kochanemu Adasiowi w głównej mierze zawdzięczam ukształtowanie się losów mojego życia wieku dojrzałego.

Najstarsza siostra Fela od najmłodszych lat pomagała mamie w domu. Chodziła do szkoły w Zgłowiączce, gdzie ukończyła pięć oddziałów. W miarę wzrastania, pracowała również w polu, a także na łące, zarówno przy suszeniu siana jak i przy suszeniu torfu. Pracowała dużo i ciężko, co spowodowało zniekształcenie się palców u rąk. Około dwudziestego roku życia, przez rok czasu przebywała w szkole rolniczej we wsi Marysin koło Lubrańca. Należała do Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w parafialnych kołach w Zgłowiączce i Świerczynie, a także do Koła Młodzieży Wiejskiej „Siew” w Bodzanowie. Bardzo dużo czytała zarówno gazety jak i książki. Miała chętnych do małżeństwa czterech chłopców: Adama, Jana, Teodora i Józefa Rybackiego. Wybrała tego ostatniego. Ślub odbył się w maju 1933 roku, w kościele parafialnym w Siniarzewie. Wesele było huczne, z orkiestrą najlepszych w okolicy muzykantów: Ignaczewski – klarnet i flet, Lewandowski – skrzypce i kornet. Na tańce, była zbita z desek podłoga, ułożona w ogródku przed mieszkaniem. Zabawa trwała do rana. Na wiano, Fela otrzymała około trzech hektarów ziemi wydzielonych z

posiadanego przez rodziców gospodarstwa. Młode małżeństwo początkowo zamieszkało u rodziców Józefa we wsi Czołpin. Po upływie dłuższego czasu przybyli już z dzieckiem Stasiem do wsi Jedność i tu osiedlili się na gospodarstwie Wawrzyńca Rybackiego, brata Józefa, który w zamian otrzymywał odpowiednie alimenty. Łączna powierzchnia ich gospodarstwa wynosiła około dziesięciu hektarów ziemi. Oprócz Stasia, Fela urodziła jeszcze dwóch synków, Henryka i Mariana, oraz córkę Krystynę. W roku 1940 cała rodzina została wysiedlona przez niemieckiego okupanta i wywieziona do wsi Ośno, gdzie Józef pracował, jako robotnik na folwarku. Po wycofaniu się Niemców w roku 1945, cała rodzina wróciła do swego gospodarstwa. W roku 1947, mąż Feli Józef zginął w wypadku na wiatraku we wsi Narkowo. W tragicznej sytuacji, Fela wyszła za mąż za Walczaka, syna rolnika z pobliskiej wsi Ujma Mała. Śmierć spotkała Felę nagle w kościele po odbytej spowiedzi, w niedzielę 29 lipca 1990 roku. Pochowana została na cmentarzu w Siniarzewie. Byłem na jej pogrzebie.

Brat Broniek, podobnie jak Fela, ukończył również pięć oddziałów szkoły powszechnej w Zgłowiączce. Po odejściu Adama zajął on funkcję młynarza na wiatraku w latach 1926 – 1927. Hodował gołębie i króliki. Jednego wieczoru wchodząc do obory spostrzegł jak w jego stronę biegł kot, aby złapać gołębia. Szybko wyciągnął z kieszeni rewolwer i strzelił. Jednak zamiast w kota, kula trafiła w nogę. Ojciec założył konie do wozu i zawiózł Bronka do Lubrańca, gdzie lekarz otworem w podszewie wyjął kulę. Należał również, jak starsze rodzeństwo, do koła Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w Zgłowiączce i Świerczynie. Dużo czytał i dużo chorował. Zmarł w Wielkanoc rano w 1932 roku mając 22 lata. Byłem razem z rodzicami przy jego śmierci. Mama podtrzymywała jego rękę z palącą się gromnicą i modliła się, a ja z książeczki do nabożeństwa odmawiałem modlitwę za konających. Pochowany został na cmentarzu w Siniarzewie. Wtedy po raz pierwszy w życiu widziałem płaczące ojca.

Brat Tolek ukończył siedem oddziałów szkoły powszechnej w Lubrańcu, co w tamtym okresie czasu (lata dwudzieste) było znaczącym sukcesem. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych pracował, jako urzędnik w urzędzie gminy Czamanin z siedzibą w Topólce. W tym czasie grał również na tenorze w orkiestrze przy parafii w Świerczynie. Tutaj też należał do koła Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. W ochotniczej straży pożarnej w Bodzanowie pełnił początkowo funkcję adiutanta, a następnie naczelnika. W tym czasie pracował w kasie Stelczyka w Czołpinie na stanowisku rachmistrza. W 1932 roku został powołany do odbycia służby wojskowej w 4 pułku artylerii lekkiej w Inowrocławiu. W kilka miesięcy później został zwolniony po przebytej operacji z resekcją żebra wskutek ropnego zapalenia płuc i wrócił do domu. Komisja lekarska uznała go, jako inwalidę z pierwszą grupą inwalidztwa w związku ze służbą wojskową. Po upływie pewnego czasu rana na plecach odnowiła się i nastąpił wyciek. Gdy zgłosił się do szpitala wojskowego w Toruniu, gdzie był operowany, nie został przyjęty, gdyż nie był już żołnierzem. Wrócił do domu bliski rozpaczy. Wówczas mama powiedziała mu, aby przygotował się do spowiedzi, bo jutro rano pójdą do kościoła na mszę świętą i w modlitwie będą prosić o jego zdrowie. I poszli. Po kilku dniach, rana zablizniła się. Już na zawsze. Mógł, zatem w dalszym ciągu pełnić obowiązki naczelnika straży pożarnej. Po wielu staraniach w różnych instytucjach, w roku 1939 otrzymał zaświadczenie o zakwalifikowaniu go do szkoły dla inwalidów w Poznaniu. Szkoła przygotowywała do zawodu, w zależności od stopnia i rodzaju inwalidztwa. I pojechał, ale nie na długo. Wybuch wojny rozwił nadzieję na zdobycie kwalifikacji do odpowiedniego zawodu. Wrócił do domu, także nie na długo. Po wysiedleniu z gospodarstwa w roku 1940, Tolek pojechał do Poznania i tam pracował przez cały czas wojny. Po wojnie zamieszkał w Aleksandrowie Kujawskim. Pracował na miejscu, jako urzędnik w urzędzie miasta, a po pewnym czasie podjął pracę na podobnym stanowisku w urzędzie gminy Radziejów. Ostatnim jego zatrudnieniem przed przejściem na emeryturę było stanowisko inspektora w firmie eksploatującej kruszywo. Ożenił się z Heleną Toczek. Urodziły im się trzy córki Barbara, Anna i Wanda oraz syn Zbigniew. Mieszkali we własnym domku w Aleksandrowie Kujawskim. Zmarł 31 grudnia 1995 roku. Pochowany został na miejscowym cmentarzu. Byłem wraz z siostrą Kazią na jego pogrzebie.

Siostra Kazia ukończyła siedem oddziałów szkoły powszechnej w Bodzanowie. Pracowała dużo zarówno w polu jak i w domu pomagając mamie. Dużo czytała zarówno książki jak i miesięczniki religijne prenumerowane przez mamę takie jak Posłaniec Serca Jezusowego i Rycerz Niepokalanej.

W roku 1938 zwierzyła się mamie, że pragnie wstąpić do zakonu. Z podobnym zamiarem nosiła się nasza krewna Jadwiga Michałowska. Pojechały, więc, obie do Płocka, gdzie w zakonie przebywała siostra mamy Anna, z zakonnym imieniem siostra Krystyna, aby pomogła im zrealizować zamiary. Po rozpatrzeniu się na miejscu, Kazia zdecydowała wstąpić do zakonu sióstr Pasjonatek w Płocku, innego niż zakon ciotki, siostry Krystyny. Jadwiga natomiast odstąpiła od realizacji zamiaru wstąpienia do zakonu. Wkrótce potem, Kazia odpowiednio wyposażona wyjechała pod opieką ojca do Płocka i tam już została w zakonie sióstr Pasjonatek z zakonnym imieniem Anzelma.

W czasie okupacji, Anzelma pracowała w Płocku u oficera niemieckiego, a także w obozie dla dzieci w Iłowie koło Działdowa. Wywieziona pod koniec wojny do Niemiec, wróciła stamtąd do Płocka. W ostatnich latach pracowała w domu opieki społecznej w Brańszczyku koło Wyszkowa. Ja i bracia odwiedzaliśmy siostrę w tym domu, również z okazji pięćdziesięciolecia jej życia zakonnego. Z tej też okazji Ojciec Święty Jan Paweł drugi nadesłał z datą 21.04.1989 dla siostry apostołskie błogosławieństwo. Zmarła 13 grudnia 1999 roku w szpitalu w Wyszku. Msza święta pogrzebowa, koncelebrowana była przez siedmiu księży. Uczestniczyło w niej kilkadziesiąt sióstr zakonnych oraz personel i mieszkańcy domu opieki. Pochowana została na cmentarzu w Pułtuskach, w kwaterze sióstr Pasjonatek. Byłem obecny zarówno na mszy świętej jak i na pogrzebie, ostatniej z rodzeństwa.

Najmłodsza siostra Ewa również ukończyła siedem oddziałów szkoły powszechnej w Bodzanowie. Całe życie spędziła w pracy w domu jak i w polu. Po wysiedleniu nas przez okupanta w roku 1940, zawiozłem ją do zaprzyjaźnionego sąsiada w Miłżynie, który chętnie Ewę przyjął, ale tam długo nie wytrzymała. Przeniosła się do pracy u Niemca we wsi Janiszewo, sąsiadującą ze Zgłowiączką i tam pracowała do końca okupacji. Tam też poznała chłopca, syna rolnika Jana Magosa. Po powrocie do rodziców, wyszła za niego za mąż i zamieszkali razem z rodzicami. Zgodnie z testamentem ojca z dnia 15.07.1952, objęła należną jej część ziemi wraz z budynkami. Po pewnym czasie dokupiła jeszcze od Adasia należną jemu działkę ziemi. W cytowanym testamencie, ojciec zobowiązał Ewę do zapewnienia mamie po jego śmierci opieki oraz warunków życia identycznych, jakie będą w jej rodzinie. Urodziła trzy córki: Bogumiłę, Zofię i Elżbietę oraz syna Aleksandra. Zmarła 10 czerwca 1990 roku w szpitalu w Aleksandrowie Kujawskim. Pochowana została na cmentarzu w Siniarzewie. Byłem na jej pogrzebie.

Jak już wspominałem poprzednio, byłem obecny przy śmierci brata, Bronka. Wszyscy pozostali moi ukochani, zarówno rodzice jak i rodzeństwo pomarli z dala ode mnie. Dzięki powiadomieniu mnie przez Teresę, córkę Adasia, o ciężkiej jego chorobie, rozmawiałem z nim na kilka dni przed jego zgonem. Wszystkie trzy siostry zmarły niespodziewanie. Rodzice i Tolek chorowali. O zgonach ich wszystkich byłem powiadamiany po śmierci. W serdecznym żalu opłakiwałem wszystkich nie tylko na pogrzebach. Od śmierci mamy w roku 1970, codziennie modłę się do ran Chrystusowych, o miłosierdzie Jezusowe dla dusz wszystkich zmarłych, tak drogich mojemu sercu. Wybrałem tę modlitwę z wdzięczności dla mamy, bo do Ran Chrystusowych, mama modliła się codziennie za nas, jej dzieci. Mówiła też z troską do mnie, że będziemy tej modlitwy pozbawieni jak ona umrze. Jednego dnia wieczorem, przy stole oświetlającą pokój lampą naftową, Fela zapytała mamę, dlaczego na chrzcie nadano dziecku tak rzadko spotykane imię Nikodem. Na to mama odpowiedziała, że imię to wybrała, aby urodzone przez nią dziecko, brało w swym życiu przykład do naśladowania z Nikodema zdejmującego Chrystusa z krzyża.

\*

Nadeszła kolej, aby w opowiadaniu tym o życiu naszej rodziny, przedstawić własne przeżycia od najmłodszych lat, do dnia zakończenia pisania tego opowiadania. Obecnie sam nie jestem w stanie ustalić bezbłędnie, w którym roku mojego życia występowały przedstawione niżej przeżycia i zdarzenia i pozostały dotąd w mojej pamięci. Jest niemal pewne, że było to w okresie przed ukończeniem szóstego roku życia, to jest do 1922 roku.



Byłem z ojcem na cmentarzu i oparty o nogę ojca, płakałem jak grabarz wpuszczał trumienkę do dołka, a wtedy on do mnie powiedział: nie płacz ja mu zrobię taką trumienkę na wierzchu. Dziecko to było urodzone w 1920 roku.

Stałem przy krzyżu stojącym przy szosie za rowem i zobaczyłem wóz z żołnierzami ciągniemy przez dwa konie jadący od Lubrańca w kierunku Izbicy, a z tyłu za wozem siedł przywiązany wielbłąd.

Przy kopaniu ziemi przed tym krzyżem, szpadel zazgrzytał o coś twardego wtedy mama powiedziała do kopiącego mężczyzny, że to pewnie zakopany garnek, co oznaczało ukryty skarb.

Siedziałem z Kazią w kuchni, weszła mama i powiedziała: założę wam fartuszki i pójdziecie zobaczyć umarłego kowala. I poszliśmy. W sieni spotkał nas najstarszy syn kowala nazywany Indroch, który miał w jednym ręku siekiere, a w drugiej kota. Weszliśmy do izby zobaczyliśmy leżącego na łóżku kowala z pogryzionym nosem.

Jednego dnia ojciec powiedział do mnie: idź do babci i przynieś krępulec (drażek ponacinany na końcach do przetykania żył w tylnych nogach zabitego świniaka wieszanego na haku do czyszczenia i rozbierania na części). Poszedłem, a babcia jak zwykle uściskała mnie, podała krępulec i sto marek do rączki. Był to banknot w ciemno niebieskim kolorze. Przyszedłem z krępulcem i na zabitego świniaka rzuciłem ten banknot. Broniek i Tolek podskoczyli, aby go zabrać. Wartość marki polskiej była niewielka. Kwarta mleka kosztowała pół miliona. Wymiana marek na złotówki nastąpiła w 1923 roku.

Byłem na łące i znalazłem gniazdko a w nim gołe pisklęta z żółtymi dziobkami. Były tak brzydkie, że nosiłem ich na jednym palcu i rzucałem do kanału z wodą.

Wszedłem do pokoju, w którym leżała na łóżku mama, a przy niej siedziała na krześle „Niemowina” i od progu zawołałem: kura już ugotowana. „Niemowina” nazywana od męża niemowy, była we wsi babką pomagająca kobietom przy porodach.

W łóżku siedziała w koszuli mama i aparatem ściągala z piersi pokarm. Ja się przyglądałem jak z szumem pokarm wpadał do zbiorniczka, a mama przelewała go do szklanki i podawała mi, abym wylewał do popiołu w popielniku pod kuchnią.

Latem w 1923 roku, był gruntownie przebudowany wiatrak. Wymienionych było szereg elementów, a najważniejsze to stember z sosnowego na dębowy, pytel na cylinder do odsiewania mąki od otrąb, blacha na dachu na drewniane gonty. Roboty prowadził majster Wiśniewski. Zatrudnieni byli między innymi dwaj pilarze piłujący okrągłe kloce na odpowiednią tarcicę. Jeden z tych pilarzy, starszy już mężczyzna, przynosił codziennie liście tytoniu i kładł na kuchni, aby się suszyły. Zawsze przychodził przed południem niby to przewracać ten tytoń. Patrzyłem kiedyś jak przyszedł i przesunął stolnicę nakrywającą sagan z gotującą się zupą, ale tytoniu nie dotknął. Popatrzył i wrócił z powrotem. Mama musiała również to zauważyć, bo któregoś dnia powiedziała, że Szczepan przychodzi zaglądać do saganu, co będzie jadł na obiad.

Ja cały czas przyglądałem się pracującym na placu robotnikom, ale miałem też obowiązek pilnować jednoroczną Ewę. Jednego dnia gdzieś odszedłem, a gdy wróciłem, nie było jej na miejscu, na którym ją zostawiłem. Płakałem i szukałem wszędzie i nie znalazłem. Dopiero po pewnym czasie, mama pokazała mi, że dziecko leżało w redlinie pomiędzy rosnącymi ziemniakami.

Innym razem wszyscy robotnicy włącznie z majstrem zatrudnionym przy przebudowie wiatraku szukali pilnie potrzebnego świdra. Włączyłem się i ja do szukania i wkrótce znalazłem go na stolarskim warsztacie pod warstwą wiórów. Byłem dumny z pochwał słyszanych od majstra, a i ojciec mnie pochwalił.

Latem często przyglądałem się z ciekawością ruchowi pszczół na ‘języku’ u wejścia do kuszki, a widząc to ojciec pokazał mi, która jest pszczoła z ‘robotą’ oblepioną na nóżkach, a który jest truteń. Jednego roku, gdy pszczoły wyroiły się z kuszki i osiadły na drzewie, ojciec oznajmił mi, że będą to moje pszczoły. Sprawił mi tym wielką radość a obserwacje moich pszczół jeszcze się wydłużyły. Był to jednak rój słaby, bo wyrojony około połowy lata, a według opinii ojca, rójki powinny odbywać się przed dniem świętego Jana, to jest przed 24 czerwca. Z tego powodu, na zimę pszczoły otrzymały do kuszki pokarm na talerzu z rozpuszczonego cukru z pływającymi słómkami, a

kuszką obłożoną słomą została zakopana ziemią. Niestety, zima przeciągnęła się i dlatego po odkopaniu kuszki na wiosnę, okazało się, że pszczoły nie przeżyły, za mało miały pokarmu.

U nas chleba nigdy nie brakowało, czego zazdrościli mi niektórzy koledzy. Byli głodni i chcieli jeść. 'Daj chleba', można było często od nich słyszeć. Jednego wieczoru, syn kowala Tadeusz mieszkający po sąsiedzku, zagwizdał przed domem, aby do niego wyjść. Gdy wyszedłem zawołał: daj chleba, bo jak nie dasz, to powiem matce, że kradniesz zapałki. Wróciłem, ukroiłem z bochenka kromkę chleba i zaniósłem mu. Złapał i zaraz uciekł. Gdy wróciłem do domu mama zapytała, - a gdzie chleb? Odpowiedziałem, że mi upadł i dałem psu. Mama nic na to nie powiedziała, popatrzyła tylko na mnie znacząco. Skłamałem, bo już nieraz chleb wynosiłem dla dzieci, a miałem to zabronione.

W roku 1923, mając sześć lat, niespodziewanie zostałem uczniem pierwszego oddziału szkoły powszechnej. Wyraził na to zgodę na prośbę ojca pan Michał Traciłowski, który został skierowany, jako nauczyciel w nowo otwartej szkole w Milżynie, która mieściła się w naszym domu. Wystarczyło, zatem, przejść z pokoiku przez sieni i już byłem w szkole. Były tam dwa rzędy ławek, na czworo dzieci każda. Po prawej stronie siedziały dzieci pierwszego oddziału, po lewej, od strony okien, drugiego oddziału, a wśród nich siostra Kazia. Była tablica stół i krzesło. Uczniowie pierwszego oddziału mieli dwie książki: elementarz i do rachunków oraz trzy kajety (zeszyty) do polskiego, do rachunków i do rysunków, a do pisania tylko ołówek. Uczyliśmy się też religii i śpiewu oraz robót ręcznych. Każdego dnia przed nauką odmawialiśmy modlitwę. Oto jej końcowy fragment: „Boże dodaj nam ochoty i zdolności, aby ta nauka była dla nas z pożytkiem doczesnym i wiecznym przez Chrystusa Pana naszego. Amen”. Również kończenie lekcji kończyło się modlitwą.

W ciągu roku szkolnego, w każdą niedzielę i święto 3-Maja, zbieraliśmy się w szkole i w parach prowadził nas nauczyciel do kościoła na mszę świętą. W święto 3-Maja wszyscy szliśmy z chorągiewkami w rękę, wykonanymi na lekcjach robót ręcznych. Tylko w odpust 8 września, z grosikami włożonymi do kieszeni przez mamę, szło się do kościoła indywidualnie. Tak samo do kościoła przychodziły w parach dzieci ze wszystkich szkół znajdujących się na terenie parafii Zgłowiączka. Na każdą niedzielę, dzieci jednej ze szkół, w ustalonej kolejności przygotowywały pieśń i śpiewały w kościele podczas mszy świętej. W jedną niedzielę my śpiewaliśmy pieśń do Matki Bożej zaczynającej się od słów: „Już od rana rozśpiewana chwał o duszo Maryję”. Zapamiętałem tę pieśń, bo zapytał mnie przed mszą świętą organista zapewne, dlatego, aby dowiedzieć się, jaką melodię ma zagrać na organach. Tak jak na mszę świętą w niedzielę, chodziliśmy również parami z nauczycielem na wielkanocne rekolekcje. Zwyczaj grupowego chodzenia do kościoła na mszę świętą i rekolekcje istniał przez cały czas uczęszczania do szkoły w Milżynie.

W szkole w miarę postępu w sztuce pisania, ołówki zamienialiśmy na obsadki ze stałówkami i pisaliśmy atramentem, który każde dziecko przynosiło codziennie z domu w kałamarzu. Dopiero po kilku miesiącach, zakupione zostały kałamarze wkładane do otworów w ławkach i te już zostawały w szkole. Bez trudności, z pierwszego oddziału przeszedłem do oddziału drugiego. Z nastaniem wakacji, rozpoczynała się przy kościele w Zgłowiączce nauka religii, przygotowująca do przyjęcia pierwszej Komunii świętej. Nauka była podzielona na dwa etapy, przez dwa kolejne lata. Po ukończeniu i zdaniu egzaminu z pierwszego etapu, można było przystępować tylko do spowiedzi. Dopiero po zdaniu egzaminu z nauki w drugim roku, przystępowało się do pierwszej Komunii Świętej. Ja drugi rok nauki musiałem powtarzać, bo na egzaminie po pierwszym roku, nie potrafiłem odpowiedzieć na pytanie, co zabrania szóste przykazanie Boże.

Z okresu nauki religii na powietrzu przy kościele, utkwily w mojej pamięci dwa zdarzenia, a mianowicie: za rzucanie kamieniami w kościół przed rozpoczęciem nauki, ksiądz wypędził nas do domu, a także jak ten sam ksiądz wobec organisty i wszystkich dzieci, bił chłopca batem z wikliny po gołym tyłku, za zrywanie jabłek w jego ogrodzie. Tego chłopca nazywaliśmy Płacheciu, przewisko pochodne od jego nazwiska. Pierwszą Komunię świętą przyjąłem w roku 1926. W kościele była ze mną mama. Otrzymałem pamiątkowy obrazek. Miałem nowe ubranie i przypięty do boku kwiatek ze wstążeczką.

Nowym nauczycielem w szkole, gdzie byłem uczniem drugiego oddziału, był pan Stanisław Kapilewicz. Podobnie łatwo jak przed rokiem, przeszedłem z drugiego do trzeciego oddziału. W

tamtym okresie czasu, zobaczenie jadącego szosą samochodu zawsze było dla nas dzieci atrakcją. Jednego dnia pasąc na łące krowy, naliczyłem ich rekordową ilość, bo aż szesnaście. Nawet siedząc w szkole, podnosiliśmy się w ławkach, aby ujrzeć jak ten samochód wygląda. Jednego razu i nauczyciel też poderwał się z krzesła, powiedział głośno: to aeroplan, zamknął drzwi na klucz i sam obserwował to 'zjawisko'. Od trzeciego oddziału nauka odbywała się już w innym budynku. Był to tak samo dom mieszkalny, oddalony od naszego około trzysta metrów drogą polną, ale izba była większa, a ponadto znacznie większy był plac do zabaw. Zmienił się również i nauczyciel. Nowy nazywał się Julian Zwierz, który wkrótce naraził się niektórym rodzicom, a szczególnie mojemu ojcu. Pod koniec roku szkolnego podjęte zostały starania u władz szkolnych o odwołanie tego nauczyciela i zakończyły się powodzeniem. Pan Zwierz został odwołany, a ja na świadectwie na koniec roku miałem siedem dwój. Nowy nauczyciel nazywał się Tadeusz Miziarski. Ten nie był zwalczany i pozostał na następny rok, ja otrzymałem od niego świadectwo na koniec roku również z siedmioma dwójami. Nie wiem, dlaczego tak pan Miziarski mnie ocenił. Czytałem dużo. Pasąc krowy na pastwisku, przeczytałem książkę pod tytułem „Jak być mogło” z bohaterem Żarskim, który zbudował helikopter. Książka ta była wydana przez Bibliotekę Domu Polskiego, z której brat Adaś otrzymywał książki w prenumeracie. Pisałem też listy do Adasia będącego w tym czasie w wojsku, na które zawsze trzymałem odpowiedzi.

Prawdziwą udręką, wręcz tragedią, dzieci na wsi, których rodzice posiadali krowy, było ich pasienie. Każdego dnia, nie wyłączając niedziel i świąt, jak najwcześniej rano trzeba było pędzić krowy na łąkę, lub na rżysko (ściernisko po skoszonym zbożu), bez względu na pogodę. Jak padał deszcz i było chłodno to derkę (rodzaj koca) na głowę i stare trzewiki, klapocze, albo objjoki na nogi i za krowami... W niedzielę i w odpust, czy w inne święto, trzeba było napaść krowy przed pójściem do kościoła, a tym samym wstać wcześniej jak w dzień powszedni. Klapocze, inaczej trepy, były to chodaki na drewnianych grubych podszwach, obite grubą skórą zakrywającą stopę do połowy. Objjoki były również na drewnianych podszwach, obite skórą do wysokości kostek. Były też trepy sznurowane jak trzewiki. Latem w trzewikach chodziło się tylko do kościoła i w odwiedziny do krewnych. Należy tu dodać, że na wsi, od nastania ciepłych dni na wiosnę do jesiennych chłódów, wszystkie dzieci, i nie tylko dzieci, chodziły boso. Pamiętam jak Adaś podczas spędzania urlopu u nas na wsi w 1933 roku wskazał na moje nogi i powiedział do żony, - zobacz Jaś, jakie on ma szerokie stopy, bo chodzi boso. Razem z naszymi krowami również pasłem babci krowę na pastwisku, po którą trzeba było chodzić i odprowadzać do obory, bo babcia, jak już wspomniano mieszkała oddzielnie.

Jednego dnia pasąc krowy zauważyłem, że krowa babci dziwnie się zachowuje. Kładła się na trawie, wstawiała, aby za chwilę znów się położyć i tak powtarzała to kilka razy. Wreszcie poderwała się i po kilku krokach, wypadło z niej cielątko. Ktoś zawiadomił babcię o tych narodzinach i córka jej Józefa, zabrała cielątko na taczkę i powiozła z obok idącą krową do obory. Po kilku dniach babcia wsadziła mi do rączki pieniądze za 'ocielenie krowy'.

Było to pod koniec 1927 roku, gdy już część rodziny od kilku miesięcy mieszkała w Świerczynku. Ze względu na bliskość do szkoły, najdłużej w Milżynie mieszkaliśmy we dwoje z Kazią. Przyszedł jednak dzień rozstania się z nauczycielem, koleżankami, kolegami, z tą szkołą. Było to na końcowej lekcji około połowy listopada. Na pożegnanie odśpiewaliśmy wszyscy piosenkę: „Upływa szybko życie, jak potok płynie czas...”. Pamiętam jak po skończeniu śpiewu, siedzący obok mnie kolega Józef Szczerbiak powiedział, -patrzta Nikodem płacze. Na drugi dzień, drogą pokrytą grubą warstwą śniegu, pojechaliśmy do Świerczynka wozem zaprzęgniętym w dwa konie.

Teraz szkoła nasza znajdowała się w Topólce. Jest to wieś położona nad rzeką Zgłowiączką, o około 7 kilometrów od jej źródła. Była tu również siedziba urzędu gminy Czamanin, była poczta i posterunek policji. Budynek szkolny posiadał dwie klasy do nauczania oraz mieszkania dla nauczycieli. Trzecią klasę tej szkoły stanowiła wynajmowana izba w łączącej się z Topólką wiosce Rucin. Naukę od pierwszego do szóstego oddziału prowadziło troje nauczycieli: Jan Bloch (kierownik szkoły), Stefania Dardzianka i Józefa Grzankówna.

Droga polna ze Świerczynka do Topólki prowadziła przez typowy kujawski czarnoziem. Była to odległość około trzech kilometrów. W okresie jesieni, zimy i wiosennych roztopów, chodzenie tą drogą zwłaszcza w klapoczach można określić bez przesady, jako koszmar. Błoto do kostek, śnieg pod kolana i znów błoto, zwłaszcza w dolinie, obok znajdującego się w pobliżu stawu. W połowie tej drogi stały czworaki dla służby w majątku ziemskim Galonki. Przez tę miejscowość, przy drodze przebiegały w kierunku Topólki tory kolejki wąskotorowej kolejki do cukrowni w Brześciu Kujawskim. Chodzenie po nasypie pod ten tor, mimo tablic z napisami zakazu, częściowo łagodziło istniejące koszarne warunki na błotnistej drodze.

Kazia w czwartym oddziale trafiła do klasy w budynku szkolnym, ja natomiast w trzecim oddziale miałem się uczyć w izbie wynajętej w Rucinie. Ławki były tu długie dla pięciorga dzieci. Dla nauczyciela też była ławeczka i krzesło, na ścianie tablica, mapa Polski i poczet królów polskich.

Gdy przyszedłem pierwszego dnia przed rozpoczęciem lekcji, nowe koleżanki i koledzy otoczyli mnie i z ciekawością pytali, ale i informowali. Jeden z kolegów zapytał czy mam książkę do polskiego. Pokazałem mu bardzo zniszczoną, bo wszyscy starsi siostry i bracia z niej się uczyli. Otworzył ją na odpowiedniej stronie i powiedział, że na dziś mieli nauczyć się czytać tę czytankę. Wziąłem od niego książkę i przeczytałem od początku do końca. Zdziwieni odeszli. Wkrótce odezwał się pierwszy dla mnie w tej szkole dzwonek. Również każdy z nauczycieli w swoim zakresie stawiali mi pytania i oglądali moje zeszyty. Jednego dnia pani Dardzianka na lekcji rachunków zapytała mnie, jaki w poprzedniej szkole miałem stopień z tego przedmiotu. Na to pytanie podałem jej swoje świadectwo z siedmioma dwójkami. Po obejrzeniu powiedziała, - on z was wszystkich najlepiej umie, a miał dwóje i zapytała, - to, jakie stopnie mam wam postawić?

Wiszące na ścianie w klasie poczet królów polskich oraz mapa Polski bardzo mnie frapowały, toteż wiele czasu podczas przerw między lekcjami spędzałem przed tymi obrazami. Po niedługim czasie, nazwiska czterdziestu panujących królów mogłem w kolejności wymieniać z pamięci. Podobnie było ze znajomością mapy Polski. Większe miasta i rzeki polskie, wskazywałem błyskawicznie. Na świadectwie z ukończenia trzeciego oddziału miałem ze śpiewu stopień dostateczny, a ze wszystkich pozostałych przedmiotów, oceny bardzo dobre. W nagrodę otrzymałem książkę „Czółnem przez morze”. Nauka w oddziale czwartym odbywała się w budynku szkolnym i tu przychodziłem na lekcje. Natomiast Kazia w oddziale piątym, uczyła się w izbie wynajętej. Podobnie jak w oddziale trzecim, na zakończenie roku otrzymałem świadectwo z wynikiem bardzo dobrym i w nagrodę książkę pod tytułem „Najmilszi”. W następnym roku szkolnym, nauka w oddziale piątym odbywała się z oddziałem szóstym w jednej izbie wynajętej. Uczyłem się, więc z Kazią w jednej klasie. Przed zakończeniu roku szkolnego, kierownik szkoły zorganizował wycieczkę autobusem do Ciechocinka. Zwiedzaliśmy łąki, park i miasto. Wracając przez Włocławek, zatrzymaliśmy się tam, aby wziąć udział w procesji eucharystycznej w ostatni nieszpór. Koszt przejazdu autobusem pokryli uczestnicy wycieczki.

Na zakończenie roku szkolnego przygotowane było dla rodziców przedstawienie o tematyce harcerskiej, w którym grałem główną rolę w ubraniu harcerskim. Podobnie jak na zakończenie nauki w trzecim i czwartym oddziale, również oddział piąty ukończyłem ze świadectwem predestynującym do nagrody (świadectwo zachowało się). Nie dostałem jednak nagrody, bo według informacji kierownika szkoły, na ten rok funduszu na nagrody szkoła nie otrzymała. Należy tu dodać, że w końcowych miesiącach ostatniego roku szkolnego w Topólce, nasza droga do szkoły, niemal dwukrotnie wydłużyła się w porównaniu do drogi ze Świerczynka. Odległość z Miałkiego do Topólki wynosiła sześć kilometrów. Podobnie jak ze Świerczyna tak z Miałkiego, brnęliśmy latem boso w błocie a tam gdzie, droga była piaszczysta, piasek w upały parzył w stopy.

Ciężkie warunki życiowe dla nas dzieci, to nie tylko była droga do szkoły. W okresie wiosennych prac na polu w Świerczynku, oboje z Kazią przed wyjściem do szkoły na godzinę ósmą, chodziliśmy w pole plewić buraki cukrowe. Podobna praca czekała nas po przyjeździe ze szkoły i zjedzeniu obiadu. Lekcje odrabialiśmy tylko wieczorem przy lampie naftowej, lub w niedzielę po przyjeździe z kościoła, jeśli krowy miały jedzenie w oborze. Jeśli nie, to trzeba było paść krowy w polu na koniczynie, lub na łące, a lekcje odrabiać dopiero wieczorem. Nasze wakacje w okresie lata, to też

albo robotnik w polu, albo pastuszek przy krowach. Podobnie jak na wiosnę, pracowaliśmy jesienią również w polu przy kopaniu buraków i ziemniaków.

Codzienna droga z Kazią do szkoły i z powrotem przez trzy lata, bardzo zbliżyła nas do siebie. Razem chodziliśmy i wzajemnie wspomagaliśmy się zarówno na drodze, idąc po godzinie w jedną i drugą stronę w ciężkich warunkach jak i przy odrabianiu lekcji, czy w pracy na polu. Jednego dnia wieczorem, zimową porą, zabawialiśmy się w gacę, to jest szukanie z zasłoniętymi oczami drugiego uciekającego. Biegaliśmy po podłodze boso. Zasłonięte oczy miała Kazia. W pewnej chwili nadepnęła na moją prawą nogę, na której, na małym palcu miałem pęcherz z odmrożenia. Pod naciskiem jej nogi, pęcherz ten został zdarty i na całym palcu powstała rana. Założony opatrunek zmusił mnie do ubierania trzewików Tolka. W szkole dzieci miały okazję do kpinek, że chodzę w butach ojca.

Innego wieczoru przy kolacji ojciec opowiadał o swoich przeżyciach z czasów kawalerskich. Miał wtedy ulubionego psa Finka, z którym często chodził wieczorami na spacer. Napotykali nieraz różne straszdyła na ziemi i latające w powietrzu świetliki. Finek wtedy pchał się pod nogi ojca ze skomleniem i trudno go było oderwać. Pod wrażeniem tych opowiadań, już po kolacji i odmówieniu pacierza w kuchni, poszedłem po ciemku do pokoju spać, a tam na łóżku zobaczyłem na czarno ubraną babę z białym obramowaniem twarzy niewidocznej. Krzychałem ze strachu tak, że wszyscy przybiegli do pokoju i przy oświetleniu zobaczyliśmy, że była to śmiejąca się Kazia. Były też z Kazią wieczory, szczególnie zimowe, pełne wspomnień z życia i zdarzeń, z czasów, gdy mieszkaliśmy w Milżynie. Oto niektóre z tych wspomnień.

Babcia opowiadała, że nabywca krowy na targu zwyczajowo dawał „ogonkowe” dziecku, które tę krowę za ojcem lub matką popędzało. Gdy jeden z chłopców mimo upomnienia się „ogonkowego” nie otrzymał, wyjął z kieszeni nożyk i oberznął krowie włosie przy ogonie.

Mama nieraz opowiadała o swoim całodziennym kłopotcie z powodu urwania się guzika u spódnicy, gdy szła ze swoim ojcem na targ do Izbicy. Cały czas w mieście i w drodze powrotnej, jedna ręka zastępowała urwany guzik, aby utrzymać spódnicę na właściwym miejscu.

Podłoga w kuchni po każdym zamieceniu, posypywana była białym piaskiem, aby uniknąć większego zabłocenia, a piasek przywożony był wozem z pastwiska.

Udojone w większej ilości mleko, zanoszone było do studni w blaszanej bańce z oprawionym szklanym paskiem od górnej obręczy do dna. Zanurzone w wodzie mleko chłodziło się i w wyniku tego, na wierzchu zbierała się śmietana widoczna przez szkło. Przez umieszczony kran na dole bańki, ściągano odtłuszczone mleko, a z pozostałej w bańce śmietany, wyrabiano w kierzyńce masło. Kierzynka, to okrągłe naczynie drewniane, około pół metra wysokie w kształcie ostrosłupa ściętego, zakończone u góry nasadką z otworem, przez który przechodził trzonek do ubijacza śmietany.

W dniu Święta Trzech Króli, dzieciarnia, a także starsi chłopcy, ukradkiem opisywali kredą ubrania na plecach spotkanych ludzi, a najwięcej wychodzących z kościoła.

Na Wielkanoc założyłem na nogi nowe, czarne pończochy. Po obiedzie, z gałką kanflorku w szmatce poszedłem do kamienia przy szosie wystrzelić. Od wybuchu wypaliły się dziury w pończochach, a po nogach pociekła krew. Blizny dotąd pozostały. Krótkie spodnie nieco poniżej kolan, a niekiedy jeszcze krótsze, nosili wszyscy chłopcy do około 15-16 roku życia.

Wspominaliśmy też tragedię Kazi patrząc na jej rękę z rozległą blizną po oparzeniu gorącą wodą z czajnika, który upadł z ręki Feli. Leżeliśmy wtedy oboje obok siebie na kocu przy kuchni.

Atrakcją dla nas wszystkich był rower, który kupił Adaś za 63 złote, jeszcze na długo przed pójściem do wojska. Jeździł nim na zebrania do Zgłowiączki, a młodsze rodzeństwo nauczyło się sztuki jeżdżenia na dwóch kółkach.

Bronek całymi tygodniami wyszukiwał i zbierał pudełka od papierosów, tylko z obrazkiem i napisem Lech. Gdy miał już odpowiednią ilość, wykonał z tych pudełek karty do gry. Służyły one nam do różnych gier, ale najczęściej graliśmy w duraka i w tysiąca. Używane powszechnie na wsi oznaczenia kart do gry, było wówczas następujące: czerwień (kier), dzwonek (rzadziej chleb) (karo), żołądź (trefl) i wino (pik). Wspomnienia o przeżyciach przytoczonych tutaj z czasów zamieszkiwania w Milżynie, nie kończyły się, ale czas wrócić do Świerczynka.

W niedługim czasie po przyjeździe do Świerczynka wysłaliśmy na adres szkoły w Milżynie list do koleżanek i kolegów. Kazia opisała drogę do szkoły i nowe otoczenie, jakie zastała w szkole. Ja opisałem wierszem pożegnanie w szkole i naszą podróż z Milżyna do Świerczynka. Na list ten otrzymaliśmy odpowiedź, którą w imieniu wszystkich dzieci napisała koleżanka Ignasiak. Napisała też, że mój wierszyk, pan nauczyciel przesłał do redakcji Płomyczka.

Warunki życiowe naszej rodziny w Świerczynku, w porównaniu z warunkami, w jakich żyliśmy w Milżynie uległy zasadniczym zmianom zarówno w odniesieniu do bytowania jak i kontaktów z ludźmi. Odległość do najbliższego miasteczka Lubraniec zwiększyła się w porównaniu do odległości z Milżyna ponad trzykrotnie i to w większości była droga polna. Ponadto zagroda nasza w Świerczynku położona była z dala od sąsiadów. Ziemia graniczyła z ziemią trzech folwarków i trzech gospodarzy, mieszkających w oddaleniu od granic dzielących nasze pola. Położenie to praktycznie uniemożliwiała rodzicom i starszemu rodzeństwu nawiązywanie bliższych kontaktów z tymi sąsiadami. Szersze kontakty z ludźmi były trzymywane przy okazji spotkań w drodze i przed kościołem w dni świąteczne, a także przez przynależność do organizacji i udział w zebraniach odbywanych przeważnie w niedziele. Tolek, ponadto spotykał się z kolegami na nauce gry na tenorze.

Ja miałem szczęście zostać harcerzem w 1928 roku. Stało się to dzięki kolegom szkolnym mieszkającym w Świerczynie, którzy poinformowali mnie, że nauczyciel syna właściciela folwarków Świerczyn i Galonki organizuje drużynę harcerską i chętnych chłopców nadal do tej drużyny przyjmuje. Za zgodą rodziców, zgłosiłem się tam i drużynowy Stanisław Połomski, przyjął mnie do swojej drużyny. Drużyna, której patronem był hetman Stanisław Żółkiewski, była podzielona na dwa zastępy: zastęp lisów i zastęp jastrzębi. Ja otrzymałem przydział do zastępu lisów, w którym zastępowym był syn właściciela majątków Stanisław Górski. Mianowany wkrótce, jako jego przyboczny zastępowałem go, gdy na zbiórce nie był obecny. W budynku folwarcznym, mieliśmy udekorowaną emblematami harcerskimi izbę harcerską. Izba ta służyła nam na zbiórki, które w okresie roku szkolnego, odbywały się w dni świąteczne na godzinę przed rozpoczęciem mszy świętej w kościele. Do kościoła chodziliśmy czwórkami z zielonym sztandarem z wyhaftowanymi harcerskimi emblematami. Każdy harcerz miał w ręku wystający ponad głowę kij, którym stukał w ziemię na stąpanie lewej nogi. Wszystkie te kije miały jednakowy wymiar i pomalowane farbą jednego koloru. Na zbiórkach, drużynowy zapoznawał nas o obowiązku przestrzegania przez harcerza zasad postępowania w życiu zgodnie z przykazaniami harcerskimi jak na przykład: harcerz miłuje przyrodę i stara się ją poznać. Omawiane były również zasady obowiązujące w drużynie, a w szczególności: złożenie i przestrzeganie przyrzeczenia harcerskiego, śpiewanie na zbiórkach hymnu „Wszystko, co nasze Polsce oddamy...”, używanie zawołania ‘czuwaj’ i zwracania się do siebie ‘druhu’. Druh drużynowy wykorzystywał również czas na zbiórkach na zapoznawanie nas z historią harcerstwa, zarówno światowego od założyciela tej organizacji przez brytyjskiego generała Badena Powella jak i powstania harcerstwa w Polsce, po odzyskaniu niepodległości w roku 1918. W okresie lata dużo czasu spędzaliśmy na podchodach i zabawach w parku okalającym dworek właściciela folwarku, a także w łodziach na jeziorze graniczącym z tym parkiem. W wiosenną niedzielę pojechaliśmy dwiema furmankami na wycieczkę do lasu w pobliżu wsi Orle, położonej nad jeziorem Orzelskim. Ognisko zostało rozpalone nie opodal stojącego w ziemi drzewca ze sztandarem. Miejsce to wyznaczył kamień wyrzucony do góry przez druha drużynowego. W konkursie na spostrzegawczość, wypatrywaliśmy ptasich gniazd oraz innych ciekawych okazów przyrody. Po posiłku, piekliśmy jabłka, nigdy w domu niewidziane o tej porze roku.

W okresie wakacji, po wyjściu z kościoła po niedzielnej mszy świętej, podeszła do mnie matka, mojego zastępowego, i poprosiła, abym odwiedził jej chorego syna, Stasia. Poszedłem. W jego pokoju spędziliśmy całe popołudnie. Tu również jedliśmy podaną na obiad czystą zupę pomidorową z ziemniakami, które jadłem po raz pierwszy w życiu, ale mi nie smakowała. W rozmowie, dowiedziałem się od druha zastępowego, że od nowego roku szkolnego, nowym drużynowym naszej drużyny harcerskiej, będzie pan Roman Marszałkowski. Wiadomość potwierdziła się na początku roku szkolnego, bo każdy harcerz otrzymał od nowego drużynowego

zaproszenie na zbiórkę w miejscu i czasie jak było poprzednio. Również zajęcia na zbiórkach prowadzone były podobnie jak za poprzedniego drużynowego udział drużyny w świątecznej mszy świętej. Wkrótce po wstąpieniu do drużyny harcerskiej, mama przy pomocy swej siostry Marii Kucińskiej, uszyła mi bluzę koloru khaki oraz krótkie do kolan granatowe spodnie. Ojciec kupił mi czapkę rogatywkę w kolorze jak bluza, z zielonym otokiem u dołu. Do czapki tej, przypiąłem harcerską lilijkę z literami ONC (Ojczyzna, Nauka, Cnota) i ZHP (Związek Harcerstwa Polskiego). W stroju tym, 21 września 1929 roku na odpuszczeniu w Świerczynie, po mszy świętej, zawodowy fotograf zrobił mi zdjęcie, za które zapłaciłem mu jeden złoty z długo składanych groszy na ten cel.

Dwa lata w szeregach Związku Harcerstwa Polskiego, zapisały się w mojej pamięci, jako najprzyjemniejsze przeżycia z mojego dzieciństwa. Również w pamięci pozostały nie tylko przyjemne przeżycia, ale także wszczepiane nam na zbiórkach ideały, jakimi harcerz powinien kierować się w swoim życiu. Ideały te niewątpliwie wpłynęły na kształtowanie się mojego charakteru i na moje postępowanie w życiu: Ojczyzna – Nauka - Cnota.

Historia Polski, to był mój ulubiony przedmiot nauczania w szkole. Jak już wspomniałem poprzednio, znałem na pamięć poczet czterdziestu królów Polski. Zaczytywałem się w historii i opisie naszych bohaterów narodowych, ludzi sławnych, zasłużonych dla ojczyzny, wodzów, poetów, pisarzy, księży, uczonych.

W latach przedwojennych, zainteresowanie moje tocącym się życiem publicznym, wynikało z zaangażowania się politycznie ojca. Duży wpływ na wzrost zainteresowania polityką mającą wpływ na losy kraju, miał przewrót majowy dokonany przez Józefa Piłsudskiego w roku 1926. Zamach ten zdecydowanie potępili mieszkańcy wsi, jako że przywódca chłopów Wincenty Witos, piastujący po odzyskaniu niepodległości Polski trzykrotnie urząd premiera, został siłą usunięty z tego urzędu. Ponadto w latach trzydziestych, w procesie odbytym w Brześciu nad Bugiem został skazany na karę więzienia. Przed wykonaniem tego wyroku schronił się na terenie Czechosłowacji. Wrócił do Polski po wybuchu drugiej wojny światowej.

Na naukę poświęcałem dużo wolnego czasu, co zaowocowało bardzo dobrymi ocenami na świadectwach szkolnych. Czytałem też zarówno książki jak i gazety, a w tym tygodnik Wola Ludu prenumerowanym przez ojca. W 1929 roku, redakcja tej gazety, ogłosiła konkurs, na opis chłopskiej wigilii. W konkursie tym wzięłem udział i w nagrodę otrzymałem książkę pod tytułem „Na zgliszczach”. Książkę tę ojciec czytał głośno wieczorami. Przypominam sobie, że nie miałem dwudziestu groszy na znaczek pocztowy, aby wysłać swój opis. Znalazłem jednak kopertę ze znaczkiem już skasowanym, który tak długo preparowałem, że nadawał się do użycia po raz drugi i opis wigilii mogłem wysłać.

Kiedyś Fela przyniosła do domu książkę pod tytułem „Zwyczaje Towarzyskie” napisaną przez Mieczysława Rościszowskiego. Był to szczegółowy poradnik dotyczący kulturalnego zachowywania się w towarzystwie w każdej życiowej sytuacji. I tak dla przykładu, przy stole: jedząc nie siorbać, nie szczekać sztuczkami, nie patrzeć w chusteczkę do nosa po jej użyciu, nie trąbić przy wycieraniu nosa. Książka ta służyła mi za podręcznik przez kilka miesięcy i nabyta z niej wiedza bardzo mi się w życiu przydawała. Z wdzięczności za uzyskaną wiedzę, książkę tę oprawiłem w twardą okładkę.

Sztuki oprawiania książek w twarde okładki z płóciennymi grzbietami i narożnikami, nauczyłem się na lekcjach robót ręcznych w szkole w Topólce. Szkoła ta posiadała własną prasę i nóż introligatorski (okrągły). Możliwość dowolnego korzystania z tych przedmiotów pozwoliła mi przyjąć zamówienie z koła Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w Świerczynie na oprawę większej ilości książek, za umówione wynagrodzenie. Książki te w miękkiej oprawie, przekazała dla koła pani Górka, która miała również sfinansować koszt tej oprawy. Uzyskany za tę pracę nieosiągalny dotąd dla mnie zarobek, sprawił mi ogromną satysfakcję i radość. Zarobione za oprawę książek pieniądze jeszcze bardziej wzmogły we mnie cnotę oszczędzania, a przy tym poszukiwania nowych źródeł, które mogłyby przynieść dochód. Taka możliwość pojawiła się po zbiorze z pola pszenicy, gdzie na ściernisku pozostała jeszcze część kłosów po zagrabieniu. Kłosa te zbierałem pilnując jednocześnie pasących się krów. Pamiętam, że w jednym roku, za wymłóconą z zebranych kłosów pszenicę, Żyd w Lubrańcu zapłacił mi pięć złotych, jedną monetą.



Z perspektywy czasu minionego od lat dziecięcych, trudno jest obecnie samemu ocenić, w jakim stopniu ideałami zawartymi w słowach Ojczyzna-Nauka-Cnota, w życiu swoim kierowałem się. Niech dalsza część tego opowiadania posłuży do wyjaśnienia, jak to w istocie było.

Tymczasem nasze życie w Świerczynku toczyło się w bardzo trudnych warunkach materialnych spowodowanych płaceniem wysokich odsetek, od długu powstałego przy zakupie tego gospodarstwa. Sytuację tę pogarszał jeszcze nadeszły na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, głęboki kryzys gospodarczy, który zniszczył wiele istniejących jednostek gospodarczych, a w tym i gospodarstwa rolne. Jak z tym kryzysem radzili sobie niektórzy ludzie, niech posłuży przykład szeroko opowiadany w okolicy, o bankructwie właściciela sklepu z różnymi towarami w Świerczyni. Przed kryzysem, dla szyderstwa, zjadał on wobec klientów w Wielki Piątek, kiełbasę posmarowaną masłem. W czasie kryzysu, zaproponował swoim dzieciom dać po dziesięć groszy, zamiast kolacji, na co dzieci chętnie się zgodziły i głodne zaraz położyły się spać. Rano zapowiedział im, że które nie da dziesięciu groszy nie dostanie śniadania.

Codziennie życie w Świerczynku toczyło się w nieustannej pracy, niezależnie od pory roku. Wiosną, latem i jesienią w polu. Zimą przy młóceniu i czyszczeniu zboża. Młócenie odbywało się młockarnią napędzaną kieratem, obracaną przez konie, a czyszczenie wialnią, obracaną ręcznie korbą. Nasiona buraków cukrowych pobierane były z cukrowni. Stałą też pracą w zimie było karmienie krów według codziennych norm żywienia. Konie i świnie dostawały jedzenie w korytach przez cały rok. Te pracowite dni w Świerczynku, urozmaicały w szczególności uroczyste święta Wielkanocy i Bożego Narodzenia, a także odpusty w parafii Świerczyn, 15 sierpnia w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny oraz 21 września w dniu świętego Mateusza.

Zimą, starsi bracia mieli atrakcję oglądając polowania na zające, organizowane na ziemiach okolicznych folwarków, otaczających nasze pole z dwóch stron. Zdarzyło się jednego roku, że postrzelony zając zdołał przejść przez granicę i usiadł na naszym polu. Niespodziewanie mieliśmy z niego mięso. Pamiętam jak mając jedenaście lat, wstałem w Wielkanoc rano, aby przy pięknej pogodzie pójść do kościoła na rezurekcję z myślą, że po powrocie będę miał resztę długiego jeszcze dnia do swojej dyspozycji. Tymczasem, ojciec przed wyjściem do kościoła na mszę świętą o godzinie jedenastej, powiedział do mnie, - ubieraj się, idziemy do kościoła na sumę. Nie pomogło tłumaczenie, że w kościele już byłem. Musiałem iść drugi raz, bo „co byś tu zrobił” powiedział ojciec.

Podobnie jak na kanflorek do strzelania w Wielkanoc, tak i na jeden i drugi odpust w Świerczyni, mama zawsze do rączki, albo do kieszonki grosiki wsunęła. Pewnie i mój kolega szkolny otrzymał też od swojej mamy pięć groszy, bo poszedł do stołu z cukierkami na odpuscie i głośno zawołał, -za pięć groszy cukierków. Ubrany w strój harcerski, stałem z kolegą w czasie wrześniowego odpustu, kiedy sprzedawca zwrócił się do mnie, -druhu, proszę zastąp mnie, bo muszę na chwilę odejść. Zgodziłem się i on odszedł. Jako sprzedawca miałem szczęście, bo za chwilę podeszła do stołu pani i poprosiła cukierków za złotówkę. Odliczyłem sto sztuk, zabrała i odeszła. Zaraz potem podeszła dziewczynka i kupiła cukierki za piętnaście groszy, również po groszu za sztukę. Przytoczone przykłady wskazują, że na odpuscie, cukierki sprzedawane były tylko na sztuki. Sprzedawca wkrótce wrócił i zadowolony z utargu, podziękował i podał mi cukierek za pięć groszy, a towarzyszący mi kolega otrzymał cukierek za jeden grosz.

Jak już poprzednio pisałem, wiosną 1930 roku nastąpiła zamiana gospodarstw i ze Świerczynka przeprowadziliśmy się do wsi Miałkie. Po rozpatrzeniu się na miejscu, zaplanowaliśmy z Kazią zawłaszczyć najmniejszą i zabrudzoną izbę dla nas obojga. Zaczęliśmy ją porządkować. Zamierzaliśmy ją pobielić. Kupiliśmy kilka arkuszy kolorowego papieru na ozdobienie wycinankami ścian. Niestety, nasz zapal wkrótce spelzł, gdy po powrocie ze szkoły, zobaczyłem ‘nasz pokój’, wypełniony został różnym sprzętem używanym w gospodarstwie.

Wkrótce po zamieszkaniu w Miałkiem, dowiedziałem się od sąsiadów, że w kanałach po wykopanym torfie, żyją nie tylko ryby, ale i raki, a te ostatnie, chętnie kupowane są przez handlarzy. Przy finansowej pomocy mamy, kupiłem dwie rozpięte na wiklinowych prętach siatki, nazywane korbelkami i zastawiałem je w kanale na noc z przynętami (żaby) wewnątrz. Nieraz raki wchodziły do siatki, czasem był jeden, rzadko dwa, a ponieważ skupowano tylko w mendlach, albo w kopach,

trzeba było dłużej je przechowywać. Zdarzały się jednak kradzieże i dlatego dla zabezpieczenia złowionych około dziesięciu sztuk, przeniosłem je w siatce do niedużej sadzawki w pobliżu domu. Po dwóch dniach stwierdziłem, że wszystkie nie żyją. Na tym połowy się skończyły. Raki w naszych kanałach mogły czuć się bezpiecznie.

W niedzielę i święta, rodzice z małymi dziećmi włączając mnie, chodzili na mszę świętą do kościoła w Orlu, położonego około dwóch kilometrów od naszej wioski. Młodzież w dalszym ciągu uczęszczała do kościoła parafialnego w Świerczynie, dokąd droga prowadziła przez Topólkę. Msze święte w tym czasie odprawiane były tylko w języku łacińskim, przy czym na mszy świętej dla dzieci w porze rannej, ksiądz modlił się po cichu. W Orlu na tej mszy świętej, muzyka na organach i piękny śpiew godzinek na cześć Matki Najświętszej, przerywane były tylko na odczytanie Ewangelii, na kazanie oraz na głos dzwonka przed Podniesieniem i Komunią świętą. W każdą niedzielę i święta, godziniki śpiewała ta sama uczennica ze szkoły powszechnej. Widziałem ją na chórze, gdzie jednej niedzieli, na prośbę organisty kalikowałem powietrze dla organów.

Z zamieszkania w Miałkiem cieszyła się tylko Ewa, bo miała blisko do szkoły.

Wystarczyło przejść miedzą do końca naszego pola i tam we wsi Głuszynek, w wynajętej izbie uczyły się dzieci z najmłodszych oddziałów. Nauczycielem w tej szkole był pan Zborowski.

Nadszedł sierpień 1930 roku, i jak poprzednio już pisałem, przeprowadzka z Miałkiego do wsi Jedność. Mnie przypadła rola poganiacza krów przy pomocy wynajętego robotnika. Wymarsz z kilkoma krowami i cielakiem nastąpił około godziny piątej rano. Początkowo trzeba było uganiać za uciekającym cielakiem, ale wkrótce osłabł i dalej szedł spokojnie. Na miejsce dotarliśmy, gdy słońce już bardzo nachyliło się ku zachodowi. Ojciec skierował nas bezpośrednio z drogi na łąkę Bąkowo. Wszystkie krowy i ciele od razu pokładły się i tak głodne leżały do czasu zapędzenia ich do obory.

Wkrótce do nas poganiaczy podeszła pracująca w polu kobieta i zaczęła opowiadać jak to mieszkający tu dotąd Niemiec, oszukał ludzi, którzy się tutaj sprowadzili. Żałowała nas sprowadzonych, bo zostaliśmy tak strasznie przez tego Niemca zniszczeni. To słowne współczucie trwało, co najmniej, pół godziny. Wreszcie odeszła. Również robotnik pożegnał się ze mną i odszedł. Zostałem sam. Słuchając tej kobiety, rodziła się wizja kompletnego bankructwa i życia w nędzy naszej rodziny. Wyobraźnia ta wywołała u mnie wybuch spazmatycznego płaczu. Gdy przyszedł do mnie ojciec, płacz hamowałem i nie powiedziałem, co było przyczyną tych spazmów. Pocieszał mnie, że jak się wyśpię, to zmęczenie odejdzie.

Codziennie życie moje w nowym miejscu zamieszkania, nie różniło się od dotychczasowego. Zajęcia moje były podobne jak w Miłżynie, Świerczynku i w Miałkiem. I tam i tu, pasłem krowy od rana do wieczora z południową przerwą. Wieczorem ścieliłem w oborze przynoszoną z za stodoły słomę, z której powstawał obornik służący do nawożenia ziemi. Zimą było podawanie krowom paszy suchej i okopowych według ustalonych ilości i w odpowiedniej porze oraz pojenie.

Z początkiem września, w dniu rozpoczęcia roku szkolnego, poszedłem po raz pierwszy do szkoły w Bodzanowie. Kierownikiem tej szkoły był pan Hieronim Góralski, a nauczycielami małżeństwo Helena i Jan Ludwikowscy oraz pani Maria Kowalska, która uczyła dzieci w oddziałach niższych. W szóstym oddziale miałem trzy koleżanki i trzech kolegów. Drugi rząd ławek w klasie, zajmowany był przez uczennice i uczniów oddziału piątego. Po pewnym czasie, poprosiłem pana kierownika o zorganizowanie na terenie szkoły, drużyny harcerskiej. W wyniku przeprowadzonej rozmowy ze mną na ten temat, zgodził się na moją propozycję i rzekomo wystąpił o zarejestrowanie drużyny. Zlecił też wybrać patrona drużyny. Po rozmowie z kolegami, poinformowałem pana kierownika, że patronem drużyny będzie Tadeusz Kościuszko. Niestety. Była to ostatnia rozmowa na ten temat. Świadectwo z ukończenia szóstego oddziału otrzymałem z ogólnym wynikiem bardzo dobrym. Do koleżanek w oddziale siódmym, dołączyła siostra Kazia. Teraz w jednej klasie uczyliśmy się z koleżankami i kolegami oddziału szóstego. Religii od nowego roku szkolnego, uczył nas proboszcz naszej parafii Siniarzewo ksiądz Aleksy Hoffman. Na początku roku szkolnego 1931/1932 urządzona była szkolna wycieczka furmankami do miejscowości Płowce. Tutaj dla upamiętnienia zwycięskiej bitwy nad Krzyżakami sprzed sześciuset lat uroczyste poświęcono usypany wysoki kopiec. Wśród sztandarowych pocztów, ustawionych wzdłuż schodów prowadzących od podnóża do szczytu kopca, ja trzymałem sztandar naszej szkoły. Wspominając

tamtą uroczystość, warto również wspomnieć, że przejeżdżając w okresie hitlerowskiej okupacji kolejką wąskotorową przez Płowce, widziałem, że na miejscu opisanego wyżej kopca, leżała wysoka kupa obornika.

Późną jesienią rozpoczętego nowego roku szkolnego uczniowie szóstego i siódmego oddziału, pod nadzorem nauczycieli, posadzili na szkolnej działce wzdłuż drogi kilka wyrosniętych drzewek. Dalej za tą działką w kierunku południowym, stał drewniany, duży, stary krzyż na niewielkim pagórku, uważanym za cmentarz dla zmarłych w czasie pomoru.

Atrakcją w tym roku szkolnym była wycieczka autobusem do Kruszwicy. Pojechałem na tę wycieczkę za uciulane pieniądze, uzyskane ze sprzedaży młodych gołębi, za zboże z uzbieranych kłosów i zmiatanie przy stogach oraz kieszonkowe od mamy. W Kruszwicy, przechodząc przy metalowej skrzynce z wygrawerowaną myszą, weszliśmy na Mysią Wieżę. Zwiedzaliśmy też rynek i wytwórnię win Makowskiego. Odbyliśmy również przejażdżkę motorówką po jeziorze Gopło. Była to nie tylko pierwsza w życiu przejażdżka motorówką po wodzie, ale w czasie tej jazdy pierwszy raz w życiu zobaczyłem, że na chleb posmarowany masłem, położone są jeszcze plasterki kiełbasy. Jadła to koleżanka z mojej klasy. Kazia na tę wycieczkę nie pojechała. Nie miała dwóch złotych na opłacenie przejazdu.

W tym roku szkolnym, nauczycielka, pani Helena Ludwikowska, uczyła w szóstym i siódmym oddziale języka niemieckiego poza programem. Z datą 28 czerwca 1932 roku, otrzymałem świadectwo ukończenia szkoły powszechnej w Bodzanowie z ogólnym wynikiem bardzo dobrym. Świadectwo to zostało podpisane przez księdza prefekta i czworo nauczycieli. Było też zrobione pamiątkowe zdjęcie z podpisami jak na świadectwie i podpisami uczennic i uczniów szóstego i siódmego oddziału. W ciągu dziesięciu lat szkolnych, uczyło mnie dziesięciu nauczycieli i ksiądz, w trzech szkołach i pięciu klasach. Tak skończyła się moja edukacja w szkole powszechnej.

Powstało pytanie, co dalej? O szkole średniej nie było w domu nawet mowy. Wprawdzie brat Adaś napisał list do ojca z propozycją zabrania mnie do siebie, aby umożliwić mi dalszą naukę, ale na ten temat nie było mowy. Teraz przede mną stały otworem obora z krowami, stajnia z końmi, stodoła ze zbożem i sianem, pole, łąka... W to wszystko trzeba było coraz bardziej się wtapiać. Ale nie całkowicie. Pozostały w umyśle głęboko ślady ideałów wszczepionych z okresu przynależności do harcerstwa oraz z przepięknych czytanek i poezji z podręczników szkolnych. Również, a może przede wszystkim, stały wpływ na kształtowanie się mojego umysłu miało wychowanie i codzienne przestrzeganie praktyk religijnych w domu oraz nauki w kościele i lekcje religii w szkole. Także czytane książki o treści historycznej oraz poezja i pieśni patriotyczne inspirowały mnie do udoskonalania charakteru.

Tymczasem jednak w codziennym moim życiu nic się nie zmieniło. Trzeba było nadal spełniać swoje domowe obowiązki. Latem paść krowy na łące, zimą dawać jeść w oborze. W okresie zimy dużo czasu zabierało nam wszystkim, z wyjątkiem mamy, młócenie zboża. Pracochłonne było również jego czyszczenie. Podobnie jak w okresie wakacji szkolnych, tak i teraz, jadąc na targ do Osiecin, rodzice zabierali mnie do pilnowania koni i zakupionych towarów składanych w korytku pod siedzeniem na wozie. Na odjazd, zawsze dostawałem coś dobrego do zjedzenia.

Jak już pisałem poprzednio, mężczyźni myli dokładnie nogi do udeptania kapusty w beczce. Również i ja w ten sposób, kapustę ubijałem. Ponieważ jednak wtedy niewiele ważyłem, brałem do ręki duży kamień i w ten sposób zwiększałem swój ciężar. W trakcie kilkugodzinnego deptania, mama zawsze coś lepszego do ust podała. Podobnie jak w każdej rodzinie, również i u nas, ojciec od założenia rodziny, pracował na jej utrzymanie, a głównym źródłem dochodu był przemiał na wiatraku obcego zboża. W pracy tej, stopniowo, w miarę wzrastania, zastępował ojca, najstarszy syn Adaś, który też po latach pracy, swoją funkcję młynarza przekazał młodszemu od siebie bratu Bronkowi w roku 1925. Po przeprowadzce do Świerczynka w roku 1927, Broniek dalej pełnił główną rolę w pozyskiwaniu środków na utrzymanie rodziny. Były to prace polowe wykonywane konnym zaprzęgiem: orka, bronowanie, siew zboża siewnikiem, zwózki zboża, okopowych, siana i innych.

Podobnie w Miałkiem oraz w Jedności, Broniek pracował do czasu zachorowania i w następstwie śmierci w roku 1932. Już podczas choroby i po śmierci Bronka, wszystkie prace wykonywał z kolei Tolek, ale nie długo, bo w marcu 1934 roku otrzymał powołanie do wojska.

Teraz na mnie przyszła kolej pracować końmi w polu, a także jeździć wozem, na przykład do młyna po mąkę. Mając 17 lat byłem najmłodszym z braci pracującym końmi. Zdarzało się, że będąc młodszym, to od starszych, dostawałem nieraz nauczki, które niekiedy powodowały u mnie nerwowość. Nadszedł jednak dzień, w którym postanowiłem sobie, że odtąd w takich sytuacjach, zachowam kamienny spokój. Miałem wtedy czternaście lat. Postanowienie dotrzymałem nawet z dużą łatwością. Początkowo były jeszcze próby naruszenia mojego zobojętnienia, ale bardzo szybko próby te minęły i nastąpiła atmosfera serdecznej przyjaźni i braterskiej miłości do końca.

Z dniem odejścia Tolka do wojska w marcu 1934 roku, ja przejąłem po nim funkcję rachmistrza w Kasie Stefczyka we wsi Czołpin. Praca ta polegała na obliczaniu odsetek od udzielanych pożyczek, wypisywaniu asygnat przychodowych na wpłaty i rozchodowych na wypłaty oraz księgowanie tych dokumentów na kontach analitycznych i w „dzienniku- główna” ( taką miał nazwę). Praca ta odbywała się w każdą niedzielę po południu. Wynagrodzenie wynosiło piętnaście złotych miesięcznie. Dla orientacji podaję, że była to wartość jednego metra materiału z wełny bielskiej, jaki kupiłem na garnitur. Za uszycie z tego materiału marynarki i spodni, zapłaciłem krawcowi też piętnaście złotych.

Jak w każdej jednostce operującej publicznymi finansami, również w Kasach Stefczyka sporządzane były bilanse roczne. W poprzednich latach bilanse te sporządzali za odpowiednim wynagrodzeniem, pracownicy Związku Rewizyjnego Spółdzielni Rolniczych w Toruniu. Mając na uwadze zmniejszenie w naszej Kasie kosztu z tego tytułu, poradziłem zarządowi zwrócić się kolejno do zarządów sąsiednich Kas Stefczyka w Byczynie, lub Bądkowie o sporządzenie bilansu w naszej Kasie. Na zaproszenie przybył rachmistrz z Byczyny. Po zapoznaniu się na miejscu z metodą prowadzenia księgowości, odmówił podjęcia się wykonania tej pracy. Również i rachmistrz Kasy Stefczyka w Bądkowie odmówił z tego samego powodu. W takiej sytuacji postanowiłem podjąć próbę nad sporządzeniem tego dokumentu. Przy pomocy brata Tolka, próba się powiodła i bilans w odpowiednim czasie był gotowy i podpisany przez zarząd Kasy i radę nadzorczą. Za tę pracę, rada nadzorcza przyznała mi odpowiednie wynagrodzenie, z którego część przekazałem Tolkowi.

Pełniąc funkcje rachmistrza w tej Kasie zakończyłem w lipcu 1936 roku, po zmianie zarządu i rady nadzorczej. Otrzymane w Kasie Stefczyka wynagrodzenie pozostawało całkowicie w mojej dyspozycji. Pieniądze te przeznaczyłem w większej części na ubrania, buty, bieliznę. I tak na przykład sprawiłem sobie dwa garnitury (jeden ciemny a drugi jasny) ze spodniami zwanymi pumpy. Kupiłem a także buty z wysokimi cholewami, jakie nosili ułani i odpowiednie spodnie do tych butów. Dzięki temu, nikt z rówieśników we wsi nie mógł mi dorównać, co do ubrań. Pozostałe pieniądze ulokowałem w banku na pocztę, która w tym czasie mieściła się w pobliskiej szkole, która później została przeniesiona do Siniarzewa.

W międzyczasie wstąpiłem do organizacji działających przy szkole w Bodzanowie to jest Koło Młodzieży Wiejskiej Siew, przysposobienie wojskowe Strzelec oraz ochotnicza straż pożarna, w której jako członek zarządu pełniłem funkcję sekretarza.

Wskutek ciasnoty w mieszkaniu, z nastaniem cieplejszych dni, moją sypialnią była stodoła. W miarę przyzwyczajania się, również i zimą spałem w stodole na sianie, lub koniczynie pod pierzyną z długim kożuchem na wierzchu. Ponadto zagrzewała jeszcze kotka, ulubienica wszystkich w rodzinie. Zdarzyło się też, że na wiosnę przyszła do mnie pod pierzynę rodzić kocięta, ale tego było dla mnie za wiele, musiała znaleźć inne miejsce.

Był to rok 1936, miałem wtedy 19 lat. Będąc młodszym od innych, zawsze uważałem, że jest to najpiękniejszy okres w życiu, bo oznaczał przechodzenie człowieka w wiek dojrzały. Podczas pracy na Bądkowie, niespodziewanie poczułem ból pod prawą łopatką, który nie ustępował do końca dnia. Podobnie ból ten odczułem w dni następne. Czuję się chory i leżałem z podwyższoną temperaturą. Poproszona sąsiadka, żona Hundla, postawiła mi bańki na całym prawym boku. Żadnej poprawy – ból nie ustawał. W tej sytuacji wspólnie z rodzicami zdecydowaliśmy, abym udał się do lekarza w Bądkowie, miejscowości oddalonej około dziesięciu kilometrów. Pojechałem tam rowerem. Lekarz zmierzył mi temperaturę, było 39 stopni. Wypisał receptę i w aptece na miejscu, otrzymałem proszki w opłatkach. Zażyłem jeden po kolacji i poszedłem spać do stodoły. Rano

zobaczyłem na śniegu, że mój mocz ma niebieski kolor. Przeraziłem się bardzo, ale rodzice uspokoili mnie, że to skutek przyjętego po kolacji proszku. Po przyjęciu wszystkich tych proszków, żadna poprawa nie nastąpiła. Byłem nadal chory. Wspólnie z rodzicami zdecydowaliśmy, że trzeba zmienić lekarza. Pojechałem, zatem do Aleksandrowa, lekarz, który leczył również brata Bronka, zalecił tak jak Bronkowi, pić tran. Z butelką tranu wróciłem do domu. Okazało się jednak, że po przyjęciu łyżki tranu, nie mogę jeść. Tran odbijał mi się raz za razem. Pojechałem drugi raz i lekarz ten na moją prośbę prześwietlił mi klatkę piersiową, ale o wyniku nic nie powiedział, wypisał tylko receptę na acitran. Brałem go przez jakiś czas, ale choroba nie ustępowała. Przeciwnie, występowały wyraźne oznaki choroby płuc. Byłem silnie osłabiony. Każdego dnia między godziną 17 i 18, temperatura wzrastała powyżej 37 stopni. Wieczorem zaraz po zaśnięciu, pociłem się tak, że cała koszula była zupełnie mokra. Były to wyraźne symptomy gruźlicy.

Zdawałem sobie sprawę, że nikt z tej choroby nie wyleczył się. Umarł brat Bronek, który wypił dużo tranu, zmarło we wsi dwóch kolegów, dwie starsze osoby, zmarli również znajomi, zamożni gospodarze w okolicy. Chory, nie mogłem brać udziału w zebraniach organizacji działających we wsi, dlatego też rozeszła się wśród mieszkańców wieść, że 'Nowakoszczyk zapod' (zapadł na zdrowiu). W tej beznadziejnej dla mnie sytuacji, ratunek mógł nadejść tylko z nieba od Niepokalanej Matki Najświętszej. Świadczyły o tym zamieszczane w wydawanym, co miesiąc Rycerzu Niepokalanej liczne podziękowania Niepokalanej Matce Najświętszej, od ludzi obdarowanych Jej łaskami. Zdrowie chorym, przywracała woda z cudownego źródła w Lurd, przesyłana na zamówienie chorych, przez o.o. Franciszkanów w Niepokalanowie.

W miarę czytania w posiadanych egzemplarzach Rycerza Niepokalanej podziękowań za otrzymane od Najświętszej Matki Niepokalanej łaski, wzrastała we mnie otucha na uzdrowienie przez Niepokalaną. Dlatego też z ufnością i nadzieją, napisałem do o.o. Franciszkanów w Niepokalanowie prośbę o przysłanie mi wody z Lurd. Napisałem, nie mówiąc o tym nikomu, bo ze swoją ufnością i nadzieją chciałem być sam. Tak się złożyło, że wkrótce sam odebrałem na pocztce w Siniarzewie, opakowaną buteleczkę z zamówioną wodą z Lurd. Tego samego dnia po kolacji poszedłem spać do stodoły z trzymaną w ręku buteleczką wody z Lurd. Przed użyciem tej wody, modliłem się długo do Niepokalanej Matki Najświętszej. Dziś trudno wyrazić słowami, jaka to była modlitwa o uratowanie życia, mnie młodemu człowiekowi, skazanemu na śmierć. Po modlitwie, zgodnie z załączonym przepisem użycia, napiłem się tej wody i resztą polałem przód klatki piersiowej, bo tu odczuwałem ból. Do końca pobytu w domu z rodzicami, to jest do końca marca 1939 roku, nie byłem u lekarza i nie przyjmowałem żadnych leków. Stopniowo włączałem się do pracy, jaką wykonywałem w gospodarstwie przed chorobą. Niektóre oznaki choroby, w mniejszym nasileniu jeszcze przez pewien czas występowały.

W latach powojennych różni lekarze, po obejrzeniu klisz z prześwietleń klatki piersiowej, pytali mnie, kiedy chorowałem na gruźlicę. Tak, więc moje przeświadczenia o zachorowaniu na gruźlicę, potwierdzili w sposób jednoznaczny, różni lekarze po obejrzeniu klisz z dokonanych w różnych czasach, prześwietleń płuc. Stąd wniosek oczywisty, że nieuchronnie groziła mi śmierć, bo trudne warunki, w jakich żyła nasza rodzina uniemożliwiałyby stosowanie leczenia tej choroby według ówczesnych najnowszych zdobyczy wiedzy w tym zakresie, które i tak mogłyby okazać się nieskuteczne. W tej sytuacji, przede mną stało widmo nieuchronnej śmierci.

To, że żyję i piszę te wyrazy, to otrzymana od Niepokalanej Matki Najświętszej łaska po wypiciu wody z cudownego źródła w Lurd, to oczywisty Jej cud, którego ja człowiek grzeszny i niegodny doświadczyłem i odczuwam od 68 lat. Błogosławiona jesteś Niepokalana Matko Najświętsza w Twoim miłosierdziu i błogosławione niech będzie Twoje najświętsze Imię Maryja.

Jak już wspomniałem poprzednio, byłem członkiem organizacji działających na terenie naszych łączących się wiosek. Ważniejsze zebrania tych organizacji odbywały się w szkole powszechnej w Bodzanowie. Na zbiórki straży pożarnej, zbieraliśmy się na placu we wsi, przeważnie w niedzielę rano. Podczas uroczystych świąt w kościele takich jak Wielkanoc, Boże Ciało i odpust, występowaliśmy w mundurach. Pełniliśmy również straż przy grobie Chrystusa w Wielki Piątek, Wielką Sobotę i Wielkanoc do rozpoczęcia procesji na rezurekcji. Przy gaszeniu pożarów w koloni Bodzanowo brałem udział wraz z innymi, dwukrotnie. Paliły się domy mieszkalne

i zabudowania gospodarcze. Umundurowani uczestniczyliśmy również w pogrzebie kolegi strażaka, który chorował na gruźlicę.

Na posiedzeniu zarządu straży, zainicjowałem urządzenie zabawy tanecznej na powietrzu w koloni Siniarzewo. Były jednak zastrzeżenia, że zabawa nie uda się, jeśli nie będzie na niej odpowiednio dużo dziewczyn. W związku z tym, na zebraniu koła młodzieży zaproponowałem koleżankom, aby urządziły sobie wycieczkę na tę zabawę wynajętą furmanką, a jako uczestniczki tej wycieczki, otrzymają wolny wstęp na tańce. Rada moja została przyjęta. Dziewczyny wynajęły sobie furmankę i ze śpiewem przyjechały. Przy pięknej pogodzie zabawa się udała. Frekwencja była duża. Dziewczyny zadowolone, bo dużo tańczyły, a do kasy strażackiej wpłynęła pokaźna, jak na ówczesne warunki, suma osiągniętego zysku.

Naczelnym hasłem przysposobienia wojskowego Strzelec było zawołanie: ćwicz oko i dłoń w Ojczyzny obronie. Z umundurowania wojskowego w tej organizacji, mieliśmy tylko czapki maciejówki z orzełkiem na tarczy z literą S. Zbiórki tej organizacji, odbywały się przeważnie w niedzielę po południu na boisku przy szkole powszechnej w Bodzanowie. Pod komendą nauczycieli z ukończoną szkołą podchorążych, ćwiczyliśmy na wzór wojsk piechoty. Odbywaliśmy również strzelania do celu z karabinka małokalibrowego. Graliśmy również w siatkówkę przez całe popołudnia. Zimą słuchaliśmy w szkole wykładów na różne tematy.

Jednego roku, w okresie po sprzęcie zbóż z pola, w nocy z sobotą na niedzielę, wzięliśmy udział w manewrach strzeleckich naszego powiatu. Z jednostek tych zostały utworzone dwa zgrupowania i odpowiednio rozlokowane przed natarciem w terenie. Po nocnej strzelaninie, oba zgrupowania z wielkim wrzaskiem ruszyły o świcie do natarcia i... połączyły się. Na zakończenie tych manewrów, jedliśmy w dowolnej ilości grochówkę z kuchni polowej. Będąc w organizacji strzeleckiej, ochotniczo ukończyłem w miesiącu lutym, dwutygodniowy kurs przysposobienia wojskowego drugiego stopnia. Uczestnicy tego kursu skoszarowani byli w 14 pułku piechoty we Włocławku przy ulicy Toruńskiej. Zachętą do ukończenia tego kursu, miało być prawo do wyboru rodzaju broni przy poborze do wojska. Okazało się jednak w praktyce, że takie prawo nie było stosowane.

Z pobytu na tym kursie pozostały w pamięci nie tylko wiedza z zasłyszanych wykładów oraz ćwiczeń, ale również spostrzeżenia i doświadczenia. Otóż wśród uczestników kursu był osobnik, który zaraz po położeniu się do spania, głośno chrapał i to na górnym łóżku, obok mnie. Uderzenie zagłówkiem po twarzy, tylko na chwilę to chrapanie przerywało. Jednego wieczoru, zdenerwowany kursant, przyniósł z pompy na podwórzu, pełną menażkę wody i przy zgaszonym świetle, wylał wszystko na twarz chrapiącego. Od tego wieczora do końca pobytu na kursie, nigdy już nie chrapał.

Dzień przed zakończeniem kursu mieliśmy wycieczkę pieszą do szkoły rolniczej w Brześciu Kujawskim. Licząc od naszych koszar, była to odległość około 20 kilometrów. W drodze powrotnej, już blisko Włocławka, prowadzący nas porucznik, w pewnej chwili krzyknął: drużyna śpiewa! i cisza. Wtedy krzyknął on jeszcze głośniej: pierwsza czwórka dookoła kolumny biegiem marsz! Biegając z największym wysiłkiem pomyślałem: jak to źle wysokiemu człowiekowi służyć w wojsku. Zaraz też po powrocie na miejsce, zaczęliśmy śpiewać. Ukończenie tego kursu było potwierdzone zaświadczeniem, które uprawniało również do noszenia odznaki. Widniała ona na moim mundurze strażackim.

Zebrania koła młodzieży Siew odbywały się w szkole nieregularnie. Termin zebrania następnego ustalany był na zebraniu odbywającym się. Wynikało to stąd, że w zebraniach niemal zawsze brali udział goście koła. Byli to niektórzy miejscowi nauczyciele prowadzący wykłady, lub pogadanki. Przyjeżdżał również instruktor ze szczebla organizacji powiatowej. Szczególnie mile widziany był zawsze młody instruktor nazwiskiem Cieślak, który przez sympatię podał mi adres swego stałego zamieszkania. Była to wieś, w okolicy Iłży w województwie kieleckim. Tak się złożyło, że w okresie okupacji, przejeżdżałem rowerem w pobliżu tej miejscowości i przy tej okazji odwiedziłem go. Zachowało się zdjęcie zrobione w jego ogrodzie. Zachowały się również zdjęcia koła młodzieży i drużyny strażackiej, oba na tle szkoły.

Wracając do tematyki życia codziennego w rodzinie, wspominam, jak to mało czasu można było poświęcić dla własnych potrzeb. Powodowały to prace nietypowe w gospodarstwie rolnym, a

także niekorzystne położenie gospodarstwa. I tak, nietypową pracą każdej zimy po zamrożeniu wody na Bąkowie, było wycinanie szpadlami trzciny, wiązanie jej w snopy i zwózka na podwórze. Służyła ona, jako opał do nagrzania pieca do pieczenia chleba oraz ciasta na uroczyste święta, a w tym na odpust w parafii Siniarzewo przypadający na dzień Matki Boskiej Częstochowskiej. Nietypową pracą była również naprawa dachów, zarówno na budynku jak i na stodole. Pracę tę wykonywał początkowo Tolek, a gdy jego nie było, dekarzem byłem ja. Potrzeba dość częstej wymiany słomy na niektórych częściach dachów, to sprawka gołębi, które najbardziej przyczyniały się do niszczenia skruszałej słomy tam, gdzie najczęściej przesiadywały. A było ich sporo, jako że gołębie, były głównym źródłem dochodu dla mnie i braci. Karmiliśmy je głównie pośladem otrzymywanym przy czyszczeniu zboża, a wołaniem do karmienia, była odpowiednia tonacja gwizdu ustami. Młode wyrosnięte gołębie, sprzedawaliśmy handlarzom na miejscu, zarówno latem jak i zimą.

Niekorzystne położenie gospodarstwa powodowało dużą stratę czasu na wywóz zboża do sprzedaży w Osięcinach. Odległość jak już wspominałem, wynosiła około 10 kilometrów i to w znacznej części droga była polna i błotnista. Również wywózka buraków cukrowych do cukrowni w Dobrem, zabierała wiele czasu, zwłaszcza przez znaczny odcinek drogi piaszczystej. Ponadto niejednokrotnie jeszcze więcej czasu niż przejazd około 7 kilometrowej drogi zabierało czekanie w kolejce do wagi z burakami i powtórne, podobnie długie czekanie na zważenie pustego wozu. W późniejszym okresie czasu, podobna historia z ważeniem, powtarzała się przy zabieraniu z cukrowni wysłodków z buraków na karmę dla krów. Ponadto dużo czasu trzeba było tracić na usuwanie skutków spowodowanych naturalnymi zjawiskami w przyrodzie takimi jak huragan, ulewne deszcze, czy zawieje śnieżne. Nie było czasu na realizowanie własnych celów i dążeń.

Ja od najmłodszych lat bardzo lubiłem muzykę i pragnieniem moim było nauczyć się grać na skrzypcach oraz na ustnej harmonijce. Próbowałem tego, korzystając z tego, że po odejściu Tolka do wojska, ja pracowałem końmi, a do pilnowania krów na pastwisku, został wynajęty chłopiec Andrzej grający na skrzypcach w rodzinnej orkiestrze. Kupiłem nawet wydłubane w desce skrzypce. Bywało, że konie stały przy pługu w polu, a ja u Andrzeja na łące, wodziłem smyczkiem po strunach. Tyle było mojej nauki, bo na noc wracał on do swojej rodziny.

Jak bardzo lubiłem muzykę, świadczy fakt, że na Feli weselu w maju 1933 roku, przez całą noc nie położyłem się spać, tylko słuchałem pięknego grania doborowej orkiestry. Były jednak skutki braku snu, na szczęście nie tragiczne, bo mogłem okaleczyć się kosą. Po skończonym weselu, zaraz z rana, ojciec polecił mi wyciąć kosą bez kosiska, kłosa żyta rosnącego w pszenicy. Rozpocząłem to wycinanie gwizdząc zasłyszane utwory grane na weselu. Nie wiem jak długo to wycinanie trwało, bo zasnąłem. Gdy się obudziłem, wstałem i zobaczyłem, że ojciec z dala machał do mnie ręką. Ujrzałem też, że słońce było bardzo nisko nad ziemią i z przykrością pomyślałem, dlaczego po całonocnym weselu, ojciec tak rano mnie budzi. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że słońce jest po stronie zachodniej i to już zachód się zbliża. Wieczorem, ojciec opowiadał, że gdy przyszedł do mnie w wysoko wyrosniętej już pszenicy, to spałem leżąc na kosie, którą ostrożnie z pode mnie wyciągnął. Trafił do mnie łatwo, bo miejsce wskazywały nieobcięte jeszcze kłosa żyta. Biorąc pod uwagę, że wyszedłem na pole rano, a wracałem tuż przed zachodem słońca, to cały dzień po weselu, byłem bez obiadu.

Nadszedł okres życia, w którym myśli często wybiegają w przyszłość i w umyśle rodzą się różne plany, jak w tej przyszłości ułożyć swoje życie. Wtedy zaczyna się odczuwać braku bliskiej osoby, z którą można by o tym mówić, zwierzać się, dyskutować. W następstwie tych odczuć, pilnie upatruje się takiej osoby wśród spotykanych potencjalnych kandydatek. Różne są miejsca i okoliczności takiego poszukiwania. Na wsi, najczęściej są to zabawy taneczne, gdzie najłatwiej jest nawiązać kontakt z upatrzoną osobą. Na Kujawach, do tego celu, można było również korzystać z usług pośrednika. Potocznie nazywany był rojnikiem. Mieszkał przy drodze prowadzącej z Topólki do Orła. Był to mężczyzna w średnim wieku, ale zupełnie bez zarostu na twarzy i pewnie, dlatego nazywano go na przekór Brzytwa. Jego pośrednictwo nazywano rojny.

Ja na zabawy chodziłem bardzo rzadko. Przeważnie, dlatego, aby posłuchać muzyki, porozmawiać. Nie odczuwałem potrzeby tańca. Uważałem, że przyjemniej jest rozmawiać słuchając



jednocześnie muzyki niż wysilać się w tańcu. Pracując fizycznie każdego dnia, przyjemniej było odpoczywać przy muzyce. Zdarzało się, że zatańczyłem, ale tylko walca, lub kujawiaka. Rzadko chodząc na zabawy, większe gromadzenie się ludzi mogłem spotykać, poza jarmarkami, tylko w kościele i na zebraniach organizacji, o których poprzednio wspominałem.

Do kościoła chodziliśmy wszyscy z rodziny w każdą niedzielę i święto, a także w dni powszednie takie jak Wielki Piątek i ostatni nieszpór. Niekiedy na sumie, a także na uroczyste święta w tym i odpust, odbywała się wokół kościoła procesja z obrazami i chorągwiami. Wtedy też między innymi i ja, przez pewien czas, na procesji chorągiew nosiłem. Chodząc do kościoła, była możliwość zobaczenia ludzi przychodzących na nabożeństwa z całej parafii, obejmującej kilka okolicznych wiosek. W każdą niedzielę przed południem, były odprawiane dwie msze święte, natomiast na nabożeństwie popołudniowym śpiewane były nieszpory. W miesiącu maju, każdego dnia przed wieczorem, były odprawiane nabożeństwa majowe do Matki Bożej, a w miesiącu czerwcu o tej samej porze nabożeństwa do Serca Jezusowego.

Uczęszczając do kościoła w niedzielę zarówno przed południem jak i po południu, widywałem dziewczynę, która podobała mi się z urody. Nazywała się Helena Szortykówna. Mieszkała w kolonii Siniarzewo, gdzie wspólnie z matką, siostrą i dwoma braćmi, prowadziła gospodarstwo rolne. Aby mieć możliwość poznania Heleny, zapisałem się do koła Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej istniejącego przy parafii w Siniarzewie, do którego, jak się dowiedziałem, ona należała. Poznaliśmy się i wkrótce w każdą niedzielę po nabożeństwie popołudniowym, rozmawialiśmy z sobą w drodze do jej domu. W miarę poznawania się, rozmowa przenosiła się również i do jej domu, bo przyjemnie nam było ze sobą rozmawiać. W tym okresie czasu, z wizytą duszpasterską miał przyjechać do parafii biskup z Włocławka. Przy tej okazji, miałem przystąpić do sakramentu bierzmowania i poprosiłem Helenę o nadanie mi imienia. Wybrała mi imię Ryszard i takie przy bierzmowaniu przyjąłem. Mieliśmy też okazję tańczyć ze sobą na zabawie strażackiej, urządzonej w ich ogrodzie. I tak zrodziła się nasza wzajemna miłość.

## POŻEGNANIE KUJAW



Aż nadszedł marzec 1939 roku. Jak już wspominałem, Tolek, jako inwalida wojskowy, zabiegał o przyjęcie do szkoły zawodowej mającej siedzibę w Poznaniu. Pod koniec marca otrzymał on zawiadomienie o przyjęciu go do tej szkoły. W tym czasie, Adaś napisał do Tolka list, aby, przyjechał do niego, bo w Garwolinie ma być urządzony kurs dla dozorców drogowych, w którym mógłby wziąć udział i po jego ukończeniu, otrzymałby odpowiednią pracę. Tolek oczywiście wybrał szkołę w Poznaniu. W tej sytuacji uznałem, że otwiera się przed mną szansa wyrwania się od zawsze nieodpowiadającej mi pracy w rolnictwie. Nie mówiąc nikomu w domu, poszedłem na pocztę do Siniarzewa i wysłałem do Adasia telegram następującej treści „Tolek jedzie do Poznania, jeśli mnie przyjmą depeszuj Nikodem”.

Po paru dniach wracałem konnym wozem z mąką pobraną za zboże w młynie w Gosławicach. Zobaczył mnie pracujący w polu mąż Feli, Józef i machnął ręką, abym zatrzymał konie. Stałem, a on podszedł do mnie ze słowami, - coś ty narobił! Przyszedł od Adama list, że ty możesz przyjechać. Ojciec jest tak zdenerwowany, że nie może miejsca sobie znaleźć!

Wjechałem na podwórze. Zmieniony na twarzy ojciec pomógł mi wyprząc konie od wozu. Dopiero wieczorem, w obecności mamy, ojciec rozpoczął na ten temat rozmowę. Powiedział między innymi, że zamierzał zapisem przekazać mi całe gospodarstwo. Na koniec tej rozmowy padły pamiętne moje słowa w zapytaniu do ojca, czy ja mogę pojechać; na co ojciec odpowiedział z naciskiem, - a rób sobie, co chcesz; na co ja mu odpowiedziałem, - to ja pojedę. Na tym rozmowa się skończyła. Może powstać pytanie, dlaczego postanowiłem pojechać? Na to pytanie, częściowo już była odpowiedź, gdy pisałem o braku czasu dla własnych potrzeb. Jednak motywy mojej decyzji wyjazdu, były daleko poważniejsze, wynikające z rozmyślań, jaką pozycję zajmuje człowiek pracujący w gospodarstwie rolnym. I tak wstając codziennie bardzo rano, dzień rozpoczyna się nie od własnej toalety, ale od karmienia i pojenia koni, krów, świń, kaczek, kur, czyszczenia koni. Dopiero po wykonaniu tej pracy, może zająć się własną toaletą i śniadaniem. Tak, więc człowiek jest na drugim miejscu. Podobnie jest, gdy w południe, czy wieczorem wróci z pracy końmi w polu. Najpierw obsługuje konie rozbierając z uprzęży, pojąc, podając karmę, ścieląc słomę w stajni. Po tej pracy ma czas dopiero dla siebie. A zatem, teraz też człowiek na drugim miejscu. Jest także inne zagadnienie, rodzące pytanie, jaka jest pozycja rolnika- producenta. Kto ustala ceny podstawowych

ziemiopłodów jak zboże i buraki cukrowe? Rolnik, jako producent, mający zboże do sprzedaży, nie podaje swej ceny kupcowi, tylko pyta, ile on płaci i za taką cenę zboże sprzedaje, jaką poda kupiec. Cenę kupowanych od rolnika buraków cukrowych dyktuje cukrownia. Również cenę sprzedawanych rolnikowi nasion tych buraków i wysłodków z tych buraków, także dyktuje cukrownia.

Ponadto w istniejących warunkach nadprodukcji trzody chlewnej i bydła, również ceny żywca i produktów mlecznych dyktowali nabywcy, a nie rolnicy – producenci. Dlatego też, na przestrzeni około ośmiu lat prowadzenie gospodarstwa w Jedności, tylko Kazia mogła otrzymać skromną sumę pieniędzy przy wstępowaniu do zakonu. Brak efektywności gospodarstwa rolnego potwierdził też, sporządzony przez ojca w roku 1952, wspomniany już poprzednio, testament o podziale ziemi wśród nas dzieci, jako spadkobierców.

Po poinformowaniu ojca o podjętej decyzji wyjazdu, spakowałem swoje rzeczy do walizki i po kolacji położyłem się spać, ale nie na długo. Wybrałem, bowiem dłuższą drogę do stacji kolejki wąskotorowej w Ujmie Dużej, zamiast iść do najbliższej stacji w Bodzanowie, a to, dlatego, aby wstąpić do Heleny, powiadomić o wyjeździe i pożegnać się. Tak się też stało.

Z wąskotorówki, przesiadłem się w Nieszawie do pociągu jadącego do Warszawy, a tam następna przesiadka na pociąg do Garwolina. Tu od stacji do oddalonego o cztery kilometry miasta, przejazd furmanką. Idąc w Garwolinie ulicą, spotkałem Adasia. Po paru dniach, wieczorem, gdy położyliśmy się spać, zastukał do okna pan Lernaciński i usłyszałem jego pamiętne dla mnie słowa, - Adam, niech brat jutro rano zgłosi się do urzędu gminy w Maciejowicach, tam otrzyma pracę, bo będzie budowany most nad Wisłą. Krótkie przygotowanie i w dniu 5 kwietnia 1939 roku, bardzo rano, pojechałem rowerem Adasia do odległych około 30 kilometrów Maciejowic. Tam przed urzędem gminnym, zastałem oczekujących ludzi, od których dowiedziałem się, że dopiero wieczorem mają być omawiane sprawy zatrudnienia. Miałem, więc czas, aby znaleźć lokum u gospodyni mieszkającej przy rynku i zostawić tam rower.

Wieczorem w oświetlonej sali zebrali się wszyscy kandydaci do pracy. Bardzo energiczny inżynier Antoni Wejtko rozmawiał po kolei z obecnymi. Gdy przyszła kolej na mnie zapytał krótko, - pan; odpowiedziałem, - nazywam się... skierował mnie tutaj pan Lernaciński w związku z zaistniałą możliwością otrzymania pracy przy budowie mostu. A ponieważ zawsze pytał o kwalifikacje od razu dodałem, - ukończyłem siedem oddziałów szkoły powszechnej i przez dwa lata pracowałem w kasie Stefczyka w charakterze rachmistrza. Zaraz odpowiedział, - cztery złote dziennie; zgłosić się jutro w biurze przy rynku i od razu przeszedł do rozmowy z następnym kandydatem. Po zakończeniu rozmów na temat zatrudnienia, inżynier poinformował nas, że pracować będziemy we wszystkie dni tygodnia po 12 godzin i w związku z tym wynagrodzenie zwiększone będzie o 50 procent.

Następnym rozmówcą inżyniera Wejtka, był przedsiębiorca, który miał zorganizować stołówkę dla pracowników zatrudnionych przy budowie mostu. W związku z tym inżynier Wejtko zwrócił się do zebranych z pytaniem, kto napisze umowę. Nastąpiła cisza i tylko ja podniosłem rękę. Zaprosił mnie wtedy do stołu i dyktował treść umowy. Po skończeniu pisania, wziął rękopis ode mnie, popatrzył i powiedział: ładnie napisane, tylko za wysoko zaczęte.

W biurze dwupokojowym i przedpokoju, na pierwszym piętrze, pracowało nas dwunastu mężczyzn, w tym zastępca inżyniera Wejtka i kierownik biura. Był również woźny. Przed budynkiem stała w godzinach urzędowania, jednokonna furmanka do naszej dyspozycji. Był telefon, z którego rozmawialiśmy za pośrednictwem poczty. Początkowo, praca moja polegała na sporządzaniu dokumentacji dotyczącej ubezpieczenia zdrowotnego wszystkich zatrudnionych. W związku z tym, dokument każdego pracownika trzeba było wypisywać na jego stanowisku pracy. W następnym etapie, do głównych moich obowiązków, należało codzienne telefoniczne zebranie od kierowników poszczególnych odcinków robót, bardzo szczegółowych raportów o postępie robót w ciągu minionej doby. Następnie przeprowadzić reasumpcje otrzymanych danych, opracować raport zbiorczy i przedłożyć go inżynierowi Wejtka do zatwierdzenia. Po zatwierdzeniu, przekazać telefonogramem raport do urzędu wojewódzkiego w Warszawie.

Po upływie pewnego czasu, inżynier Wejtka okazywał swoje niezadowolenie z mojej pracy i wyrażał się, że jest do chrzanu. Taka ocena w moim przeświadczeniu była niesprawiedliwa. Nie

udowadniał mi przecież konkretnych błędów czy stawianych zarzutów. Jednego dnia nie wytrzymałem i powiedziałem wprost, -ja wszystko robię źle, bo na moje miejsce kierownik ma kandydata, o czym poinformowali mnie koledzy z biura. Inżynier Wejtko na moją wypowiedź nic nie powiedział. Wkrótce po tej rozmowie, wychodząc z jego biura z podpisanym raportem, natknąłem się na wchodzącego Adasia, który przyjechał do Maciejowic służbowo. Wieczorem tego dnia, Adaś powiedział mi, że na jego zapytanie o ocenę mojej pracy, inżynier Wejtko odpowiedział, -dobry, ale jeszcze młody i brak mu doświadczenia. W krótkim czasie po mojej wypowiedzi, o której wspomniałem, i rozmowie Adasia z inżynierem Wejtko, kierownik biura zaprosił wszystkich współpracowników na pożegnalną kolację do restauracji „Pod Żaglem”, która mieściła się na parterze pod naszym biurem.

Po przeprowadzonych zmianach w kierownictwie biura, nastąpił podział na dwa piony i inżynier Wejtko zmienił swoje postępowanie w stosunku do mnie. Przekonałem się, że obdarza mnie swoim zaufaniem, skoro wyjeżdżając z Maciejowic, oddał mi klucze od swojego mieszkania połączonego z biurem. Wtedy miałem również prawo wstępu do tego biura, jeśli załatwianie otrzymanej telefonicznie dyspozycji tego wymagało. Na moją prośbę inżynier Wejtko zabierał mnie zawsze do samochodu, gdy jechał do Garwolina. Pytał też o moje plany na przyszłość i obiecał pomoc w otrzymaniu pracy, po zakończeniu prac związanych z budową mostu. Zachowało się też wspólne zdjęcie z inżynierem Wejtko i pracownikiem z Zarządu Drogowego w Garwolinie.

Jednego dnia, będąc u inżyniera Wejtka z raportem o wynikach robót z ubiegłej doby, otrzymałem zlecenie wyjazdu na budowę do pana Szeromskiego, który miał zapoznać mnie z przebiegiem prowadzonych tam prac. Starszy już wiekiem pan Szeromski, oprowadzając mnie po placu budowy, życzliwie odpowiedział na moje pytania. Na koniec zaproponował, aby wspólnie obejrzyć prowadzony montaż mostu nad wodą. Weszliśmy do góry po drabinie i stanęliśmy na jednym z dźwigarów łączących przyczółek z filarem z pali, wbitych kafarem parowym w dno Wisły. Wtedy pan Szeromski wskazał na ten dźwigar i powiedział, - no to przejdziemy się i ręką wskazał, abym szedł pierwszy. Pomyślałem, - pokaże, że pójdę. I poszedłem nie tylko przez jedno przęsło, ale i przez następne widząc, że w miejsce dźwigarów położone były blachownice i droga się poszerzyła, która na dźwigarze, przypuszczalnie nie przekraczała trzydziestu centymetrów. To przejście nad wzburzonymi falami Wisły dostarczyło mi tyle emocji, że na pewno nie odważyłbym się po raz drugi na taki spacer.

I tak nadszedł 6 czerwiec 1939 roku. Dzień poświęcenia i oddania do użytku mostu kołowego na Wiśle w Maciejowicach długości około 960 metrów z obustronnymi podjazdami na wysokich nasypach. Według oficjalnej nazwy, most ten został zbudowany przez Państwowe Kierownictwo Budowy Mostu nr 2 przez Wisłę w Maciejowicach. Poświęcenia dokonał ksiądz z Maciejowic. Oficjalnego otwarcia mostu dokonał minister komunikacji Ulrich, który wręczył również odznaczenia państwowe pracownikom pionu technicznego zasłużonym przy budowie tego mostu.

Po uroczystościach oficjalnych, odbyło się przyjęcie w stołówce znajdującej się na placu budowy. Nadzór nad zaopatrzeniem stołów, inżynier Wejtko zlecił mnie. Zachowało się zdjęcie przy stole zrobione przez Adasia. Zachowały się również zdjęcie z przejażdżki motorówką po Wiśle, gości przybyłych na tę uroczystość z Garwolina oraz wykonane w tym dniu zdjęcie z Adasiem na tle kościoła w Świerżach Górnych, po drugiej stronie Wisły. W następnym dniu po tej uroczystości, rozpoczęły się prace przy budowie izbic, dla zabezpieczenia filarów mostu przed naporem kry lodowej. Po zakończeniu budowy mostu, zakres moich obowiązków nie uległ zmianie. W sporządzanych w dalszym ciągu raportach, zmieniły się tylko nazwy elementów, odtąd wykonywanych do budowy izbic. Przy dwunastogodzinnym, codziennym dniu pracy, niewiele czasu pozostawało na zajmowanie się własnymi sprawami. Wystarczyło jednak, aby przed godziną ósmą rano wstąpić do kościoła i odmówić pacierz, zaś po pracy, wyjść z kolegami na spacer za miasto nad stawy i rzeczkę z wodospadem. Zachowały się zdjęcia z tych spacerów.

Jak już wspomniałem, po przyjeździe do Maciejowic, zamieszkałem w domu przy rynku. Były tam jednak trudne do zniesienia warunki. Pokoik był ciasny, przejściowy od drzwi wejściowych klatki schodowej, do mieszkania. A nade wszystko, częste krzyki matki na dorosłą córkę, mieszkającą z maleńkim dzieckiem. Matka nosząc to dziecko, krzyczała, że nie pozwoli je

zabić. Nie miałem możliwości znalezienia innego mieszkania. Nie mogło mi w tym pomóc również trzech kolegów z biura, mieszkańców Maciejowic. Zdarzyło się jednak, że inny kolega pochwalił się jednego dnia, że zaoferowano mu do wynajęcia piękny pokój z wiszącą na ścianie mandoliną, ale on nie zamierza jednak zmienić mieszkania. Od razu poprosiłem o adres i szybko tam poszedłem. Był to parterowy domek wolno stojący w uliczce, blisko rynku. Były dwa wejścia, od ulicy i od podwórza. Wejście od ulicy prowadziło do pokoju zgłoszonego do wynajęcia. Oprócz wspomnianej już wiszącej na ścianie mandoliny, było tam ładne metalowe łóżko, szafa na ubranie, stolik i dwa krzesła. Umywalka była w kuchni z dojściem przez drugi pokój. Domek ten był zamieszkiwany przez właścicieli, małżeństwo Paśnickich i ich kilkunastoletnią córkę, która miała zniekształcony kręgosłup. Gospodarz Waław Paśnicki z zawodu kołodziej, pracował na budowie mostu, jako cieśla. Za wynajęcie tego pokoiku oraz za codzienny zakup i przegotowanie rano jednego litra mleka, ustaliliśmy zapłatę na 15 złotych miesięcznie. Po uzgodnieniu podanych wyżej warunków, otrzymałem klucz i niezwłocznie przeniósłem swoje rzeczy do tego pokoiku.

Już wkrótce po zamieszkaniu tam, można było śmiało stwierdzić, że tworzyliśmy jakby jedną rodzinę. Przez cały czas zamieszkiwania w Maciejowicach, śniadanie i kolacje przyrządzałem sobie sam. Obiady początkowo jadłem w restauracji „Pod Żaglami”. Po upływie około dwóch miesięcy, obiady domowe jedliśmy u mieszkanki Maciejowic, która podjęła się nas karmić, po przeprowadzeniu wywiadu wśród pracowników zamiejscowych, aby się zorientować ilu chętnych, będzie z tych obiadów korzystać. Obiad składał się z trzech dań. Zupę i kompot nabieraliśmy z waz. Na drugie danie najczęściej była połowa kurczaka z ziemniakami i jarzynami. Płaciliśmy po jeden złoty za obiad, raz na tydzień z góry. Śniadania i kolacje przyrządzałem sobie sam najczęściej z wędliną albo z jajkami. Do tego rano mleko, wieczorem herbata, niekiedy ciemne piwo, w cenie 30 groszy za butelkę.

Jajka można było kupować na targach, które odbywały się na rynku każdego tygodnia. A oto obrazek przedstawiający sytuację kobiet wiejskich, przynoszących jajka do sprzedaży na targu. Pewnego dnia po południu, wyszliśmy z kolegą Antosiem z biura na rynek, gdzie odbywał się targ. Już z daleka widać było kilka kobiet stojących przy płocie, gdzie sprzedawane były jajka, a obok gestykulujących Żydów, którzy po chwili odeszli i stanęli w pobliżu. Wtedy podszedłem do najbliższej kobiety i zapytałem po ile sprzedaje jajka, a ona odpowiedziała, -ja panie chciałabym po trzy grosze. No to odpowiedziałem, - dobrze, ja wezmę. Słyszając to, szybko podeszły do mnie wszystkie kobiety, które tam stały i prosiły, aby od nich też kupić, a ponieważ miały po kilka sztuk w swoich koszykach, nie mogłem im odmówić. Wykupiłem ile miały z litości, a także, dlatego aby nie musiały sprzedawać po dwa grosze, czekającym obok Żydom i kupić mniej soli, czy mniej nafty do kaganka. Z zaobserwowanych zachowań Żydów w Maciejowicach, pamiętam dwie skrajności. A oto przykład pierwszy. Kolega Świdorski, prowadzący podręczny magazyn, otrzymał telefon, aby natychmiast dostarczyć na budowę mostu, kilka kilogramów gwoździ, o odpowiednim wymiarze. Ponieważ w magazynie nie było zapasu tych gwoździ, udał się do sklepu, aby tam poczynić zakup. Sklep jednak był zamknięty, gdyż jego właściciel Landau, będąc Żydem, w święto sabatu (sobota), nie handlował. W tej sytuacji, poszedł do jego mieszkania i zażądał sprzedaży. Na to Landau wskazał klucze wiszące na ścianie i powiedział, - proszę gwoździe wziąć ze sklepu i przynieść klucze na to samo miejsce. I przykład drugi. W budynku, w którym na piętrze mieściło się nasze biuro, na parterze obok restauracji „Pod Żaglem” mieszkała rodzina żydowska. Był tam starszy mężczyzna, który często z rana wynosił z mieszkania przed drzwi wejściowe ryby. Niejednokrotnie były one jeszcze żywe, a on obcęgami obdzierał je ze skóry. Kolega biurowy, starszy pan Bronisław Kłós mówił mi, że te fakty zezwierzęcenia człowieka zgłosił na policji.

Adaś przyjeżdżał dość często do Maciejowic służbowo, w celu przeprowadzania rozpoznania, czy nie ma zagrożeń ze strony dywersantów. Przy tej okazji spotykał się ze mną i z serdeczną troską pytał, czy nie potrzebuję jego pomocy. On też nakłonił mnie, abym koniecznie udał się do lekarza, bo jak powiedział, - jesteś bardzo mizerny. Istotnie tak było, bo nie miałem apetytu. Posłuchałem i poszedłem. Lekarz, który przyjmował w miejscowym szpitalu, zaaplikował mi zastrzyki, które po przyjęciu okazały się bardzo skuteczne, apetyt wzmógł się wyraźnie. W miesiącu lipcu, Adaś przyjechał z żoną Jaś, tak często ją nazywał, i pięcioletnią córeczką Tereską. Obie zabrałem na

furmankę i pojechaliśmy do mostu. Po spacerze do drugiego brzegu i z powrotem, odbyliśmy przejażdżkę motorówką po Wiśle. Z tej wyprawy zachowało się zdjęcie. Na noc oddałem im swoje łóżko, a sam poszedłem przygotować w stodole miejsce do spania wysoko na sianie. Schodząc opuściłem nogi, aby na tyłku zsunąć się po sianie na klepisko. Ponieważ był już mrok, nie zauważyłem, że tam stały grabie zwane grabiska, z zaostrzonym końcem trzonka do góry. Zsuwając się po sianie, trafiłem w ten zaostroszony koniec w miejsce, gdzie prawe udo przechodzi w pośladek. Ponieważ grabisko stało przy sianie pionowo, na tym zaostrzonym końcu, zostałem przeniesiony w powietrzu przez całą szerokość klepiska, ze straszliwie piekącym bólem. To był szczęśliwy przerzut. Tylko kilka centymetrów dzieliło, a ostry koniec grabiska, mógł się zatrzymać na moim podniebieniu. Wspominam to do tej pory ze zgrozą.

Od czasu przyjazdu do Maciejowic, bardzo często wymienialiśmy listy z Heleną. Radością też dla mnie było otrzymane jej zdjęcie 12 lipca, które się dotąd zachowało. Również do rodziców pisałem listy i zawsze otrzymywałem odpowiedzi. Bardzo krótkie pisane przez ojca, a także pisane przez siostrę Ewę, która w jednym z tych listów, napisała o wściekłości naszej ulubionej suki Kuni, o czym już wspominałem poprzednio. W miesiącu sierpniu napisałem do rodziców, że mam zaoszczędzonych pięćset złotych i mógłbym im te pieniądze posłać. Nie były one jednak rodzicom potrzebne i ojciec list mój przekazał siostrze Feli Rybackiej do wykorzystania. W nadesłanym liście, poprosiła ona mnie o przysłanie jej dwustu złotych. Z zachowanej książeczki oszczędnościowej PKO wynika, że sumę tę wysłałem jej 17 sierpnia. Z książeczki tej wynika również, że została ona założona w Maciejowicach 11 maja z pierwszym wkładem 80 złotych i że niepodjęty wkład 300 złotych nadal pozostaje. Widnieje też w tej książeczce adnotacja, że została zarejestrowana 27 marca 1946 roku w PKO Kraków.

W miesiącu sierpniu, podczas kolacji pan Paśnicki wskazał przez okno widoczny po drugiej stronie ulicy, nowy, niezamieszkały domek drewniany i powiedział do mnie, - niech pan kupi ten domek, to będziemy sąsiadami. Na moje zapytanie, - na ile właściciel go wycenił; na 500 złotych, - padła odpowiedź. Z prostego rachunku wynika, że zaoszczędzone pieniądze za pięć miesięcy pracy, stanowiły wartość nowego domku mieszkalnego, w bardzo dobrym punkcie miasteczka Maciejowice.

Nadszedł wrzesień. Już pierwszego dnia samoloty niemieckie przeleciały nad Maciejowicami. Drugiego dnia nastąpił nalot na most. Zaprzyjaźniony kolega, technik Bolesław Wręga, kierownik odcinka robót naziemnych przy moście, posiadał rower. Zaraz po nalocie, postanowiliśmy pojechać tam i zobaczyć jego skutki. Zabrał mnie na ramię roweru i na miejscu zobaczyliśmy, że most został trafiony w pobliżu nasypu. Za chwilę, zobaczyliśmy też nadlatujące samoloty niemieckie. Ile sił w nogach, biegliśmy z nasypu pod rosnące drzewa. Samoloty zrzucały bomby, a liście z drzew, trafiane odłamkami bomb, padały gęsto na nas leżących. Po ustaniu nalotu, już bez oglądania jego skutków, wróciliśmy szczęśliwie do Maciejowic. Po tej tragedii powstałej przez zniszczenia mostu, władze nakazały dotychczasowym pracownikom zgłosić się do pracy przy jego naprawie. Mówiono jednak powszechnie, że nikt z wezwanych nie odważył się pójść tam do pracy. Nadeszło też polecenie ewakuować nasze biuro do Łukowa, pod wskazany adres. Zgodnie z tym poleceniem, zapakowaliśmy wszystko, co należało z biura zabrać i załadowaliśmy na wóz naszego wozaka pana Kordy. Każdy z nas pracowników biura, włożył też na wóz walizkę z osobistymi rzeczami. Nadszedł czas pożegnania z moimi gospodarzami. Płakaliśmy wszyscy. Pan Paśnicki przez łzy powiedział do mnie na pożegnanie, - traktowaliśmy pana jak własnego syna.

Kolega Bolek obiecał zabrać mnie na swój rower. Jeszcze ostatnie spojrzenia na kościół z krzyżem na kopułce i sygnaturką nad dachem, na potężny grobowiec hrabiów Zamojskich, mających swój majątek w pobliskim Podzamczu, na szpital, w którym brałem tak skuteczne dla mnie zastrzyki, na okna opustoszałego biura i ... pojechaliśmy. Bolek na siedzeniu, a ja na ramie jego roweru.

Po przejechaniu około 20 kilometrów, na skrzyżowaniu szos Garwolin – Lublin i Sobolew – Łuków, w miejscowości Gończyce, spotkał nas ostrzał karabinów maszynowych z niemieckich samolotów. Również i tu schowaliśmy się pod drzewami. Jadąc na zmianę, raz na ramię, raz na siodelku, dojechaliśmy przed wieczorem do miasteczka Stoczek Łukowski. Tutaj udało mi się kupić za 100 złotych rower. Nie był to nowy, ale w dobrym stanie, miał drewniane obręcze. Tutaj też,

spędziliśmy pierwszą noc po wyjeździe z Maciejowic. Następnego dnia dojechaliśmy do Łukowa. Pod wyznaczonym adresem, gdzie miało mieścić się nasze biuro, zastaliśmy zgłiszcza po spalonym domu.

Z ludzką falą uchodźców jadących na wschód pojechaliśmy również i my. W tym czasie, gdy wjeżdżaliśmy do Białej Podlaskiej, nadleciały niemieckie samoloty i bombardowały miasto. Jeden z tych samolotów, trafiony został pociskiem naszej artylerii przeciwlotniczej i z potężnym rykiem, spadł w płomieniach na ziemię za miastem. W czasie tego bombardowania, nasze samoloty wojskowe przelatywały nisko nad ziemią i lądowały na miejscowym lotnisku. W wielkim zamieszaniu na ulicach rozłączyliśmy się z Bolkiem i zostałem sam wśród uciekających z tego miasta na wschód. Dołączyłem i ja do tych uchodźców i znalazłem się na szosie prowadzącej do Brześcia nad Bugiem. Do mostu nad Bugiem, prowadzącym do miasta, przyjechałem około południa. Wtedy pomyślałem, że jest to pora największego zagrożenia od niemieckich samolotów. Zdecydowałem, więc, nie wjeżdżać do miasta o tej porze, lecz przeczekać do południa pod drzewem na łące, przy pięknej pogodzie. Gdy słońce wyraźnie nachyliło się ku zachodowi, wsiadłem na rower i przez most wjechałem do miasta.

Zaraz za mostem, po lewej stronie ulicy, był park, w którym rzucił się w oczy przykry widok leja od wybuchu bomby, w klombie ze szczątkami kwitnących czerwonych róż. Po kilkunastu minutach jazdy przez miasto, zobaczyłem ludzi stojących w kolejce, przed budynkiem z szyldem Piekarnia. Od razu dołączyłem i ja do kolejki. Po niedługim czasie nadleciały nad miasto niemieckie samoloty i poleciały bomby. Wpadłem do najbliższego domu pobudowanego z bali drewnianych. Mieszkała w nim żydowska rodzina z małymi dziećmi. Po każdym wybuchu bomby, dzieci te przebiegały z krzykiem od narożnika izby do przeciwległego narożnika. Na środku izby klęczała starsza kobieta i we własnym języku głośno modliła się. Od wstrząsu wybuchających bomb, sypały się na nas z sufitu okruchy wapna. Po nalocie okazało się, że lej po wybuchu bomby, znajdował się około dziesięciu metrów od tego domu, w którym się schroniłem. Jak tylko ucichł warkot samolotów, wsiadłem na rower i ile sił w nogach uciekałem z tego miasta, w którym szczęśliwie przeżyłem największe niebezpieczeństwo, jakie groziło mi podczas niemieckich nalotów w tej wojnie.

Dalsza trasa mojej ucieczki przed hitlerowską nawałnicą, prowadziła na wschód do Kobrynia, a następnie przez moczary Polesia z miasteczkiem Ratno nad rozlewiskiem rzeki Prypeć i dalej na Wołyń. Oprócz ciągłego niebezpieczeństwa ze strony niemieckich samolotów, coraz bardziej dokuczliwy, stawał się głód. Nie można było kupić nawet kawałka chleba, bo pieniądze nie miały tu żadnej wartości. Jednego dnia całe moje pożywienie, stanowiło podane mi przez uciekiniera jedno jajko oraz jabłko znalezione w przydrożnym rowie. W tej sytuacji, następnego dnia, postanowiłem odjechać dalej od szosy, którą podobnie jak ja, ludzie zdążali w jednym kierunku. Pojechałem pierwszą spotkaną polną drogą kilka kilometrów, mając przed sobą zabudowania wioski. Zatrzymałem się przy pierwszej niedużej chatce. Wszedłem do środka i moim oczom ukazała się niespotykana nędza. Zobaczyłem kobietę w średnim wieku z ciemnymi włosami i mizerną bladą twarzą, trójkę chłopczków siedzących na ławkach przy stole ze skrzyżowanymi nogami, ogień w kominie i wysoko za piecem, szerokie miejsce ze szmatami do spania. Na ten przykry widok onemiałem, ale po chwili powiedziałem do tej kobiety, - przepraszam, wszedłem z myślą, że może będę mógł kupić coś do jedzenia, ale pewnie nie macie. I odwróciłem się do wyjścia. Wtedy, kobieta ta zawołała głośno, -niech pan nie wychodzi, gotują się kartofle, to pan też może z nami zjeść. Usiadłem na ławie przy stole i czekałem. Po niedługim czasie, kobieta ta, widełkami wyciągnęła z komina żelazny garnek, odcedziła wodę i wysypała ziemniaki na dużą misę stojącą na stole. Następnie przyniosła sól, szarą przeznaczoną dla zwierząt, posypała ziemniaki i powiedziała, - proszę, niech pan je z nami. Jedliśmy te ziemniaki wszyscy, biorąc je z misy ręką. Skończyliśmy, gdy misa była pusta. Dziękując gorąco, wstałem od stołu, dzieciom zostawiłem pieniądze i zmierzałem do wyjścia, a wtedy kobieta powiedziała, -niech pan jeszcze nie wychodzi. Weszła na ławę i sięgnęła wysoko z pieca torbę. Po rozwiązaniu, sięgnęła garść wysuszonych skórek od razowego chleba, położyła na stole i powiedziała, - jak pan będzie głodny, to potłucze pan na kamieniu i można jeść. Wzruszyłem się wtedy do łez. Nie potrafiłem znaleźć słów podziękowania.



Gdy wychodziłem z mieszkania, jeszcze zawołała, -niech pan zaczeka i poszła do ogródka, gdzie urwała z krzaka pomidora dwa na wpół dojrzałe owoce, podała mi i powiedziała, -i to też niech pan weźmie. Błogosławieni miłośni! Albowiem oni miłosierdzia dostąpią. Modłę się codziennie w swoich modlitwach o to miłosierdzie dla tej kobiety.

Jadąc dalej samotnie poczułem, że z pod prawej nogi, odpadł pedał. Ani na miejscu, ani w dalszej podróży, nie było możliwości zamontowania tego pedału. W tej sytuacji zmuszony byłem kontynuować dalszą jazdę na rowerze tylko z jednym pedałem i korbą po drugiej stronie. Skutek takiej jazdy sprawił, że na obu nogach wystąpiły żylaki. Jadąc dalej zwolnionym tempem, przypadkowo dołączyli do mnie dwaj uciekinierzy na rowerach jadący podobnie jak i ja, na wschód. Jeden był mężczyzną w średnim wieku, natomiast drugi, był to młody chłopiec. Miał na sobie tylko koszulę i spodnie, w których jak się później okazało były puste kieszenie. Razem jechaliśmy w kierunku Kowla. Przy przejeździe do skrzyżowania szos, starszy towarzysz podróży, zaproponował zjechać z tej drogi i pojechać do znanego mu miasteczka Powursk. Zapewnił, że tam będzie można zatrzymać się na noc u jego znajomych. Pojechaliśmy, zatem do Powurska, gdzie spotkaliśmy się z życzliwym przyjęciem i noclegiem w normalnych warunkach mieszkaniowych.

Na drugi dzień obraliśmy kierunek jazdy do miasta Sarny i tam dotarliśmy. Na przedmieściu, zatrzymaliśmy się u gospodarza, który na lokum dla nas przeznaczył stodołę. Mając do granicy sowieckiej już tylko około 40 kilometrów, postanowiliśmy zatrzymać się tutaj do czasu rozstrzygnięcia się losów wojny. Wśród dni spędzonych w Sarnach, była również niedziela. W tym dniu modliłem się z książeczki do nabożeństwa za stodołę w zaciszu i tam spotkała mnie gospodyni, u której mieszkaliśmy. Płakała nade mną i życzyła mi szczęśliwego powrotu do rodziny. Przyniosła mi też obiad, który zapewne odjęła sobie od ust.

Podobnie jak na trasie całej podróży, również i w Sarnach trudno było cokolwiek kupić do jedzenia. 17 września 1939 roku z rana wjechaliśmy do z dala widocznej wsi z myślą zakupu czegoś do jedzenia. Jadąc przez wieś zobaczyłem rozciągniętą nad dachem, antenę radiową. Z nadzieją, że tu będzie można dowiedzieć się o sytuacji na wojnie, wszedłem do mieszkania. W izbie zastałem młodą kobietę rozpaczliwie płaczącą i trzech polskich oficerów siedzących ze spuszczoneymi głowami. Na moje pytanie skierowane do płaczącej kobiety, -co się stało? Odpowiedziała mi ze szlochem, -lepiej niech pan się nie pyta! Dziś rano wojska sowieckie przekroczyły naszą granicę i każdej chwili mogą być już tutaj, a ja nie obronię się przed nimi! Ale na to jestem już przygotowana; i pokazała buteleczkę trzymaną w ręku. Mówiła też, że parobek, który jeszcze wczoraj wyjechał konno, już nie wrócił. Na koniec powiedziała do mnie, - na pewno pan jest głodny, wszystko jest otwarte, niech pan bierze, co pan chce. Nie wziąłem nic. Takiej rozpacz nie widziałem nigdy w życiu, ani przedtem, ani potem. Byłem zdruzgotany, zarówno wiadomością jak i rozpaczą tej młodej kobiety.

Po południu pojechałem do śródmieścia, a tam na ulicy opowiadano, że wojna skończyła się i wszyscy powinni wracać do swoich miejsc zamieszkania jak również, że będą uruchomione pociągi odjeżdżające na zachód w celu odwiezienia uchodźców. Tą ostatnią wiadomość potwierdzono nam na stacji. Należało, więc jak najszybciej znaleźć miejsce w wagonie (oczywiście towarowym), ale były one już przepełnione. Ulokowaliśmy się, więc w budkach nad zderzakami wagonów, a rowery umieściliśmy pod tymi budkami. Nastąpiły długie godziny oczekiwania w ogromnym napięciu. Dopiero około północy wagony drgnęły. Pociąg ruszył w kierunku zachodnim! To było uczucie uszcześliwienia, pierwsze od wybuchu wojny – wracamy przecież do domu!

W istniejących warunkach szybkość jazdy pociągiem była bardzo ograniczona. Jadąc nocą, widoczne były rozległe przestrzenie płomieni palących się zabudowań wielu pobliskich wiosek. Na stację kolejową w Kowlu, pociąg przyjechał w porze dziennej i tu miał dłuższy postój. W tym czasie na peronie przy budynku dworca, zaobserwowałem bardzo przykry widok. Mianowicie, do polskiego żołnierza stojącego z karabinem na plecach, podszedł młody mężczyzna ubrany po cywilnemu i coś powiedział do tego żołnierza, a ten od razu zdjął karabin i podał temu cywilowi, który niezwłocznie ulotnił się. Również po drugiej stronie, stojącego na stacji pociągu, można było obserwować przykry widok rabunku z wagonu towarowego mienia wynoszonego przez złodziei w płachtach na plecach.

Ze stacji w Kowlu, pociąg ruszył dalej w kierunku zachodnim. Po przejechaniu około połowy drogi pomiędzy Kowlem i rzeką Bug, pociąg zatrzymał się w polu. Rozeszła się wtedy wiadomość, że żołnierze wydają w wagonie chleb, a druga wiadomość głosiła, że pociąg dalej nie pojedzie, bo most na Bugu został wysadzony w powietrze i trasa jest zatarasowana przez inne pociągi. Wyglodzeni i mając przed sobą jeszcze dłuższą podróż, po chleb w kolejce stawaliśmy po kilka razy. Przez rzekę Bug przechodziliśmy w pobliżu zawalonego mostu z rowerami na plecach i spodniami na ramieniu. W tym samym dniu, o zmroku, dojechaliśmy do przedmieścia Chełmna. Tu znaleźliśmy lokum w budynku ze strychem pełnym siana. Weszliśmy tam po drabinie, którą na noc wciągnęliśmy za sobą. Następnego dnia pożegnaliśmy się na trasie, obaj towarzysze podróży pojechali w kierunku Siedlec, ja natomiast przez Ryki i Sobolew do Maciejowic. Przy pożegnaniu, ten młody chłopiec podziękował mi za pokrywanie wydatków na żywność, z której on w tej razem odbytej podróży, korzystał.

W Sobolewie, nieoczekiwanie zastałem Bolka Wręgę, z którym rozstałem się w Białej Podlaskiej w zamieszaniu podczas bombardowania miasta przez niemieckie samoloty. Spotkanie nasze odbyło się jak między kochającymi braćmi. Na drugi dzień pojechałem do Maciejowic. Miasteczko zostało spalone i niemal doszczętnie zniszczone. Tam udałem się do wozaka Kordy, który po wybuchu wojny, miał przewieźć wyposażenie biura z Maciejowic do Łukowa, a przy tym zabrać również rzeczy pracowników biura. Do przewozu oddałem wtedy walizkę, w której oprócz garnituru i bielizny znajdowały się różne drobiazgi, a w tym również pamiątki. W odpowiedzi na żądanie oddania powierzonej walizki, Korda wyszedł i wrócił z obcą koszulą w ręku oznajmiając, że wszystko zginęło w drodze.

Spalony i w gruzach, był też domek państwa Paśnickich, u których miałem szczęście mieszkać w iście rodzinnej atmosferze. Odnalazłem ich w budynku urzędu gminy, w którym przebywało również wielu mieszkańców Maciejowic, pozbawionych dachu nad głową. Serdeczne powitanie nie obyło się bez obopólnych łez. Zatrzymałem się tam przez jedną noc, którą spędziłem obok pana Paśnickiego na słomie pokrywającej podłogę. Na pożegnanie, pani Paśnika, głęboko wzruszona, podziękowała mi za zostawiony jej banknot. Wybiegając w opowiadaniu o kilka lat naprzód, z przyjemnością wspominam niezwykle serdeczne przyjęcie mnie przez państwa Paśnickich w odbudowanym domku.

Po powrocie z Maciejowic do Sobolewa, gromadziliśmy z Bolkiem przez kilka dni chleb na dalszą drogę. Jeden bochenek chleba, Bolek potrzebował również do ulokowania wewnątrz pistoletu, jaki posiadał. Postanowił on zabrać tę broń mimo wywieszonych niemieckich ogłoszeń o karaniu śmiercią za posiadanie broni. Nie pomogły moje perswazje, aby nie narażać się. Bolek wydrążył środek z bochenka i tam ulokował swój pistolet, a na otwór położył przyklepkę, którą przybił do bochenka kołeczkami. Z bochenkami chleba przytwierdzonymi pod ramami rowerów ruszyliśmy do Garwolina. Kilka kilometrów przed tym miastem, paru niemieckich żołnierzy zeszło z pola i krzykiem halt, zatrzymało nas. Przyglądali się nam i naszym rowerom obwieszonymi chlebem. Mówili tylko po niemiecku. Wtedy bardzo przydała się moja znajomość języka niemieckiego nabyta nawet w tak wąskim zakresie, jaki przerabialiśmy w szkole powszechnej w Bodzanowie. Zdołałem, bowiem wyjaśnić, że wracamy do rodzin po skończeniu pracy przy budowie mostu. W końcu odeszli... a my pojechaliśmy dalej. Sprzeczaliśmy się tylko o to, który z nas był bardziej błądy.

Garwolin leżał w gruzach. Jak już wspominałem poprzednio, mieszkanie, w którym mieszkał brat Adaś z rodziną, zostało doszczętnie spalone. Żonę Adasia, Janinę wraz z pięcioletnią córeczką Tereską odnalazłem w ocalałym budynku, gdzie w niewielkiej izbie, noc spędziliśmy na słomie rozścielonej na podłodze. Następnego dnia Bolek oddał koledze Adasia z policji, swój pistolet i ruszyliśmy na rowerach w kierunku Warszawy. Szczęśliwie i bez przeszkód dojechaliśmy do Wilanowa, gdzie mieszkała rodzina Bolka.

Na drugi dzień, pożegnanie z Bolkiem i jego rodziną. Teraz już samotnie jechałem do Płocka, aby tam w zakonie sióstr Pasjonatek odwiedzić siostrę Kazię, o zakonnym imieniu Anzelma. Pomyślałem, że najkrótszą drogą do Płocka będzie ścieżka wzdłuż koryta Wisły i tędy pojechałem. Po drodze napotkałem grupę niemieckich żołnierzy, którzy kopali cukrowe buraki. Gdy mnie zobaczyli, podbiegli i otoczyli z krzykiem „aitla, aitla. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć. Dopiero

po chwili domyśliłem się, że jest to ich powitanie heil Hitler i wyrazy te głośno powiedziałem. Dopiero wtedy, spokojnie odeszli.

Po przeprawie przez Wisłę, na brzegu w Płocku, stał niemy chłopczyk z ciastkami na zawieszanej deseczce i pokazywał 20 groszy – cenę ciastka. Kupiłem za złotówkę i wszystkie zaraz zjadłem. U sióstr Pasjonatek, siostry swej nie zastałem. Zatrzymałem się tam na noc. Przygotowująca posłanie siostra, powiedziała do mnie serdecznie, -daję panu pierzynkę, żeby pan czuł się jak u mamy. Nazajutrz wyruszyłem w drogę z nadzieją, że już tego dnia dotrę do rodziny. Nawet najkrótszy błysk myśli nie pojawił się wtedy u mnie, że wydarzenia tego i następnego dnia, będą decydowały o mojej przyszłości.

Szczęśliwie minąłem Włocławek i kolejne wioski: Brzezcie, Bądkowo, Słupy Duże i Ujmę Dużą. Nagle zobaczyłem przede mną jadącą na rowerze Helenę. Wyprzedziłem i nastąpiło powitanie. Nie było gorące, jak należało się spodziewać. Helena była smutna. Mówiła, że obaj bracia zostali powołani do wojska i dotąd nie ma wiadomości, jaki los ich spotkał. W takiej atmosferze rozmawialiśmy krótko i umówiliśmy się, że w jutrzejszą niedzielę po południu, spotkamy się w jej domu. W kilka minut po tej rozmowie, byłem już z rodziną. W domu byli wszyscy: rodzice, Ewa i Tolek. Powitania gorące uściski wśród najbliższych sercu, przeciągnęły się. Wkrótce pojawiła się siostra Fela ze swoją rodziną. Wszyscy byliśmy uszczęśliwieni. Od mamy otrzymałem dużą piękną gruszkę zerwaną z drzewa w naszym sadzie i przechowywaną z przeznaczeniem dla mnie.

Następnego dnia, w niecierpliwie oczekiwane, niedzielne popołudnie, pojechałem odwiedzić Helenę. Otworzyła mi drzwi jej siostra Janina. Po przywitaniu się, również z matką obu sióstr i krótkiej rozmowie, Janina powiedziała do mnie, że Hela pojechała do Włocławka. Oniemiałem. Odczucie na zasłyszaną wiadomość, nie mógłbym właściwie opisać. Wkrótce po usłyszeniu tej wiadomości, pożegnałem się i wyszedłem. To był ostatni pobyt w tym domu. Odtąd Helenę widywałem tylko w kościele.

Wyprzedzając to opowiadanie w czasie o ponad dwadzieścia lat, przychodzi mi na myśl spotkanie w katedrze włocławskiej, gdzie modliłem się siedząc w ławce. W pewnej chwili, obok mnie usiadła Helena, a przy niej również, znany mi jej mąż. Po wyjściu z katedry zatrzymałem się chwilę przy drzwiach z myślą, że Helena może też wyjdzie. Istotnie wyszła. Opowiedziała mi wtedy o przeżywanym smutku, z powodu odejścia do wojska w tym dniu, dwóch jej synów bliźniaków. Pożegnałem ją pocałunkiem w czoło.

Po powrocie do domu we wsi Jedność około połowy października 1939 roku, życie toczyło się jak przed wybuchem wojny, jednak z myślą i przygotowaniem do spodziewanego wysiedlenia, o czym wspominałem w tym opowiadaniu. A oto krótki fragment przedstawiający przygotowania do wysiedlenia i jak wyglądała sąsiedzka pomoc. Dla zapewnienia sobie możliwości korzystania w przyszłości z rzeczy, niektóre rzeczy, a w tym pościel wyniesiona została do najbliższego, a zaprzyjaźnionego sąsiada. Pewnego dnia przyjechał do nas kuzyn, którego rodzina została wysiedlona. Późnym wieczorem, udałem się z nim do wspomnianego sąsiada, aby w jego stodole przespać nadchodzącą noc. Gospodarz ten spał już w stodole i zbudzony, oddał nam naszą pierzynę, którą się nakrywał, a drugą, musiał wyciągać spod siebie, służyła mu, bowiem za posłanie.

Po wysiedleniu 20 lipca 1940 roku, zdecydowałem się pojechać do brata Adasia, mieszkającego w Garwolinie na terenie Generalnej Guberni, oddzielonej granicą od terenów przyłączonych do Rzeszy Niemieckiej. Pożegnanie z ojcem, było niezwykle smutne. Po raz drugi w życiu, widziałem ojca płaczącego. Droga do Adasia prowadziła przez Milżyn, bo tam zawiozłem na rowerze siostrę Ewę. Razem z nami jechał również rowerem bratanek mamy, Józef Korzeniewski. Z Milżyna, obaj pojechaliśmy do Lubrańca, gdzie zatrzymaliśmy się u jego krewnych.

Po paru dniach wyruszyłem w dalszą drogę w kierunku Garwolina. Jadąc przez wioski, na wielu budynkach widać było hitlerowskie flagi, znak wysiedlenia Polaków. Na noc zostałem przyjęty u gospodarzy na wsi, nieco powyżej Płocka, leżącego po drugiej stronie Wisły. Następnego dnia była niedziela. Bardzo rano rozpocząłem dalszą jazdę. Przed południem, zatrzymałem się przy starszym mężczyźnie pasącym krowę w rowie przy szosie. Na moje pozdrowienie, odpowiedział mi po polsku. Wiedziałem, więc, że jest to Polak. Poczęstowałem go papierosem, mimo, że sam nie paliłem i po krótkiej rozmowie, zwierzyłem się, że chciałbym przejść przez granicę. Słyszac to,

usiłnie odradzał mi mówiąc, że na granicy ustawione są karabiny maszynowe, a straż graniczna, ponadto posługuje się psami. Na to odpowiedziałem, że nie mam, dokąd wracać i mimo wszystko, muszę przejść zaryzykować. Wtedy poradził mi dojechać do wioski Orłowo i tam zwrócić się do właściciela restauracji o pomoc.

W Orłowie o tej porze, ludzie wychodzili z kościoła i niektórzy wchodzili do restauracji. Wszedłem i ja, i zobaczyłem w lokalu hitlerowskie emblematy. Usiadłem przy stoliku i cedząc piwo przy posiłku, podsłuchiwałem rozmowy. Nic nie wskazywało na to, że jest to lokal niemiecki. Po dłuższym pobycie podszedłem do mężczyzny, który obsługiwał gości przy ladzie i zwierzyłem się, że zamierzam przekroczyć granicę i proszę o pomoc. Pierwsze jego słowa były, -to bardzo trudna sprawa, ale zobaczymy, co się da zrobić. Wróciłem, więc na swoje miejsce. Wkrótce podszedł do mnie i powiedział, - proszę za mną i wyszliśmy z lokalu. Zabrałem rower i za nim wszedłem na podwórze. Otworzył drzwi do szopy i wskazując wewnątrz powiedział, -proszę. Wszedłem, a on zamknął drzwi na klucz i odszedł. Po kilku godzinach, tuż przed zachodem słońca, otworzyły się drzwi i młody mężczyzna powiedział do mnie,- to będzie kosztować...marek. Odpowiedziałem, - zgoda. Nalegał jeszcze, abym zostawił rower, ale zdecydowanie odmówiłem. Szliśmy szybko przez łąkę i rozebrani jak podczas przejścia przez Bug przekroczyliśmy Bzurę, stanowiącą granicę. Idąc dalej przez łąkę, doszliśmy do widocznej z dala wioski. Tam przewodnik zaprowadził mnie do najbliższego domu i przedstawił nowego gościa. Gospodarze przyjęli mnie życzliwie i przygotowali nocleg w domowych warunkach.

Wcześniej rano następnego dnia, wyruszyłem do ostatniego etapu mojej podróży. Bliskość celu, dodawała sił w nogach, co pozwoliło mi w godzinach popołudniowych znaleźć się nad Wisłą. Tu przewoźnik przewiózł mnie łódką na drugi brzeg. Przed wieczorem byłem już w Garwolinie. Miasto to położone jest przy trasie Warszawa – Lublin z mostem nad rzeką Wilgą, z pięknymi za miastem zakrętami. Poza górującym nad miastem okazałym kościołem pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego oraz koszarami zmotoryzowanego pułku kawalerii, Garwolin niczym szczególnym, nie wyróżniał się od innych miast o zbliżonej wielkości.

Adaś z rodziną mieszkał na ulicy Staszica, łączącej się przy kościele z główną trasą. Przez okno od podwórka, zobaczyłem stojącego w mieszkaniu przy oknie Adasia. Powitanie z całą rodziną było niezwykle serdeczne. Mieszkanie, jakie zajmowali, to niewielka izdebka, w której mieściła się kuchnia, mały stolik, dwa taborety oraz oddzielone od siebie wąskim przejściem tapczan i łóżko. W takich warunkach dołączyłem ja, jako czwarty mieszkaniec tej izdebki. Stan ten trwał przez około dwa miesiące, do czasu, gdy mieszkający w tym samym domu, kolega Adasia z policji, pan Wilhelm Kosiba, zaprosił mnie wraz z łóżkiem do swego pokoju.

W niedługim czasie od zamieszkania w Garwolinie, idąc z Adasiem ulicą, spotkaliśmy pana Lernacińskiego. Zapoznany z moim bezrobociem, skierował mnie do pracy przy budowie mostów. Jeden budowany był w wiosce Leszczyny, w pobliżu Garwolina, a drugi w Oziemkówce oddalonej od tego miasta o 11 kilometrów. Była to praca fizyczna. Pracowałem siekierą przy obróbce sosen na pale, a także przy ścinie sosen w lesie. Czasowo, w zastępstwie kierownika budowy, prowadziłem dziennik bicia(wbijania) pali. Po zakończeniu budowy tych mostów zmieniłem pracę. W firmie budowlanej, podjąłem pracę, jako cieśla, na budowie piętrowego magazynu przy stacji kolejowej w Garwolinie. Z tej pracy najbardziej upamiętniły mi się emocjonalne przeżycia na wysokości przy łączeniu krokwi.

Do oddalonego miejsca pracy od miasta około czterech kilometrów, dojeżdżałem rowerem kupionym w Stoczku Łukowskim, w pierwszym dniu ucieczki z Maciejowic. Zostawiony po powrocie z pracy pod oknem mieszkania, zniknął w kilka minut od odejścia. W następnych dniach korzystałem z roweru Adasia. Po zakończeniu budowy magazynu, wykonywaliśmy prace remontowe, w budynkach na terenie miasta. Dalszą pracę uniemożliwiła mi choroba wynikająca z przeziębienia. Nowy, 1941 rok, rozpocząłem, jako bezrobotny. W moim życiu był to bardzo trudny czas nieproduktywnego oczekiwania na zmianę położenia, w jakim się znalazłem. Aż nadszedł pamiętny wieczór trzeciego lutego 1941 roku, który zapisał się w pamięci, jako początek nowego rozdziału mojego życia. Tego wieczoru, jak co dzień, jadłem kolację z rodziną Adasia. W tym czasie przyszedł do nas pan Kosiba i od razu zwrócił się do mnie z pytaniem, -panie Niku, będzie wódka?

Ale ja na to pytanie nie odpowiedziałem wiedząc, że pan Kosiba tak jak ja, wódki nie pije. On jednak ponownie, już z naciskiem pytanie powtórzył, -panie Niku, będzie wódka? Na to pytanie dałem odpowiedź pozytywną, - jeśli jest taka potrzeba, wódka będzie. Wtedy podał mi w rękę trzymaną kartkę i powiedział, -zgłosi się pan jutro rano pod tym adresem i tam otrzyma pan pracę. Za taką wiadomość, podziękowałem panu Kosibie z największą wdzięcznością. O wódce, nie było już mowy.

Na kartce było niemieckie nazwisko Schmidt i adres w Pilawie, miejscowości oddalonej od Garwolina około 11 kilometrów. Nazajutrz, wcześniej rano, wybrałem się do Pilawy, niekiedy brnąc do łydek w śniegu. Na miejscu, przyjął mnie w mieszkaniu Niemiec Szmidt, który w rozmowie ze mną, z trudnością posługiwał się polskim językiem. Poinformował mnie, że praca moja, polegać będzie na przyjmowaniu drewna przywożonego w dłużycach z lasu na plac kolejowy przy stacji. Od zaraz miałem zgłosić się do właściciela majątku Popień i polecić dowieszenie na plac przy stacji kolejowej Rogów, zakupionych w tym majątku 50 metrów sześciennych drewna. Na zakończenie rozmowy, pan Szmidt poinformował mnie o wysokości miesięcznego wynagrodzenia i o tym, że formalnie przyjmuje mnie do pracy w firmie Helmuth Koschnick Holzgesslschaft Danzig od dnia 5 lutego 1941 roku. Po wyjściu z mieszkania na ulicę, aż trudno mi było opanować moją radość na twarzy. Tę radość mogłem w pełni przeżywać dopiero na wolnej przestrzeni. W mieszkaniu u Adasia, cieszyliśmy się wszyscy, ale na pewno ja najwięcej.

Przygotowania do wyjazdu nie trwały długo. Zawsze troskliwy o mnie Adaś, oddał mi swoją skórzaną kurtkę na futrze. Wyposażył mnie również w aparat fotograficzny wraz z wszystkimi materiałami do wykonywania zdjęć. Następnego dnia, to jest 5 lutego 1941 roku, byłem już w Rogowie, a także w majątku Popień, gdzie moje przybycie, zameldował właścicielowi, jego lokaj. Ustaliliśmy, że dowóz drewna, rozpocznie się w następnym dniu.

Początkowo zamieszkałem w pobliżu stacji kolejowej z rodziną kolejarza, składającą się z trzech osób: małżonkowie i babcia. Babcia ta, po paru dniach zamieszkania, wyleczyła mnie z silnego przeziębienia, mieszkanką sporządzoną z pół szklanki wódki- samogonu z gorącym tłuszczem. Wypiłem to na noc i rano, bez objawów choroby, przyjąłem przywiezione drewno na placu kolejowym. Z tą rodziną mieszkałem jednak krótko, gdyż nocne spory między małżonkami nie pozwalały na spokojny sen. Podobnie nie mogłem mieszkać i w następnym wskazanym mi mieszkaniu.

Dopiero w Marianowie, sąsiedniej wiosce, intuicyjnie wszedłem do jednego domu i po przedstawieniu się, wyłuszczyłem cel mojej wizyty. To tu właśnie spotkało mnie to, o czym marzyłem. Oddzielny pokój pięknie umeblowany. W domu tym mieszkały dwie rodziny. Emerytowany kolejarz z żoną, państwo Kuczkowscy, oraz ich córka z mężem i kilkuletnim synkiem, państwo Marcinkowscy. Wspaniali, kulturalni, bezinteresowni ludzie. Rozstawaliśmy się z żalem, bo moja praca w Rogowie trwała tylko przez około miesiąc czasu, to jest do zakończenia dowozu drewna zakupionego w majątku Popień. O następnym miejscu pracy miałem dowiedzieć się od Szmidta na spotkaniu w umówionym dniu na dworcu Centralnym w Warszawie.

W tym dniu, po wyjściu z wagonu, zastanowił mnie niemal zupełnie pusty peron. To samo stwierdziłem i na hali dworca. Wkrótce po umówionej godzinie, zobaczyłem Szmidta wbiegającego do hali od strony peronów. Gdy podbiegłem do niego, sięgnął ręką po pistolet, jednak poznał mnie i ręka mu opadła. Nie zatrzymując się, polecił mi wyjechać do Ostrowca Świętokrzyskiego i tam, również przyjmować na placu kolejowym, dowożone z lasu drewno. Jak się później dowiedziałem, przyczyną opisanej wyżej atmosfery istniejącej na dworcu Centralnym w Warszawie, było zabójstwo popularnego niemieckiego aktora.

Do Ostrowca Świętokrzyskiego pojechałem bezpośrednio z Warszawy przez Radom i Skarżysko Kamienną. Po wyjściu z wagonu w Ostrowcu, zobaczyłem naprzeciw dworca stojące wzdłuż ulicy niewielkie domki. Idąc na przełaj przez tory, doszedłem do najbliższego i zobaczyłem wiszącą tablicę z nr 16 i nazwę ulicy-Zagłoba. Wszedłem tam i po przedstawieniu się młodej dziewczynie zapytałem o możliwość zamieszkania. Na to odpowiedziała mi, że o tym może zdecydować mama, ale będzie dopiero jutro i dodała, -jest w domu wolne miejsce, to do jutra może się pan u nas zatrzymać. Na drugi dzień, matka tej dziewczyny, wyraziła zgodę na zamieszkanie w

babci pokoju podzielonym parawanem. Cały domek zajmowała jedna rodzina kolejarska w skład, której wchodziło: małżonkowie, ich dorastające dzieci, Krystyna i Kazimierz oraz babcia. Ufnał było ich nazwisko.

Pamiętam Ostrowiec, jako średniej wielkości miasto, podzielony rzeką Kamienną. Po obu jej brzegach ciągnęły się skwery z młodymi wówczas drzewkami. Nad miastem górował pobudowany na wzniesieniu duży kościół. Drugi, niewielki kościół drewniany, znajdował się w pobliżu huty. Huta ta, usytuowana była w pobliżu dworca kolejowego, ale hałas z tej huty, dosięgał mieszkańców całego miasta. Szczególnie dla osób przyjezdnych hałas ten, stawał się utrapieniem.

Praca na składnicy drewna, nie zabierała mi wiele czasu, gdyż drewno przywożono z lasu ciągnikiem tylko raz dziennie. W wolnym czasie, zwiedzałem miasto i okolice. Chodziłem również na spacer z miłymi dziećmi moich gospodarzy, a także z dorosłym, sympatycznym rodzeństwem Wandy i jej brata zamieszkałymi po sąsiedzku, wysiedleńcami z Poznania. Uczylem się też grać na ustnej harmonijce, do czego zdołał mnie syn gospodarzy, który nieraz pięknie grał na tym instrumencie, również w czasie spacerów nad Kamienną. Najchętniej jednak wolny czas wykorzystywałem do fotografowania i wywoływania w ciemni zdjęć, z których zachowała się tylko niewielka ich część.

Praca moja w Ostrowcu trwała około trzech miesięcy. Pod koniec pobytu, mogłem jeszcze obserwować na ulicach tego miasta, ciągnące na wschód, zmotoryzowane wojska niemieckie. Na moje miejsce, przyjechał do pracy w Ostrowcu, starszy mężczyzna, Stanisław Rozenkiewicz. Otrzymał on też polecenie zapoznania mnie z zasadami manipulowania dowiezionego drewna, które po przerzynce na gotowe stojaki, służyć mają do obudowy chodników w kopalniach węgla kamiennego. Stąd też, drewno to popularnie nazywa się kopalniakami. Manipulacja polegała na wyznaczaniu na dłużycy miejsc do przerywania. Do tego celu używana była trzy metrowej długości łąta drewniana z odpowiednią podziałką, suwmiarka 30 centymetrowa oraz rysak, to jest nóż o zagiętym ostrzu do wycinania na dłużycy miejsc do przerywania, a na stojakach znaków długości.

Masę drewna użytkowego określano w metrach sześciennych. Dla wyliczenia masy drewna okrągłego, potrzebne były wymiary długości i średnicy każdej sztuki. Średnice dłużyc, mierzono na środku jej długości, a średnice stojaków w cieńszym końcu na przekroju. Wyliczenie masy, odczytywało się z odpowiednich tabel. Ustalenie masy drewna było podstawą do zapłaty za przerywkę oraz za załadunek na wagon, a także do wystawienia dla odbiorcy faktury za dostawę zamówionego drewna. Poznanie zasad manipulacji, trwało u mnie nie dłużej niż godzinę i na podstawie otrzymanego zamówienia kopalni, przystąpiłem do kreślenia odpowiednich znaków na dłużycach. Mój nauczyciel poradził mi tylko jak jest najwygodniej trzymać w lewej ręce łątę i suwmiarkę.

Po przekazaniu składnicy z kopalniakami w Ostrowcu Świętokrzyskim mojemu następcy, otrzymałem dyspozycję objęcia składnicy na bindudze w Solcu nad Wisłą. Binduga to plac nad brzegiem Wisły, ponad dwa kilometry w dół od miasteczka Solec nad Wisłą. Na placu znajdowało się już kilkaset metrów sześciennych dłużyc. Jako pomoc do manipulacji tego drewna przysłany był Bronisław Bieńko, znający już to zagadnienie. Obaj zamieszkaliśmy nieopodal bindugi we wsi Boiska u gospodarza nazwiskiem Kwiatek. Oprócz manipulacji dłużyc, miałem obowiązek przysyłać zwierzchnikowi pisemne meldunki o postępie robót. Meldunki te z wyszczególnieniem ilości pozyskanych sztuk w poszczególnych asortymentach stojaków, wysyłałem w określony dzień każdego tygodnia. Dane z tych meldunków wskazywały na dobre wyniki naszej pracy. Chętnych robotników do piłowania dłużyc, było pod dostatkiem, a wysokość zarobków obliczana według stawki akordowej od metra sześciennego, pobudzała ich do wzmoczonych wysiłków.

Według opinii robotników, gospodarz Kwiatek, u którego zamieszkaliśmy, uchodził za najbogatszego chłopca we wsi Boiska. Jego rodzina składała się z czterech osób: małżeństwo oraz dwoje dorastających dzieci, córka i syn. Uczciwi, życzliwi, dobrzy ludzie, zarówno rodzice jak i ich dzieci. Gospodyni zgodziła się nie tylko na zamieszkanie, ale i na całodzienne nas żywienie. Były to typowo wiejskie potrawy, smaczne i higieniczne, bez zarzutu. Zarówno za mieszkanie jak i wyżywienie, płaciliśmy naszym gospodarzom, w większej części odpadami drzewnymi, jakie powstawały przy manipulacji dłużyc. Były to krzywizny i końcówki.

Wkrótce po zamieszkaniu w tej wsi, młodzież dowiedziała się, że mam aparat i robię zdjęcia. Od tego czasu w pogodne popołudnia niedziel i świąt, młodzi, a szczególnie dziewczyny, przychodziły do zdjęć, a przy okazji porozmawiać nieraz całymi godzinami. Frekwencja do zdjęć bardzo wzrosła, gdy przyjąłem pomysł kolegi Bieńko, aby za zdjęcia oprócz pieniędzy, przyjmować w zamian również jajka w relacji jedno za zdjęcie. Wymianą zdjęć za jajka, zajmował się kolega Bieńko. I tu nieraz były targi, bo według niego, niektóre jajka były zbyt małe i nie przyjmował. W takich przypadkach dziewczęta wracały bez zdjęć i musiały czekać, aż inne kury zniosą jajka większe. Przyjmowanie jajek za wykonywane zdjęcia, podyktowane było potrzebą zdobycia cukru, gdyż ten artykuł można było otrzymać tylko z wymiany za jajka. Cukier natomiast, potrzebny mi był do zasypywania wiśni na sok, z przeznaczeniem zarówno dla rodziny Adasia jak i dla pana Kosiby.

Gdy uzbierało się już sporo jaj, dopiero wtedy dowiedziałem się, że w Solcu nie wymienia się ich na cukier i, że najbliższy punkt takiej wymiany jest w miasteczku Opole po drugiej stronie Wisły. Mając nagromadzoną większą ilość jaj, nie miałem wyboru, więc postanowiłem udać się z „towarem” do Opola. Łódkę do przeprawy przez Wisłę, wypożyczyłem od robotnika pracującego przy kopalniakach. Nie było to pierwszy raz, bo w wolnym czasie od zajęć, nie raz na jego łódce, po Wiśle już wiosłowałem. Pogoda była piękna i rano wsiadłem z jajkami do łódki. Szczęśliwie dopłynąłem do przeciwległego brzegu i po przejściu około 15 kilometrów wymieniłem w Opolu jajka za cukier w relacji kilogram za kilogram. Idąc z powrotem, zobaczyłem daleko na horyzoncie małe zachmurzenia, co spowodowało u mnie, przyśpieszenie kroku. Gdy doszedłem do Wisły, woda była spokojna. Mogłem, więc i ja spokojnie odpłynąć. Nie trwało to jednak długo, bo będąc około połowy koryta Wisły, boczne fale zaczęły łódką kołysać i kołysanie to stale się wzmacniało. Również i ja wiosłowałem, ile sił w rękach i tak zmordowany do końca, szczęśliwie dopłynąłem do brzegu. Dopiero po wyjściu na ląd, przyszła refleksja, jak wielkie niebezpieczeństwo groziło mi przez przyjęcie pomysłu zapłaty jajkami za zdjęcia.

Kontakty z młodzieżą wioski, jakie zostały nawiązane przy robieniu zdjęć, z upływem czasu stawały się coraz częstsze. Przejawiało się to również w spotkaniach przy kościele po mszy świętej w Solcu, a od pewnego czasu, zwyczajem było, z kościoła wracać gromadnie. Tematów do rozmów nigdy młodzieży nie brakowało, choć z Boisk do Solca, szło się około trzech kilometrów, drogą polną nieraz błotnistą. Byliśmy też gromadą na odpusie w oddalonej około 10 kilometrów Chotczy.

W okresie pracy przy przerzynce dłużyc, przyjechał na lustrację bindugi pan Stanisław Matowski, obywatel Rzeszy Niemieckiej, przedstawiciel firmy, w której pracowaliśmy. Zapowiedział, że po zakończeniu przerzynki dłużyc, będą podstawione barki pod załadunek stojaków. Pozostał u nas na noc. Podczas przyjaznej rozmowy, podał konkretną datę napadu Niemiec na Związek Radziecki. Po pewnym czasie, jaki upłynął od tej wizyty, pojechałem rowerem w odwiedziny do państwa Ufnalów w Ostrowcu Świętokrzyskim, u których mieszkałem w okresie pracy w tym mieście. Zostałem tam na noc, a gdy wczesnym rankiem wrócił z pracy pan Ufnal, od progu zawołał, - już się złapali; co oznaczało, wybuch wojny. Był to dzień, który zapowiedział pan Matowski.

Po zakończeniu przerzynki dłużyc, podpłynęła do brzegu bindugi barka pod załadunek stojaków. Praca przy tym załadunku była lżejsza od załadunku na wagony, bo poziom podłogi barki, był poniżej poziomu brzegu bindugi i stojaki były opuszczane po odpowiednich podkładach. Po kilku dniach od rozpoczęcia załadunku, otrzymałem krótki urlop i polecenie zgłoszenia się u Schmidta w Pilawie. Urlop spędziłem w Garwolinie z rodziną Adasia.

W umówionym dniu pojechałem ze Szmidem do Tarnogrodu, miasteczka położonego około 20 kilometrów na południe od Biłgoraja. Po przyjeździe na miejsce, Szmidt poprowadził mnie do swego znajomego naczelnika poczty, Bogdanowicza. W trakcie rozmowy, naczelnik wspominał, że w budynku poczty, na pierwszym piętrze obok jego mieszkania, jest wolny pokój z balkonem i niezbędnymi meblami, w którym mogę zamieszkać. Na koniec, Szmidt zostawił mi zamówienia kopalń na stojaki i w tym samym dniu odjechał.

Składnica z dłużycami kopalniakowymi znajdowała się w odległości około trzech kilometrów od Tarnogrodu, w lesie obok tartaku w miejscowości Majdan Sieniawski. Wkrótce zaangażowałem grupę Żydów do przerzynki dłużyc i rozpoczęła się praca na składnicy. Uzyskane z przerzynki



stojaki w ilości odpowiadającej pojemności wagonu kolejowego, przewożone były furmankami do Biłgoraja i tam składowane na placu przy torach kolejki wąskotorowej. Ekspedycją z Biłgoraja i przeładunkiem stojaków na wagony normalnotorowe na stacji Zwierzyniec, zajmowała się ekipa kolejowa.

Tak, więc oprócz prowadzenia prac przy przerzynce dłuźyc, moim obowiązkiem było organizowanie przewozu stojaków do Biłgoraja. Przewóz odbywał się tylko furmankami. Na podstawie przepisów wydanych przez władze okupacyjne, każdy rolnik posiadający konie, zobowiązany był do świadczenia określonej ilości podwód na potrzeby gospodarki niemieckiej. Obowiązek ten, rolnicy popularnie nazywali „forszpan”. Aby stwierdzić fakt przewozu i wystawić dla rolnika dowód wykonania podwoły oraz dostarczyć na stacji kolejki w Biłgoraju dokumenty na przewóz stojaków, zmuszony byłem często jeździć do tego miasta. Jeździłem tam furmanką przewożącą codziennie pocztę w obie strony. Nie zawsze jednak zdążyłem załatwić wszystkie sprawy przed odjazdem poczty i wtedy zmuszony byłem pozostać na noc w Biłgoraju. Przenocować można było tylko u państwa Michalskich, którzy dla przyjezdnych gości, wydzielili ze swego mieszkania, jeden pokój z kilkoma łózkami.

Na skutek częstej mojej nieobecności na składnicy, praca przy przerzynce dłuźyc, ślimaczyła się. Ponadto ilość stojaków z dłuźycy, zmniejszyła się, a za to ilość odpadów, tak chętnie kupowanych na opał, znacznie wzrosła. Wprawdzie do manipulacji dłuźyc zatrudniłem młodego mężczyznę, ale niewiele od niego wymagałem. Chodziło przecież o to, aby jak najmniej drewna z kraju wysłać, jeśli tylko warunki temu sprzyjają.

Pewnego dnia, wśród osób jadących wozem wiozących pocztę z Biłgoraja, jechała z nami zakonnica. Przy wjeździe do Tarnogrodu, przechodząca kobieta zatrzymała wóz i powiedziała, że Niemcy aresztowali księdza, jej brata. Na miejscu okazało się, że oprócz księdza, Niemcy aresztowali szereg innych osób, przeważnie z miejscowej inteligencji. Naczelnikowi poczty, Bogdanowiczowi udało się umknąć. Nowym naczelnikiem poczty został mianowany Zdzisław Kledzik, pracownik poczty w Biłgoraju, wysiedleńca z Wielkopolski. W krótkim czasie zaprzyjaźniliśmy się, a niedługo potem, dołączył do nas mieszkaniec Tarnogrodu, Tadeusz Magoch. Korzystał on często z usług poczty, bo co najmniej raz na tydzień, wysyłał paczkę z mięsem na adres urzędu miasta Warszawy, z dopiskiem nazwiska odbiorcy. Spotykaliśmy się często w trójkę. Również w niedzielę razem chodziliśmy do kościoła. Zdarzyło się też, że spotkaliśmy młodą parę, wchodzącą do prawosławnej cerkwi. Poszliśmy za nimi i oglądaliśmy tam ceremonię ślubu z koronami trzymanymi nad głowami młodej pary.

Wspomniane świątynie, kościół katolicki i cerkiew prawosławna, były jedynymi większymi budowlami w Tarnogrodzie. Dookoła rynku, stały niewysokie kamieniczki, zamieszkałe podobnie jak w innych miasteczkach byłego zaboru rosyjskiego, przeważnie przez ludność żydowską. Sklepy polskie można było policzyć na palcach jednej ręki.

Droga, a ściślej szosa, z Tarnogrodu do składnicy z kopalniakami, prowadziła niemal w połowie przez las. Idąc wczesną jesienią w jedną i drugą stronę lasem, zbierałem grzyby prawdziwki. Pokrajane w cienkie plasterki suszyłem na słońcu w nasłonecznionym moim pokoju. Wysuszone wysłałem rodzicom w gazetach zwiniętych w rulon. Podobnie pakowałem i wysyłałem ojcu papierosy. Miałem też możliwość wysłać rodzicom niemieckie marki, mimo, że nie posiadałem wymaganego zezwolenia. Kolega naczelnik poczty Kledzik, przyjął od mnie przekaz, bez tego dokumentu. W jednym z listów, ojciec podał mi adres brata mamy, mojego ojca chrzestnego, Stanisława Korzeniewskiego zamieszkałego w Potoku Górnym, wsi odległej od Tarnogrodu około 15 kilometrów. Podobnie jak nasza rodzina, również i jego rodzina, została wysiedlona z Kujaw przez Niemców. Poszedłem tam wujka odwiedzić, ale zastałem tylko jego żonę. Po kilku dniach, wujek mnie odwiedził. Do końca dnia i co najmniej pół nocy, spędziliśmy na rozmowie. Przy okazji, skorzystał też z możliwości wysłania pocztą pieniędzy dla swej córki mieszkającej na Kujawach. Gościć tak bliskiego krewnego, tu z dala od naszych rodzin, to była dla mnie wielka przyjemność.

Miałem również dwie niezapowiedziane wizyty Schmidta. Zauważyłem, że po wejściu, bacznie rozglądał się po pokoju, zarówno za pierwszym jak i drugim razem. Rozmowy nasze koncertowały się przeważnie na występujących trudnościach z przewozem stojaków do Biłgoraja.

W miarę skracania się dnia pracy w jesieni oraz zimą, coraz więcej przybywało wolnego czasu. Ten wolny czas, często spędzałem na poczcie, w pomieszczeniu centrali telefonicznej. Obsługiwała ją młoda dziewczyna, którą po jej przeszkoleniu, mogłem czasowo zastępować. Miałem też możliwość organizowania wieczorami rozmów i dyskusji telefonicznych przez jednoczesne połączenie czterech sąsiednich centrali na pocztach w Biszczy, Księżpolu, Olszy i w Potoku Górnym.

Były to bardzo przyjemne „spotkania” przy telefonie dla nas wszystkich uczestników mimo, że nie znaliśmy się osobiście. Na pocztę przychodziła niemal codziennie, mieszkająca naprzeciw, młoda, ładna Żydówka. Pomagała ona w sprzątanii. Była przyjaźnie traktowana przez personel poczty. Jednego dnia, spotkała mnie na ulicy jej matka i proszącym głosem powiedziała do mnie, - niech pan weźmie moją córkę. Zaskoczony tą prośbą od razu odpowiedziałem, - to niemożliwe. Od tego czasu, dziewczynka, przestała na pocztę przychodzić. Nadszedł też dzień, w którym naczelnik Kledzik otrzymał polecenie zabronić Żydom wstępu na pocztę. Wykonując ten nakaz, umieścił on nad drzwiami wejściowymi tablicę z napisem w języku niemieckim, który w tłumaczeniu na język polski głosił ”Wejście dla Żydów jest wzbronione”. Od tego czasu, ilość telegramów wzrosła i były one przeważnie pisane w kodzie. Jeden taki telegram, kolega naczelnik podał mi do przeczytania. Były tylko dwa wyrazy: cebule cztery.

## OLESZYCE



Na początku lutego 1942 roku przyjechał do Tarnogrodu Schmidt. Zabrał mnie do samochodu i pojechaliśmy do nadleśnictwa Cieszanów, odległego od Tarnogrodu ponad 30 kilometrów. Z nadleśniczym uzgodniony został dzień rozpoczęcia dowozu dłużyć kopalniakowych na plac przy stacji kolejowej Oleszyce. Po przespanej nocy u nadleśniczego, następnego dnia wróciliśmy do Tarnogrodu. W związku z mającym rozpocząć się dowozem dłużyć do Oleszyc, otrzymałem od Schmidta polecenie przenieść się do tego miasteczka, aby tam dowożone drewno przyjmować, a następnie przystąpić do przerzynki i wysyłać stojaki do kopalń. Na tym, skończyła się wizyta Schmidta.

Niespodziewanie, bo na składnicy w Majdanie Sieniawskim znajdowało się jeszcze drewno, trzeba było przeprowadzić się i to niezwłocznie. Komunikacja pomiędzy Tarnogrodem i Oleszycami ograniczała się do okrężnej drogi przez Biłgoraj, z przesiadkami w Zwierzyńcu i Rawie Ruskiej. W

tej sytuacji, pozostało tylko jedno wyjście, jechać furmanką. Udałem się, więc, do mieszkańca Tarnogrodu Piotra Capa, którego wcześniej poznałem na składnicy przy zabieraniu stojaków do przewozu na stację w Biłgoraju. Potem spotkaliśmy się też na ulicy, a w jedną niedzielę zaprosił mnie do mieszkania. Poznałem wtedy jego żonę i synka. Od tego czasu, zaproszenia powtarzały się. W okresie Świąt Bożego Narodzenia, wspólnie przy stole śpiewaliśmy kolędy, również z udziałem brata Capa, księdza Wincentego Tarnogrodzkiego (zmienił on nazwisko). Ksiądz ten mieszkał we Lwowie zarówno przed wybuchem jak i w czasie wojny.

Gdy przedstawiłem Capowi swoją prośbę o odwiezienie mnie do Oleszyc, zgodził się na to chętnie. Następnego dnia, a była to sobota, pożegnałem się z kolegami i wyjechaliśmy. We wsi Dzików miałem przesiadkę i dalej powiózł mnie krewny Capa. Do Oleszyc przyjechaliśmy o zmroku. Zatrzymaliśmy się na rynku miasteczka i weszliśmy do restauracji. Tam mój przewoźnik zapytał obecnych, kto może przyjąć mnie na mieszkanie. No to zgłosił się chętny mężczyzna i razem pojechaliśmy pod jego dom. Gospodarz wprowadził mnie do pięknego pokoiku, a następnie do kuchni, gdzie przybyłego lokatora przedstawił swojej żonie. Był też ich kilkunastoletni syn. W trakcie rozmowy podczas kolacji, zapytałem o godzinę porannej mszy świętej w nadchodzącą następnego dnia niedzielę. Gospodyni podała tę godzinę i dodała, że oni chodzą do cerkwi. Po tej wypowiedzi zorientowałem się, że jest to rodzina ukraińska. Dowiedziałem się też, że ich nazwisko było Koziej.

W kościele z obrazem Matki Najświętszej w ołtarzu, niedzielną mszę świętą odprawił ksiądz w podeszłym wieku. Dowiedziałem się później, że nazywał się Wojtuś. Był powszechnie bardzo lubiany i szanowany przez mieszkańców Oleszyc, za okazywaną dobroć i życzliwość każdemu człowiekowi. Reszta niedzieli upłynęła na zwiedzaniu. W centrum miasta, oprócz kościoła i cerkwi greckokatolickiej, na środku rynku wznosiła się większa budowla, dawny ratusz. Poza tym na terenie miasta znajdowały się dwa cmentarze, katolicki i żydowski. Przepływająca przez miasto rzeczka Lubaczówka, oddzielała od centrum park z pałacem księcia Sapiehy. Poza tym w granicach miasta znajdowały się dwa tartaki i stacja kolejowa.

Następnego dnia, na placu przy stacji kolejowej pojawiły się już pierwsze wozy z dłużycami kopalniakowymi. Tak, więc, z początkiem lutego, rozpoczęły się moje zajęcia w nowym miejscu pracy. Tutaj trzeba było również poznać przepisy obowiązujące użytkowników wagonów kolejowych, odnośnie zamawiania, załadunku i zgłaszania załadowanych wagonów do przewozu wraz z wypełnionym listem przewozowym. Do pracy piłą jak i załadunku stojaków na wagony, zatrudniłem chętnych zarówno Polaków jak również Żydów. W odróżnieniu od wymienionych poprzednio składnic, gdzie na placach znajdowało się tylko drewno kopalniakowe, w Oleszycach na rozległym placu kolejowym, składano różne asortymenty i gatunki drewna tak w stanie surowym jak i tarcicę, czy papierówkę. Na placu znajdował się też niewielki baraczek, w którym nawiązywało się znajomości.

Poznałem również pracowników kolei: naczelnika stacji oraz dyspozytora wagonów, a w jego kancelarii, klienta tartaku, Szymańskiego. Ten ostatni, wkrótce po zapoznaniu zaprosił mnie do swojej kwatery w domu na ulicy Błonie. Zachęcił mnie tym, że gospodyni, u której mieszkał, miała ładną córkę. Pomyślałem wtedy, że zmieniając często miejsce zamieszkania, nieraz marzyłem o spotkaniu dziewczyny, którą mógłbym pokochać i poszedłem. Był wieczór. Weszliśmy do kuchni, w której Szymański mieszkał i spał, bo stało tam łóżko. Nie było w tej izbie nikogo. Przez drzwi prowadzące do pokoju, dochodziły głosy przyciszonej rozmowy. Po pewnym czasie od naszego przyjścia, otworzyły się drzwi od tego pokoju i niemal biegiem, wkroczyły dwie dziewczyny zmierzając do drzwi wejściowych. Poderwał się Szymański i zastępując im drogę, przedstawił mnie. Jedna i druga podały mi rękę i bez słowa i wyszły. Żadna nie wróciła. Wyszedłem wkrótce i ja, bo zbliżała się godzina policyjna zakazująca ludziom przebywania poza mieszkaniem. Wracając do swego mieszkania, kojarzyłem sobie, że widziane przed paroma minutami dziewczyny, widziałem w kościele, siedzące przede mną w ławce podczas mszy świętej, w drugim dniu po przyjeździe do Oleszyc.

Następnego dnia, Szymański przyszedł do mnie na składnicę z ponownym zaproszeniem do jego kwatery. Odmówiłem, uzasadniając ucieczkę dziewczyn przede mną. Na to przekonywał on, że

to nie ze względu na moją osobę, ale dlatego, że są to młode dziewczęta, jeszcze nieśmiałe, nie wiedziały jak z obcym rozmawiać, że teraz na pewno będzie przyjemniej. I znów poszedłem. Rozmawialiśmy obaj w kuchni do czasu, gdy z pokoju weszła wysoka, szczuplutka dziewczyna i zwracając się w moim kierunku powiedziała coś przyjemnego z miłym uśmiechem na twarzy. Przy uścisku ręki odwzajemniłem się. W trakcie rozmowy poznaliśmy swoje imiona: Helena, Tadeusz, Nikodem. Nasza rozmowa nie trwała dłużej niż pół godziny. Pożegnałem się i wyszedłem.

W następnym dniu, po raz trzeci z kolei, Szymański przyszedł do mnie z zaproszeniem. Na to powiedziałem, że dziewczyna, która tam mieszka jest zbyt szczupła, aby mogła się podobać i dlatego nie pójdę. Nie zgodził się on ze mną i przekonywał, że nie mam racji, bo taka sylwetka jest jak najbardziej prawidłowa. Wytoczył też szereg innych zalet i tak mnie namówił. Poszedłem znów. Rozmowa we troje nie trwała długo i Szymański wyszedł. Wtedy Helena zaprosiła mnie do pokoju. Opowiadała o swoim życiu. O szkole w Oleszycach z bardzo lubianą nauczycielką Koziarską, o koleżankach Hanką Iwanicką i Marysią Bogusz. Mówiła też o uczęszczaniu do Prywatnego Żeńskiego Gimnazjum Krawieckiego w Przemyślu, gdzie w roku 1939 ukończyła drugą klasę (zachowała się legitymacja szkolna). W pewnej chwili przerwała opowiadanie i wyszła z pokoju. Podeszedłem wtedy przed wiszący na ścianie jej nieduży portret i patrzyłem przez dłuższą chwilę i to była ta chwila, w której odczułem wewnętrznie, że ona mi się podoba. Od tego dnia (był miesiąc luty 1942 rok), Szymański nie przychodził mnie zapraszać. Przychodziłem do Helenki często. Poznałem jej mamę Marię, z którą mieszkała w połowie własnego domu.

Jej mama pochodziła z rodziny niemieckiej Hass. Miała siostrę Zofię zamężną Matyjaszek, która mieszkała z rodziną w Oleszycach. Ojciec Helenki Jan Żeniuch, zmarł w 1932 roku. Był on specjalistą od wyrobu i wypalania cegły. Pracował w tym zawodzie u księcia Sapiehy. Posiadał kilka mórg ziemi, dom pobudowany z bali, pokryty blachą, budynek z pomieszczeniem dla konia, krowy i drobiu oraz stodołę a przy zagrodzie niewielki sad i łączkę. Podczas pierwszej wojny światowej, został wcielony do armii austriackiej. Zabranym do niewoli rosyjskiej, był głodzony jak wszyscy jeńcy i wskutek tego, stracił tam zdrowie. Miał dwie siostry Annę i Marię oraz trzech braci Franciszka, Leona i Michała. Wszyscy oni wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych.

Helenka miała starszą siostrę Zofię, która mieszkała w drugiej połowie domu z mężem Leonem Kościelińskim i synami Janem, Marianem i Stanisławem. Helenka miała też starszego od siebie brata Franciszka, który mieszkał we Francji i tam się ożenił z lubiącą się bawić, Ireną Melnykówną z Oleszyc.

Gospodarstwo pozostałe po zmarłym ojcu Helenki, prowadził Leon Kościeliński, ale w okresie prac polowych, na polu wspólnie pracowały obie rodziny. Z uzyskanych plonów ziemi, korzystały w miarę potrzeb obie rodziny. Od wiosny do jesieni, krowę pasł pastuch, razem z innymi krowami mieszkańców Oleszyc. Pastwiskiem były rozległe błonia, nazywane kaliłami.

Opisane powyżej wiadomości, opowiadała mi Helenka podczas naszych spotkań zarówno przy stole jak i na spacerach. W mieszkaniu niejednokrotnie wieczór spędzaliśmy razem z jej mamą. Obie kochały się bardzo i ta atmosfera wzajemnej miłości w tym domu, szczególnie na mnie oddziaływała. Mieszkając u różnych ludzi i w różnych warunkach, zawsze brakowało tego ciepła rodzinnego, tej serdeczności, które tu znalazłem. W innym otoczeniu, mimo przyjaźni i życzliwości, jednak nieraz wyczuwało się obcość. Tutaj była szczerłość. Helenka opowiadała o swoich przeżyciach i o warunkach, w jakich obecnie znajdują się obie rodziny. Mówiła, że do gimnazjum, mogła uczęszczać tylko dzięki swej ciotce Marii, która przysyłała z Ameryki pieniądze na opłacenie czesnego, 20 złotych miesięcznie. Do szkoły w Przemyślu dojeżdżała pociągiem z Nizankowic, gdzie mieszkała u grekokatolickiego księdza Melnyka. Opowiadała też o swoim chłopcu Romku, który jako oficer rezerwy, został zmobilizowany do wojska przed wybuchem wojny. Należy tutaj dodać, że w 1943 roku, Helenka otrzymała z Francji od Romka list, który pozostał bez odpowiedzi. Mówiła też Helenka o aktualnie przeżywanym trudnym warunkach życiowych z powodu niedostatków żywnościowych, a szczególnie o braku chleba, o który wołał, siedząc na progu domu, Stasiu najmłodszy synek siostry. Ze swej strony później, otrzymywaną na kartki żywnościowe mąkę, zamiast chleba, przekazywałem im przez żydowskiego posłańca. Przyznawała też Helenka nieraz, że podobał się jej mój, jak to nazywała aksamitny głos.

Podczas przerw w pracy na posiłek, robotnicy żydowscy opowiadali o różnych szykanach, jakich, Żydzi doznawali ze strony przedstawicieli okupacyjnej władzy. Jednemu z tych robotników, który wyróżniał się pracowitością, posiłki przynosiła młoda, bardzo ładna, jego siostra. Aby oszczędzić tej dziewczynie przykrości, napisałem w języku niemieckim i opieczętowałem pieczętą firmę, zaświadczenie, o zatrudnieniu jej w charakterze sprzątaczk. Pokój zawsze był sprzątnięty. Raz przechodząc ulicą widziałem, że myła okna, mimo, że wydając jej bratu zaświadczenie oznajmiłem, że zrobiłem to, bez wymagania pracy.

Nie mieszkałem jednak w tym pokoju długo. Jednego dnia po powrocie z pracy, zastałem ten pokój zajęty przez umundurowanych Niemców. Moja walizka była przeniesiona do sypialni gospodarzy (w innym pokoju, mieszkała z dzieckiem żona oficera sowieckiego). Na domiar złego, w parę dni później, przed północą, przyjechał do mnie pan Rozenkiewicz (ten, który przejął od mnie składnicę w Ostrowcu Świętokrzyskim) i musieliśmy spać w jednym łóżku. Następnego dnia, napisał on dla mnie upoważnienie do sprzedaży pozostałego drewna na składnicy Tarnogród. Cenę, za jaką miałem sprzedać jeden metr sześcienny, podał mi ustnie. W kolejnym dniu udałem się do Tarnogrodu drogą przez Dzików. Wybrałem tę drogę, aby przy okazji odwiedzić Helenkę, która przebywała w leśniczówce u zaprzyjaźnionej rodziny leśniczego Montasiewicza. Na spotkaniu umówiliśmy godzinę, o której będę telefonował na pocztę w Dzikowie, abyśmy mogli ze sobą rozmawiać, w dniach mego pobytu w Tarnogrodzie. Zgodnie z umową, Helenka przychodziła codziennie na pocztę i rozmawialiśmy przez telefon do woli. Potem ona wróciła do Oleszyc, a ja jeszcze zostałem w Tarnogrodzie.

Znaleźć nabywcę na około sto metrów sześciennych drewna, nie było łatwo. Dopiero po kilku dniach poszukiwania, znalazł się taki kupiec w Biłgoraju. W wyniku negocjacji, udało mi się uzyskać cenę wyższą, niż podaną przez Rozenkiewicza. Po dokonanych pomiarze wszystkiego drewna, udałem się do nabywcy i tam transakcja została sfinalizowana. W spisanej akcie kupna - sprzedaży, wartość drewna została ustalona według ceny podanej przez Rozenkiewicza, natomiast gotówkę otrzymałem zgodnie z ceną uzgodnioną.

Z Biłgoraja do Zwierzyńca przyjechałem kolejką wąskotorową, a dalej pociągiem do Rawy Ruskiej. Nastął już wieczór i o tej porze na poczekalni stacji kolejowej obowiązywał zakaz przebywania, a pociąg w kierunku Oleszyc odjeżdżał dopiero rano. Hotelu w mieście nie było. Podobną sytuację, miałem już kiedyś, ale było to latem. Znalazłem wtedy otwartą stodołę i tam noc przespałem. Tym razem na dworze było zimno. W obecnej sytuacji zdecydowałem do Oleszyc iść pieszo przy torach kolejowych. Podawaną na biletach kolejowych odległość 51 kilometrów, trzeba było jeszcze dla bezpieczeństwa wydłużyć, przez omijanie pięciu stacji znajdujących się na tej trasie. W ostatnim odcinku drogi liczącym od Lubaczowa siedem kilometrów, musiałem kilka razy odpoczywać. Do Oleszyc dotarłem rano.

Korzystanie z sypialni gospodarzy, trwało niedługo. Bliski sąsiad nazwiskiem Michalski, zaproponował mi mieszkanie w nieuczęszczanym dużym przedpokoju w jego domu z wejściem od frontu. Po obejrzeniu, chętnie się tam przenieśliśmy. Ponadto mogłem tam korzystać z wyżywienia, co w okresie braku żywności w mieście, było dla mnie bardzo istotne. Mój gospodarz, uważany był za najbogatszego rolnika w mieście. Rodzina jego składała się z czterech osób: małżeństwo z kilku letnim synkiem i ojcem gospodarza. Jednej nocy, nad ranem, zbudziło mnie głośnie otwieranie drzwi, gdy do zajmowanego przeze mnie przedpokoju, weszła Zofia, siostra Helenki, i z płaczem zawołała, - Helę zabrali Niemcy. Wiadomość ta poraziła mnie i wywołała gwałtowny atak febry do tego stopnia, że nie mogłem wypowiedzieć słowa, a ona dodała, - wszystkich zabranych zawieźli do ratusza. Poszedłem tam niezwłocznie i zobaczyłem Helenkę stojącą w oknie na piętrze budynku.

Co zrobić, aby ratować Helenkę w tej tragicznej sytuacji? To były jedyne myśli, które nieustannie drażyły umysł. Poszedłem niezwłocznie do zastępcy burmistrza w Oleszycach, Preislera, Niemca stale mieszkającego w Polsce, z prośbą o uratowanie Helenki przed wywozem do Niemiec. Obiecał pomóc, ale nie powiedział, że ona tam nie pojedzie.

Zgromadzona w nocnej łapance młodzież, zarówno z miasta jak i z okolicznych wiosek, została wywieziona po południu z ratusza do Lubaczowa. Tam w miejscowej szkole, utworzono punkt zborny złapanej młodzieży. Udałem się tam niezwłocznie. Dzięki uprzejmości strażnika

pilnującego wejścia na salę pełną złapanej młodzieży, wszedłem tam i znalazłem siedzącą na podłodze bledziutką Helenkę. Żaliła się, że na salę wpada często z pejczem szatan w mundurze i z krzykiem zaprowadza „porządek”, licząc każdorazowo obecnych. To było pełne bóleści spotkanie. Wyszedłem zdruzgotany. Co robić, aby uratować? I nagle błysk! Lekarz! Tak! Tylko lekarz! Niezwłocznie wszcząłem poszukiwania i znalazłem szyld z napisami w języku ukraińskim i polskim na domu w rynku miasta. Od razu tam wszedłem. Lekarz był sam. Przedstawiłem mu swoją gorącą prośbę. Odpowiedział, że to niemożliwe, po czym wstał, wyszedł na ulicę i ruszył szybkim krokiem przed siebie. Ja poszedłem jego śladem o kilkanaście kroków za nim. Okrążył dookoła rynek i z powrotem wszedł do swego gabinetu. Zaraz wszedłem i położyłem banknot na biurku z prośbą w głosie, - panie doktorze, pan musi mi to załatwić! On wsunął banknot do szuflady biurka i zapytał, - kiedy wyjeżdżają? Odpowiedziałem, - jutro. Następnie zapytał, - czy narzeczona pali papierosy? Odpowiedziałem, - nie pali. Wtedy powiedział, - proszę dać jej papierosa, aby rano wypaliła. Nie wolno jej wstać na żaden apel czy rozkaz, ja tam jutro będę. Od lekarza poszedłem szybko do szkoły i tam ponownie wpuszczono mnie na salę zborną. Wszystko, co od lekarza usłyszałem, przekazałem wraz z papierosem i zapalkami Helence, wyrażając przy tym niezachwianą nadzieję, że jutro, szczęśliwi, opuścimy tę szkołę.

Rano, w dniu wyjazdu do Niemiec złapanej młodzieży, czekając w korytarzu szkoły w Lubaczowie, zobaczyłem ślaniającą się Helenkę prowadzoną przez lekarza, w kierunku „szatana w mundurze” rozmawiającego z zastępcą burmistrza Preislerem. Gdy spotkali się, lekarz wszczął rozmowę z „szatanem”, a Preisler położył swoją rękę na pulsie ręki Helenki i z politowaniem kiwał głową. Rozmowa lekarza z „szatanem” trwała krótko. Ten drugi nerwowo machnął ręką i odszedł. Lekarz pożegnał się z Helenką i ze mną i również odszedł. Tylko na chwilę, zostaliśmy szczęśliwi we dwoje. Naszą wielką radość, dzieliła także z nami, siostra Helenki, Zofia. Miała ona ze sobą bochenek chleba dla Helenki na drogę do Niemiec. Chleb ten na moją prośbę, upiekła gospodyni Michalska, u której mieszkałem. Moja prośba wynikała z prośby matki Helenki, zawsze troszczącej się o swoją córkę, całym sercem. Pełni szczęścia opuszczaliśmy Lubaczów we dwoje. Był piękny słoneczny dzień. Szliśmy wolno, spacerem. Siedzieliśmy też na skarpie rowu przydrożnego, ciesząc się, że minęło makabryczne przeżycie, że znów możemy być razem. Gdy przyszedliśmy do domu, mama witała swoją córkę, płacząc ze szczęścia, a wszystkie dzieci siostry Zofii, raczyły się na podwórku dawno niewidzianym chlebem.

Po szczęśliwym powrocie Helenki, przeżyty koszmar, powoli zacierał się w pamięci. Poszerzył się też krąg życzliwych znajomych, którzy w Oleszycach, bogatych w drewno, znajdowali źródło dochodu. Byli to Grabarczykowie, Janiczek i Kostański, którzy podobnie jak Szymański, dołączali nieraz do nas na spacerze. Zachowało się też zdjęcie z takiego spotkania.

Na składnicy drewna poznałem starszego wiekiem Pogodę, wysiedlonego z Wielkopolski, który był właścicielem dużej, tak mówił, cegielni. Oglądał też cegielnię księcia Sapięhy i powziął zamiar obiekt ten uruchomić. Poprosił mnie, aby w tej sprawie, pojechać z nim do władz dystryktu we Lwowie i pojechaliśmy. Urzędnik w tym urzędzie przyjął nas życzliwie, ale postawił warunki, których nie mógł przyjąć zmartwiony Pogoda.

Jednego dnia przed południem stałem na peronie stacji kolejowej w Oleszycach. W tym czasie, od strony Jarosławia nadszedł pociąg z krytymi wagonami towarowymi. Na schodach niektórych wagonów, stali Niemcy w mundurach i w hełmach z pistoletami maszynowymi w ręku. W chwili wjazdu tego pociągu w obręb stacji, rozszedł się w powietrzu straszliwy fetor. Z okienek dochodziły krzyki więzionych ludzi. Wkrótce, też zostali wywiezieni Żydzi z Oleszyc. Tuż przed wywiezieniem, swoją rozpacz wylewała przy mnie Żydówka, żona krawca, który szył mi ubrania. Widoki te, to jeszcze jeden przyczynek do narastania zgrozy, jaka nam Polakom, towarzyszyła od początku okupacji.

Z upływem czasu, wzmagala się ciągła obawa przed łapanką i wywiezieniem Helenki do Niemiec, bo ta zbrodnia, była przez okupanta kontynuowana. Z tego powodu, Helenka ponownie wyjechała do leśniczówki w Dzikowie. Pojechałem tam w odwiedziny i zostałem na noc. Spaliśmy w jednym pokoju, w którym spały również wszystkie dzieci Montasiewicza. Na kolację najadły się razowego chleba i tak jedno po drugim głośno smrodziło, że nie można było spać. Następną noc



przespałem w stodole. Warto tu nadmienić, że w małżeństwie Montasiewiczów, urodziło się siedmioro synów. Chrzesnym ojcem siódmego syna był prezydent Mościcki. Obdarował on swojego chrześniaka książeczką PKO ze stu złotowym wkładem.

Nadeszła jesień 1942 roku. Pewnego dnia przyjechał do Oleszyc Rozenkiewicz i powiadomił mnie, że mam zgłosić się do Matowskiego zamieszkałego w Skierniewicach przy ulicy Lipowej 3 i tam otrzymam dyspozycje odnośnie dalszej pracy. To była dla mnie niespodziewana, bardzo przykra wiadomość. Miałem rozstać się z Helenką! Jediną pociechą w tej przykrew sytuacji, było wspomnienie poznania miłego Matowskiego w Solcu nad Wisłą, kiedy to przepowiedział dzień wybuchu wojny między Niemcami i Związkiem Radzieckim. Trzeba było jednak z Oleszyc wyjechać, nie było innego wyjścia. Spakowałem wszystko, co posiadałem i idąc do pociągu, po drodze wstąpiłem pożegnać się z Helenką i jej rodziną. Oprócz życzeń od wszystkich szczęśliwej podróży, usłyszałem również słowa mamy Helenki, – żeby pan o nas nie zapomniał.

Przez Jarosław i Przeworsk, dojechałem do Rozwadowa, gdzie miałem przesiadkę. Czekałem tu długo. Pociąg podstawiono późno w nocy. Czekający w poczekalni podróżni, ruszyli pędem do drzwi, aby wejść do wagonu jak najbliżej parowozu, najlepiej ogrzewanego. Ja, kosz z ubraniami oddałem do przewozu, jako bagaż, ale obie ręce miałem jeszcze zajęte. Spóźniony, wsiadłem dopiero do trzeciego wagonu za parowozem. Była noc, jechałem drzemiąc. Nagle huk i silny wstrząs. Pociąg gwałtownie stanął tak, że uderzyłem głową siedzącego naprzeciw mnie pasażera. Od razu, z za okna słyhać było wołania o ratunek, krzyki i jęki ludzi z dwóch pierwszych od parowozu rozbitych wagonów. Okropny, przerażający to był widok. W tej strasznej tragedii, nade wszystko wznosiłem do Boga dziękczynienie za szczęśliwe ocalenie. Katastrofa ta wydarzyła się na małej stacji przed Ostrowcem Świętokrzyskim. Przyczyną było najechanie parowozu pociągu, w którym jechałem, na ostatni wagon stojący na torze głównym, niewciągnięty przez pociąg stojący na bocznicu.

Z miejsca katastrofy odjechałem pociągiem podstawionym od strony Ostrowca Świętokrzyskiego. Mój kosz nadany na bagaż w Rozwadowie odebrałem na stacji w Koluszkach. Przy odbiorze stwierdziłem kradzież garnituru uszytego przez krawca Żyda w Oleszycach. Ze Skierniewic wysłałem niezwłocznie do Helenki telegram z wyrazami podziękowania Opatrzności Bożej za ocalenie w katastrofie kolejowej.

Spotkanie z Matowskim w jego biurze, przebiegało w przyjemnej atmosferze. Odtąd pracę przy kopalniakach miałem prowadzić na składnicy przy stacji kolejowej w Skierniewicach. Otrzymałem odpowiednie dokumenty i od następnego dnia przystąpiłem do prac organizacyjnych, poczynając od angażowania robotników. Po kilku dniach zamieszkiwania w hotelu przeniosłem się do mieszkania kolejarza Kaniewskiego przy ulicy Bielańskiej, którą od składnicy z kopalniakami oddzielał chodnik i jezdnia. Pokój dzieliłem z małżeństwem gospodarzy, życzliwych, prostych, dobrych ludzi.

Nawet częsta wymiana listów z Helenką, zupełnie mi nie wystarczała. Dlatego za wiedzą i zgodą Matowskiego, dość często wyjeżdżałem do Oleszyc. Były to piękne spotkania, ale na krótko, bo zgoda na wyjazd zawsze określona była w ograniczonym czasie. Ze Skierniewic do Oleszyc jeździłem różnymi drogami, raz przez Warszawę, Lublin i Rozwadow, innym razem z Lublina przez Rejowiec i Bełzec, bywało też, że droga prowadziła i przez Kielce, Kraków, Tarnów i Rzeszów. Podobnie było i z trasami przejazdów powrotnych. Zawsze jednak trzeba było czekać, nieraz godzinami na połączenia. Oczekiwanie na stacjach, w różnych warunkach i porach dnia i nocy, spowodowały u mnie sięgnięcie po papierosa. I to przeszło w nałóg. Palilem nawet ponad 20 papierosów dziennie.

Współpraca z Matowskim układała się znakomicie. Bywałem w jego biurze dość często. Za każdym razem słuchaliśmy przez radio wiadomości w języku polskim z Londynu. Jeśli w międzyczasie usłyszał ciekawe wiadomości z tego radia, zawsze o tym mi opowiadał. Zdarzyło się raz, że będąc w Warszawie u znajomych, nie zdążyłem przybyć na spotkanie z Matowskim o umówionej godzinie. Spóźniłem się znacznie. Wtedy usłyszałem delikatnie wypowiedzianą wymówkę i...za karę, zaproszenie do restauracji.

Przyjemne stosunki z szefem nie zagłuszały we mnie stałej obawy o bezpieczeństwo Helenki. Przecież każdej chwili mogli przyjść i zabrać ją, jak to było tak niedawno. Aby zabezpieczyć przed



takim nieszczęściem, zdecydowałem pojechać i przywieźć Helenkę do Skierniewic. Zamówiłem mieszkanie z używalnością kuchni u gospodyni Malinowskiej w domu sąsiadującym z domem, w którym ja mieszkałem. Mając zgodę na przerwę w pracy, pojechałem do Oleszyc zabrać Helenkę.

Nie było sprzeciwu. Wszyscy najbliżsi odczuwali ten sam lęk o Helenkę, co ja odczuwałem od dnia wyjazdu z Oleszyc. Aby ubezpieczyć Helenkę na podróż, poprosiłem lekarza Zelnyka w Oleszycach o skierowanie chorej do szpitala w Warszawie. Skierowanie takie lekarz napisał. Do Skierniewic przyjechaliśmy szczęśliwie. Helenka zamieszkała w zamówionym mieszkaniu u gospodyni, która mieszkała z córką, nieco młodszą od Helenki. Zakupiłem trudno dostępne mięso i inne artykuły żywnościowe i spokojny już, kontynuowałem swoją pracę na składnicy.

Nie trwało to jednak długo. I znów rozstanie! Wezwany przez Matowskiego, otrzymałem przeniesienie do Sochaczewa. Tam zakres mojej pracy poszerzył się, bo oprócz normalnych zajęć przy przerzynce i załadunku kopalniaków na wagony, do moich obowiązków należało również organizowanie dowozu dłużyce do składnicy. Dłużyce te składano w Puszczy Kampinoskiej, na składnicy przy stacji kolejki wąskotorowej w miejscowości Piaski. Do załadunku tego drewna na wagony, dojeżdżali robotnicy zatrudnieni na składnicy w Sochaczewie. Ponieważ hitlerowska zaborczość wchłonęła Puszczę Kampinoską do Rzeszy Niemieckiej, przejazd w obie strony odbywał się przez granicę państwową. W związku z tym poprosiłem Matowskiego o załatwienie dla mnie paszportu, który wkrótce otrzymałem. Okazał się on jednak zbędny, bo przejazd jednego dnia w obie strony, odbywał się na podstawie wykazu osób, które każdorazowo sporządzał zawiadowca stacji kolejowej w Sochaczewie. Po przyjeździe do tego miasta, zamieszkałem u emerytowanego kolejarza Pakulskiego. Jego rodzina składała się z trzech osób: małżeństwo i córeczka w wieku 10 lat. Ja pokój dzieliłem z drugim lokatorem, pracownikiem umysłowym. Wszyscy mieszkańcy byli kulturalni, sympatyczni i niezwykle życzliwi. Podobne określenia można odnieść również do młodej nauczycielki, nazywanej panną, Lusią, która w mieszkaniu uczyła córeczkę gospodarzy.

W każdą niedzielę wyjeżdżałem bardzo wcześnie rano pociągiem do Skierniewic (z przesiadką w Łowiczu), aby odwiedzić Helenkę. Nasz świąteczny dzień rozpoczynaliśmy od uczestnictwa we mszy świętej, w miejscowym kościele. Podczas pobytu w Niedzielę Palmową, Helenka wyraziła życzenie wyjazdu do Oleszyc na Święta Wielkanocne. Oczywiście wyjechaliśmy. W Warszawie trzeba było czekać wiele godzin do odjazdu następnego pociągu. Złożyliśmy, więc bagaże w hotelu Polonia. Wkrótce po wejściu do pokoju, Helenka powiedziała, – chodźmy stąd, bo ja źle tu się czuję i zaraz wyszliśmy. Dzień zszedł na spacerze po ulicach Warszawy i odwiedzaniu kościołów. Odjazd z Warszawy nastąpił dopiero wieczorem. Po całonocnej jeździe i przesiadce w Rawie Ruskiej, szczęśliwie znaleźliśmy się w Oleszycach, gdzie serdecznie witała nas cała rodzina Helenki. Pobyt wśród swoich, wpłynął na decyzję Helenki nie wracać już do Skierniewic i pozostać z mamą na miejscu.

Jeszcze przed wyjazdem na święta, złożyłem w urzędzie miasta Sochaczewa podanie o przydział mieszkania. Kilkakrotne monitorowanie w tej sprawie u kierownika wydziału kwaterunkowego, nie odnosiło skutku. Zawsze była ta sama odpowiedź, – brak wolnego lokalu. W tej sytuacji, posłużyłem się poznanym w Tarnogrodzie i zaprzyjaźnionym Tadeuszem Magochem, który odwiedzał mnie często, przy okazji pobytu w Warszawie. Opowiedziałem mu o swoich daremnych staraniach i prosząc o załatwienie sprawy, podałem w kopercie pieniądze dla decydenta. Załatwił od ręki. Przyniósł mi decyzję o przydziale mieszkania składającego się z pokoju i kuchni na parterze domu przy ulicy Towarowej nr 6, tuż przy dworcu kolejowym. Właściciel tego domu z nazwiskiem Osiał, został pozbawiony prawa do jego własności, o czym nie omieszkał mnie poinformować.

Mieszkanie to wymagało gruntownego remontu oraz wstawienia mebli. Remont za umówioną cenę, wykonali robotnicy zatrudnieni na składnicy przy kopalniakach. Łóżko, szafę, stół i krzesła, wykonał stolarz z drewna, nienadającego się do wyrobu stojaków. Po urządzeniu otrzymanego mieszkania i pożegnaniu się z zawsze mile wspomnianymi gospodarzami Pakulskimi, przeprowadziłem się do nowych warunków bytowania. Aby w osamotnieniu częściej kierować myśli ku Bogu i polecać się opiece Niepokalanej Matce Najświętszej, zawiesiłem w pokoju na ścianie, kolorowy obrazek w

owalnej ramce pozłacanej, przedstawiający Matkę Najświętszą ze stopami na księżycu, otoczonej aniołkami. Odtąd, czczony ten obrazek, zawsze wisi w pokoju na ścianie, na poczesnym miejscu.

Korzystając z otrzymanego paszportu, pojechałem odwiedzić rodziców, którzy po wysiedleniu, mieszkali w domu sąsiadów. Było to wieczorem. Przez otwarte drzwi, wszedłem do izby zajmowanej przez rodziców i powiedziałem, – niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Mama klęczała wtedy odwrócona tyłem do drzwi wejściowych i odmawiała pacierz. Przy powitaniu powiedziała, że słysząc mój głos, cała zdrętwiała z wrażenia. Ojciec również był bardzo wzruszony. Opowiadania przeciągnęły się do późnej nocy i tak było w następnych dniach mojego pobytu. Odwiedziłem też Tolka w Poznaniu. Nam tematów do opowiadania również nie brakowało. Między innymi atrakcjami w mieście, byliśmy też w wesołym miasteczku na przejażdżce górską kolejką. W drodze powrotnej z Poznania, wstąpiłem w Toruniu do siostry kuzynki Komoszyńskiej, mieszkającej w Garwolinie, która za pośrednictwem Adasia, prosiła mnie o pomoc tej siostrze przy nielegalnym przekraczaniu granicy. W umówionym dniu dojechaliśmy pociągiem do Kutna, ale tam na widok wielu uzbrojonych funkcjonariuszy niemieckich w obrębie stacji, siostra Komoszyńskiej z realizacji zamiaru, zrezygnowała.

Kontakty z Helenką, po samotnym powrocie z Oleszyc po świętach wielkanocnych, ograniczały się do wymiany listów, które wysyłałem, co najmniej raz w tygodniu, a codziennie oczekiwałem z nadzieją otrzymania listu od niej. Praca na składnicy przy kopalniakach toczyła się w żółwym tempie. Z myślą, aby nie pomagać okupantowi w rabowaniu Puszczy Kampinoskiej, chętnie udzielałem robotnikom zwolnień. Nie rzadko zdarzały się dni, że spotykałem się z robotnikami tylko rano. Wtedy, oni wykorzystywali resztę dnia dla swoich celów, a ja plażowałem się nad Bzurą.

Na comiesięcznych naradach odbywających się w biurze Matowskiego z udziałem pracowników prowadzących pracę na różnych składnicach, składaliśmy sprawozdania z przebiegu pracy w minionym miesiącu. Między innymi podawaliśmy ilość wagonów wysyłanych z drewnem do kopalń. Informacje kolegów z innych składnic były zawsze podobne: od 13 do 16. Ja podawałem 4 do 6. Tak duże rozbieżności, Matowski tłumaczył trudnymi warunkami, w jakich ja pracuje. Nie trwało to jednak długo. Po jednej takiej naradzie, Matowski zatrzymał mnie i powiedział, – niech pan zmieni nazwisko, bo mam polecenie oskarżyć pana w gestapo (niemiecka tajna policja) o sabotaż. Odpowiedziałem, że mnie tak bardzo na zatrudnieniu nie zależy. Potrzebuję jednak posiadać dowód stwierdzający moje zatrudnienie. Na to, Matowski polecił mi doręczyć mu odpowiednie moje zdjęcie. Otrzymał je niezwłocznie. Już po kilku dniach otrzymałem dokument (Arbeitsausweis) z fotografią wystawiony przez urząd dystryktu stwierdzający zatrudnienie od 5 lutego 1941 roku. Nadchodzące dwa święta Zielonych Świąt, to była dobra okazja, aby odwiedzić Helenkę w Oleszycach. Podróż z przesiadkami w Warszawie i Krakowie, trwała przez całą noc. W Jarosławiu wysiadłem z pociągu wcześniej rano, a pociąg w kierunku Oleszyc odjeżdżał dopiero późnym popołudniem. Usiadłem, więc w poczekalni przy stole i czytałem książkę. Wkrótce potem, podeszło dwóch Niemców w mundurach i jeden cywil z wezwaniem po niemiecku ręce do góry i natychmiast zrewidowali kieszenie i walizkę. Następnie cywil polecił zabrać walizkę i poprowadził mnie ulicą do innego budynku, gdzie w biurze rozkazał opróżnić kieszenie (u spodni, w kieszonce na zegarek, świadomie pozostawiłem dwie złote obrączki i pierścionek). Potem korytarzem zaprowadził mnie do drzwi, otworzył je i wskazał, abym wszedł. Za mną drzwi zamknął kluczem. Cela była pusta.

Po niedługim czasie, drzwi się otworzyły i wszedł aresztowany, drugi po mnie mężczyzna. W różnych odstępach czasu, zamykani byli kolejni mężczyźni zarówno Polacy jak i Ukraińcy. Do godzin popołudniowych, było nas w celi sześciu. Każdy opowiadał o okolicznościach, w jakich został aresztowany. Najbardziej przygnębiające wrażenie wywarło opowiadanie mężczyzny, którego aresztowano na ulicy idącego w towarzystwie żony. Rodził się domysł, że jest to łapanka każdego spotkanego mężczyznę, jako zakładnika do rozstrzelania za akt sabotażu, wymierzony przeciwko okupantowi. Takie przypuszczenie, spowodowało u nas więzionych wielkie przygnębienie oraz wzajemne utrwalanie w pamięci adresów zamieszkania współwięźniów, aby ocalony mógł powiadomić rodzinę w przypadku przewidywanej tragedii.

Po południu otworzyły się drzwi i kobieta zapytała, czy ktoś życzy kupić sobie obiad. Ja jeden poprosiłem, aby mi przyniosła. Oczywiście w tej sytuacji apetytu do jedzenia absolutnie nie

miałem, ale siedząc tam, brałem pod uwagę różne możliwości. Liczyłem, że jeśli nie rozstrzelanie, jako zakładnika, to może być wywiezienie do obozu i dlatego, choć obiadem chciałem siły wzmocnić. Późnym popołudniem, przez otwarte drzwi, został wywołany nazwiskiem jeden z aresztowanych i wyszedł. Tak w odstępach czasu było z następnymi więźniami, a ja znów w celi zostałem sam. Siedząc w celi samotnie, doszedłem do wniosku, że wywoływanie tylko jednego uwięzionego, nie może być akcją w odniesieniu do grupy osób. Liczyłem, że będzie jeszcze rozmowa. Muszę, więc zachować się z godnością i rozmówcę, czy rozmówców traktować z myślą, że aresztowanie mnie, odbyło się z nakazu i wykonali swój obowiązek.

Aż wreszcie otworzyły się drzwi i usłyszałem swoje nazwisko. Z prowadzącym mnie cywilem, który był przy moim aresztowaniu, wyszedłem na ulicę i tu powiedział mi po polsku, – jak pan będzie dobrze się tłumaczył, to zwolnią. Weszliśmy do innego budynku na piętro. Prowadzący mnie, otworzył drzwi i wskazał abym wszedł. Na sali, przy wzdłuż zestawionych kilku stołach, siedzieli umundurowani Niemcy. Na stole zobaczyłem otwartą swoją walizkę, a jej zawartość rozrzuconą na wszystkich stołach. Oficer wskazał mi wolne miejsce przy stole i zaczęło się przesłuchanie. Pierwsze pytanie zadał mi oficer, – skąd mam tyle pieniędzy? Odpowiedziałem, że pieniądze te nie są moje. Wiozę je na wypłatę robotników zatrudnionych na składnicy w Oleszycach przy przerzynce i załadunku kopalniaków na wagony. Kto to może potwierdzić?- padło następne pytanie. Odpowiedziałem, – burmistrz miasta Oleszyc, Preisler jest to jego nazwisko. Następne pytania od pozostałych Niemców, padały szybko, chaotycznie, często od dwóch naraz. Oto niektóre pytania pozostałe w pamięci: - po co wozę aparat fotograficzny i jakie zdjęcia znajdują się na kliszy? Dlaczego wozę i piję bimber? Odpowiedziałem, zwrócony do oficera, – aparat wozę i fotografuję dziewczyny, które mi się podobają; na kliszy, – podałem dokładnie, co fotografowałem,- samogonu nie piję, w butelce jest woda z sokiem. Ponieważ jednak wahał i twierdził, że jest to bimber, powiedziałem mu, żeby się napił, ale nie zrobił tego. Wtedy dopiero butelkę odstawił. Gdy nastąpiła przerwa w stawianiu mi pytań, oficer patrząc w moim kierunku powiedział, – ab. Wtedy wstałem skłoniłem się i szybko zbierałem wszystko, co mojego leżało na stołach. Wychodząc skłoniłem się ponownie, a za drzwiami, po schodach biegłem już szybko, bo odzyskany zegarek wskazywał, że pozostało już bardzo niewiele czasu do odjazdu pociągu. Na ulicy nabierałem coraz to większej szybkości. Po drodze spotkałem jeszcze towarzysza niedoli poznanego w celi, ale nie było czasu na rozmowę. Do pociągu, wskoczyłem dosłownie w ostatniej chwili.

Na podwórku spotkałem Helenkę, która nieuprzedzona o moim przyjeździe, zaskoczona powiedziała, – przyjechałeś? Odpowiedź nie wymagała słów. Na to było dużo czasu później, a temat uwięzienia i uwolnienia, jeszcze długo do rozmów wracał. Po takim zajściu, jakie przeżyłem w Jarosławiu nieśpiesznie było mi wracać do Sochaczewa.

Pozostałem w Oleszycach i tu spotkałem kolegę Tadeusza Magocha z Tarnogrodu. Przypadkowo spotkałem też poznanego dawniej w Oleszycach przedstawiciela firmy prowadzącej handel drewnem w Zwierzyńcu. Powiedział mi on, że otrzymał polecenie sprzedaży dębowego drewna w dłużycach, które znajduje się na placu przy stacji kolejowej w Oleszycach, ale nie może znaleźć nabywcy. Ja na to, bez zastanowienia i nie znając ceny, powiedziałem, – może ja bym to kupił? On od razu to podchwycił i podał mi cenę metra sześciennego. Cena ta była niższa od ceny uzyskanej za dłużyce kopalniakowe, które z upoważnienia sprzedałem na składnicy w Majdanie Sieniawskim, koło Tarnogrodu.

To mnie zdopingowało do skorzystania z okazji. Nie miałem jednak pieniędzy na transakcję na taką skalę, bo drewna było ponad sto metrów sześciennych. W tej sytuacji, wspomniałem kolegę Zdzisława Kledzika, naczelnika poczty w Tarnogrodzie. Zaraz poszedłem na pocztę i przez telefon, jemu przedstawiłem sprawę. Na to on zapytał, – ile potrzebujesz? W odpowiedzi podałem potrzebną mi sumę, a on powiedział, – oddaj słuchawkę urzędnikowi na poczcie. Zwróciłem się, więc do urzędującego naczelnika poczty Zalewskiego, informując, że jest proszony do telefonu. Po chwili rozmowy, zwrócił się on do mnie z zapytaniem, – kto jest ten rozmówca? Odpowiedziałem, że jest to naczelnik poczty w Tarnogrodzie. On zaraz połączył się i zażądał potwierdzenia odbytej przed chwilą rozmowy. Potwierdzenie usłyszał i pieniądze otrzymałem. Mając pieniądze, dębinę kupiłem z zachowaniem wymaganych przy takiej transakcji formalności. Kupiłem to drewno wiedząc, że zbyt

będzie zapewniony. Wiadomo mi było, że w niektórych składach drewna w Warszawie, drewno to w tym czasie, chętnie kupowano na paliwo do spalania w samochodach o napędzie gazem drzewnym.

Po dokonanej transakcji kupna, pierwszym zadaniem było zorganizowanie grupy robotników do piłowania dłużyc na jednometrowe odcinki i ich połupanie na szczapy. Chętnych do pracy robotników szybko zwerbowałem z odpowiednimi narzędziami i przygotowywanie drewna do załadunku drewna na wagon, trwało nie dłużej niż kilka dni. Zbytem tego drewna zajął się kolega, Tadeusz Magoch. Najważniejszym jego zadaniem było znalezienie odbiorcy w Warszawie, który dostarczałby listy przewozowe na przewóz drewna wagonami. Otrzymanie listu przewozowego na przewóz ładunku wagonem towarowym, wymagało pokonania wielu formalnych przeszkód. Ponieważ jednak odbiorcy zależało na otrzymaniu przesyłki, on te sprawy załatwiał. Wkrótce wrócił z Warszawy kolega Magoch i przywiózł list przewozowy, który posłużył do zamówienia na stacji wagonu pod załadunek przygotowanego już drewna. Ten list przewozowy dostarczył odbiorca drewna o nazwisku Obst, posiadający skład drewna w Warszawie przy ulicy Siennej. Aby maksymalnie wykorzystać ten dokument, jak również jak najprędzej sprzedać drewno, poproszony dyspozytor na stacji, podstawił pod załadunek największy wagon, jaki znajdował się w składzie pociągu towarowego.

O rąbaniu dłużyc i załadunku szczap na wagony, szybko rozeszła się wieść po okolicy. Niespodziewanie przychodzili do mnie mieszkańcy pobliskich wiosek oferując posiadane drewno na sprzedaż. Oczywiście przywożone drewno dębowe w szczapach, chętnie kupowałem. Byli również chętni dostawcy innych gatunków drewna. Te propozycje skłoniły mnie do wyjazdu do Warszawy, aby zorientować się o możliwość zbytu i cenach, a szczególnie uzyskać od odbiorcy dokument uprawniający mnie do skupu drewna w jego imieniu. Dokument taki wystawił mi wspomniany już odbiorca drewna Obst. Na drewno opałowe iglaste po uzgodnionych cenach, reflektowali właściciele składu drewna przy ulicy Żelaznej, oraz właściciel składu przy ulicy Pańskiej. Upoważnienie do skupu drewna, jakie otrzymałem od Obsta, wkrótce okazało się potrzebne. Jednego dnia, na składnicę drewna przy stacji kolejowej przyszli dwaj funkcjonariusze policji ukraińskiej i postawili mi zarzut płacenia cen paskarskich za skupowane drewno. Na to odpowiedziałem, że drewno kupuję na podstawie posiadanego upoważnienia wystawionego przez zleceniodawcę, który na ten cel daje mi pieniądze. Do niego, więc, należy zwrócić się w tej sprawie. Po przeczytaniu upoważnienia, funkcjonariusze opuścili plac drzewny.

W miarę upływu czasu, coraz mniej drewna przywożono do skupu. Tylko znajomy nadleśniczy, po uzgodnieniu ze mną, dostarczył partię 20 metrów przestrzennych opałowego drewna iglastego. Poza tym przywożono drewno osikowe, które kupowałem nie wiedząc, że na ten gatunek nie będzie zbytu. Poniosłem, więc stratę, bo drewno to pozostało na placu. Pomimo tego, prowadzony handel drewnem w efekcie był dla mnie dochodowy. Wystarczyło na uzupełnienie swojej bielizny i ubrań. Również dla Helenki zamówiliśmy u szewca wykonanie z brązowej skóry butów z usztywnionymi cholewkami do kolan, nazywanymi oficerkami, jakich wtedy w Oleszycach nikt jeszcze nie nosił.

Jak wynika z przedstawionego powyżej opisu prowadzonego handlu, nastąpiła przerwa w ponad dwuletniej mojej pracy przy kopalniakach. Nie znaczyło to jednak, że ustał stosunek służbowy. Formalnie, byłem nadal pracownikiem. Utrzymywałem, bowiem stały kontakt z Matowskim przez regularne nasze spotkania w Warszawie. Byłem niejako w rezerwie, na wypadek zaistnienia pilnej potrzeby włączenia się do pracy przy kopalniakach.

I tak nadszedł przełomowy w moim życiu niezapomniany rok 1944. Postanowiliśmy, bowiem z Helenką, nasze narzeczeństwo zakończyć małżeństwem. Zaczęło się od tradycyjnie przedstawionej prośby o rękę córki. Prośba ta skierowana do mamy Helenki, została przyjęta i zgodę na nasze małżeństwo, mama wyraziła. Przygotowania do mającej nastąpić uroczystości, rozpoczęły się niezwłocznie. W towarzystwie przyjaciół Helenki małżeństwa Boguszów udaliśmy się do księdza proboszcza aby „dać na zapowiedzi”, jak to się popularnie nazywało. W istocie chodziło o bliższe poznanie narzeczonych przez księdza, a w tym wykonywane zawody oraz sprawdzenie znajomości Pisma Świętego i zasad naszej wiary. Po wysłuchaniu przedstawionego w skrócie życiorysu, ksiądz określił mój zawód, jako oficjalista i tak zostało to wpisane do akt. „Egzamin” u księdza proboszcza

wypadł pozytywnie i przez trzy kolejne niedziele, po ogłoszonym w trakcie mszy kazaniu, ksiądz odczytywał „zapowiedź” to jest informacje o mającym nastąpić zawarciu związku małżeńskiego pomiędzy ...i tu padały nasze imiona i nazwiska. „Zapowiedź” kończyła się formułą, – kto by wiedział o istniejących przeszkodach, niech powiadomi władzę duchowną.

Wkrótce po ogłoszeniu ostatniej „zapowiedzi” ustaliliśmy z księdzem proboszczem, że ślub nasz odbędzie się przed głównym ołtarzem, w sobotę 12 lutego 1944 roku po południu. Komunię Świętą przyjęliśmy tego dnia na porannej mszy świętej. Na uroczystość ślubowania, Helenka ubrana była w białą suknię i biały kapelusz z woalką. W rękę trzymała wiązanek kalii przywiezionych z Warszawy przez kolegę Magocha. Ja ubrany byłem w czarny garnitur, do którego Helenka przypięła białą kokardkę. Zachowały się dwa nasze zdjęcia wykonane w pokoju przy słabym oświetleniu. Okryci płaszczami, dojechaliśmy przed kościół saniami zaprzężonymi parą koni.

Podane sobie do odmawiania aktu ślubowania nasze ręce, opasał stulą i dyktował do powtarzania słowa małżeńskiej przysięgi, zaprzyjaźniony z nami ksiądz wikary Mroczkowski, który zakończył słowami, -szczęść Boże młodej parze. Ta skromna, krótko trwająca uroczystość w kościele to najszlachetniejszy owoc, szczerzej, serdeczniej, od dwóch lat goszczącej w naszych sercach miłości. Wracając od ołtarza, otrzymaliśmy od krewnych, przyjaciół oraz od życzliwych znajomych, wiele przyjemnych życzeń.

Po uroczystości w kościele, zaprosiliśmy do sań księdza wikarego na przyjęcie przygotowane w domu Helenki. Zaproszony ksiądz, poprosił mnie o miejsce w saniach na siedzeniu obok Helenki. Oczywiście na prośbę tę wyraziłem zgodę i ksiądz pojechał z nami, siedząc obok panny młodej, a ja obok woźnicy, tyłem do koni. Wśród mieszkańców Oleszyc, był to temat do komentarzy. Na przyjęciu w mieszkaniu rodziny Helenki, oprócz księdza było jeszcze kilkanaście osób. Z gości zaproszonych przeze mnie obecni byli: naczelnik stacji kolejowej Workiewicz i kasjer na tej stacji Mańkowski, małżeństwo Grabarczykowie i Tadeusz Magoch. Inni zaproszeni mieszkający poza Oleszycami, nadesłali z tej okazji życzenia. Na zaproszenie Helenki przybyli krewni Matyjaszkowie, koleżanki Hanka, Maria z mężem Boguszowie, Ukrainka Olga oraz sąsiedzi: Węgrzyn, Bacewiczowa i Iberlec. Ten ostatni, to Niemiec mieszkający od urodzenia w Oleszycach. Siedząc przy stole sięgnął po moją ustną harmonijkę i zagrał hymn ‘Jeszcze Polska nie zginęła’. Na zwróconą mu uwagę, że to jest niebezpieczne, odpowiedział, – ja jestem Niemcem, mnie wolno. Przyjęcie upływające w przyjemnej atmosferze, nie mogło trwać jednak długo ze względu na zbliżającą się godzinę policyjną, zakazującą przebywania na ulicy.

Na drugi dzień, w niedzielę po południu, do mieszkania Helenki, przyszli na poprawiny małżeństwo Boguszowie, koleżanki Hanka i Olga, a także mój kolega Magoch. Było przyjemnie i bardziej swojsko, niż poprzedniego dnia, ale też niedługo, ze względu na wspomnianą już godzinę policyjną.

## OTWOCK



Nasza weselna uroczystość przypadła w okresie narastających niepokojów wynikających z przełomu, jak nastąpił w toczącej się wojnie Niemiec hitlerowskich ze Związkiem Radzieckim. W miarę jak zbliżał się front tej wojny, coraz większy niepokój narastał wśród ludności. Coraz mniej drewna dowozili ludzie na sprzedaż i coraz rzadziej odjeżdżały wagony z drewnem do Warszawy. Atmosfera stawała się coraz bardziej niebezpieczna, na skutek krwawych zamachów ze strony ukraińskich nacjonalistów. Wielki pożar zniszczył pobliskie miasteczko Cieszanów.

W tej coraz groźniejszej dla życia sytuacji, zdecydowałem się pojechać do Adasia zamieszkałego z rodziną w Otwocku mając nadzieję na pomoc w znalezieniu bezpiecznego miejsca dla nas dwoje, tworzących od niedawna nową rodzinę. Odpowiedź Adasia, była natychmiastowa, - przyjeżdżajcie do nas. Z korytarza, obok naszego mieszkania, jest wolne mieszkanie, pokój z kuchnią. Taki to był ten kochany, serdeczny, zawsze pomagający, brat Adaś. Niezwłocznie przystąpiliśmy do przygotowania najniezbędniejszych rzeczy potrzebnych do urządzenia mieszkania, włączając snop słomy do siennika. Kupione zostało też mięso z całego cielaka.

Zamówiłem kryty wagon towarowy i następnego dnia po zamówieniu, Leon Kościeliński przewiózł nas z przygotowanym dobytkiem do podstawionego wagonu. Tu nastąpiło pożegnanie z całą rodziną. W drogę wyruszyliśmy po południu w kierunku Jarosławia. Noc w dużej części spędziliśmy w Przeworsku, gdzie odbywały się bardzo uciążliwe dla nas przetoki wagonów, przy formowaniu nowych składów pociągów. Nowy dzień spędzony w wagonie był pogodny i ciepły. Jechaliśmy przez Rozwadów w kierunku Skarżyska. Podczas postoju w Ostrowcu Świętokrzyskim zobaczyłem Krysę Ufnal córkę gospodarzy, u których mieszkałem przed trzema laty w okresie pracy w tym mieście. Na skinienie, podeszła do wagonu i tak niespodziewanie mogliśmy z sobą rozmawiać. Dalsza droga nasza prowadziła przez Radom i Dęblin, gdzie przeżywaliliśmy również bardzo nieprzyjemne przetoki wagonów.

Do Otwocka dojechaliliśmy późną porą wieczorową. Nasz wagon został wyłączony ze składu pociągu i pozostawiony na boczniczy. Radość ze szczęśliwie zakończonej podróży, została nam przerwana przez dwóch uzbrojonych Niemców z policji kolejowej, którzy wtargnęli do wagonu i przeprowadzili rewizję. Wychodząc zabrali worek z mięsem cielęcym. Niezwłocznie udałem się do

Adasia. Powiedziałem o naszej przewodniczce i zrabowaniu nam mięsa. Adaś zaskoczony, ale uradowany naszym przyjazdem, od razu niemal biegiem udał się do kolegi mówiącego biegle po niemiecku. Po serdecznym przywitaniu się Adasia z Helenką, poszliśmy we troje do posterunku niemieckiej policji. Po przedstawieniu się przed lufą pistoletu niemieckiego policjanta, kolega Adasia energicznie zażądał zwrotu zabranego mięsa. Wtedy policjant ten zwrócił się do mnie, abym zabrał to mięso. Na to odpowiedziałem, – zabrałeś, odnieś! I odniósł do wagonu.

Noc Helenka spędziła u rodziny Adasia, a ja zostałem w wagonie. Rano Adaś przyjechał z wozakiem i cały dobytek z wagonu, został przewieziony na ulicę Kościuszki przed dom nr 8. Mieszkanie, o którym mi mówił Adaś, usytuowane na pierwszym piętrze, zostało w międzyczasie zajęte przez kobietę zatrudnioną w policji. Na szczęście podobne, tylko trochę mniejsze, wolne mieszkanie znajdowało się na piętrze drugim. Tam, wspólnie z Adasiem i wozakiem złożyliśmy wszystko, co zostało z Oleszyc przywiezione.

Otwock to miasto pobudowane w sosnowym lesie. Kilkudziesięcioletnie sosny rosły niemal wszędzie, nie wyłączając podwórek i ogródków przydomowych. Również dwupiętrowy budynek, w którym zamieszkaliśmy, zbudowany był wśród drzew i jak większość budynków mieszkalnych w Otwocku, z bali drewnianych. Znajdował się w centrum Otwocka w pobliżu kościoła pod wezwaniem św. Wincentego a' Paulo, a także blisko stacji kolejowej i poczty. Nieco dalej od poczty był rynek, gdzie każdego tygodnia odbywał się targ pełny furmanek i straganów.

Mieszkanie, które zajmowaliśmy stanowił obszerny pokój z balkonem i oknem od strony wschodniej oraz nieduża kuchnia z wejściem oddzielnym z korytarza, a małe okienko w dachu wychodziło na zachód. Wodę zarówno w kuchni jak i w ubikacji mieliśmy ze zbiornika na poddaszu, do którego woda pompowana była ręczną pompą znajdującą się w piwnicy. Na tym samym piętrze, w mieszkaniu identycznym jak nasze, mieszkało małżeństwo Weronika i Waclaw Jasińscy. Oboje starsi od nas, ale nie przeszkadzało to w nawiązaniu szczerej przyjaźni, już wkrótce po zamieszkaniu.

Od czasu do czasu wyjeżdżałem do Warszawy na spotkanie z Matowskim, a także odwiedzić odbiorców drewna wysyłanego z Oleszyc. Zdarzyło się też, że w Warszawie na peronie spotkałem przypadkowo siedzącego w zakątku Adasia z różańcem w ręku. Pojechałem też do Oleszyc odwiedzić rodzinę Helenki. W Jarosławiu na stacji spotkałem znajomego z Oleszyc, szkolnego kolegę Helenki, Ludwika Czyraka. Wsiadliśmy do pociągu i zajęliśmy na ławkach miejsca naprzeciw siebie. Jadąc przez dłuższy czas, usłyszeliśmy w pewnej chwili silny wybuch, który spowodował nasze zderzenie na skutek gwałtownego zatrzymania się pociągu. Po wyjściu z wagonu rzucił się w oczy wykolejony parowóz i lej w ziemi od wybuchu bomby. Nie lada zdarzenie wzbudzało widok oracza z koniem w polu blisko wypadku, który nawet nie zatrzymał konia, słysząc i widząc, co się stało. Po kilku godzinach oczekiwania nadjechał pociąg z przeciwnej strony i z nie wygasłą jeszcze zgrozą odjechaliśmy z miejsca katastrofy. Była to druga szczęśliwie przeżyta przez mnie katastrofa kolejowa. Dom w Oleszycach, w którym mieszkała Helenka z rodziną zastałem pusty. Puste były również sąsiednie domy zamieszkiwane przez Polaków. Noc podobnie jak inni Polacy, spędziłem na piętrze budynku gościnnej stacji kolejowej. Na drugi dzień wróciłem szczęśliwie do Otwocka, gdzie Helenka tak bardzo oczekiwała wiadomości o swojej rodzinie. Niestety. Ukraińscy nacjonaliści spowodowali opustoszenie również i Oleszyc.

W miarę upływu czasu, życie w Otwocku układało się dla nas pomyślnie. Utrzymywaliśmy codzienne kontakty z rodziną Adasia. Dziesięcioletnia Tereska często przychodziła na rozmowy i zabawę z Helenką. W niedzielę i święta razem chodziliśmy do kościoła na msze świętą i na spacer. W gorące popołudnia niedzielne wyjeżdżaliśmy też nad rzekę Świder. Zdarzało się również, że Helenka wyjeżdżała ze mną do Warszawy. To spokojne życie nie trwało jednak długo. Codziennie zbliżał się front walk toczących się pomiędzy armiami Niemiec i Rosjan. To spowodowało ewakuację do Warszawy policji kryminalnej z lokali zajmowanych na parterze budynku, w którym mieszkaliśmy. Rodziny polskich policjantów, również nie pozostały na miejscu z obawy przed represjami ze strony nadciągających Rosjan. Zarówno nas dwoje jak i Jasińscy uznaliśmy, że mieszkając w tym budynku, również i my możemy być uznani przez Rosjan za funkcjonariuszy policji. Z tego powodu postanowiliśmy opuścić nasze mieszkania i przeprowadzić się do mieszkania



przy ulicy Gajzlera, opuszczonego przez kolegę Adasia, również funkcjonariusza policji kryminalnej. Mieszkanie to składało się z pokoju i kuchni. Pokój podzieliliśmy szafami ubraniowymi przez odpowiednie ich ustawienie. Mieszkaliśmy tu jednak krótko. Rosyjskie władze wojskowe nakazały wszystkim mieszkańcom niezwłoczne opuszczenie tego domu. Okazało się, że teren tej posesji został przeznaczony do wykopania dużej średnicy dołu, w którym zbudowano bunkier. W zamian za zabrane mieszkanie, władze miasta przydzieliły nam pokój w pensjonacie na terenie sąsiedniego Śródborowa. Przed przeprowadzką, zerwałem podłogę na werandzie i tam ulokowałem w walizkach cenniejsze rzeczy, zarówno nasze jak i pani Grabarczyk z Oleszyc, która odwiedziła nas tutaj i zostawiła swoją pełną walizkę.

W Śródborowie poznaliśmy starsze małżeństwo Iwanow, którzy również byli wysiedleni z Otwocka. Niezwykle sympatyczni, mili ludzie. Szybko powstała przyjaźń trwała latami, do czasu ich przeprowadzki do Łodzi, wtedy ustały kontakty. Przez cały czas pobytu w Śródborowie, codziennie przychodziłem do mieszkania w Otwocku, aby zapobiec ewentualnej dewastacji. Tylko jeden raz stwierdziłem, że żołnierze zabrali nasz węgiel do palenia w kuchni i to nie w palenisku pod fajerkami, a w popielniku pod rusztem. Na zwróconą uwagę, tłumaczyli się, że nie wiedzieli, bo takiej kuchni nigdy nie widzieli. W miarę upływu czasu, zaprzyjaźniliśmy się i wtedy, nie tylko pytali czy to wszystko w mieszkaniu jest naszą własnością, ale pytali również, do czego służą niektóre przedmioty jak na przykład widelec. Opowiadali też o biedzie, w jakiej żyją z rodzinami. Jeden najczęściej spotykany żołnierz, starszy już mężczyzna, mieszkaniec wsi opowiadał mi o nędzy, w jakiej żyje jego rodzina pozostawiona bez środków do życia. Zrozpaczony na zakończenie opowiadania, chwycił się garścią za gardło i powiedział, - tak Rakasowskij – Stalina. Tolko pan nie gaworyt do naszych.

Po miesięcznym pobycie w Śródborowie mogliśmy wrócić do opuszczonego mieszkania w Otwocku przy ulicy Gajzlera. Wróciliśmy sami, Jasiński z żoną wrócił do mieszkania na ulicy Kościuszki. Mieszkając sami, byliśmy z tego mieszkania zadowoleni, było nam tam dobrze. Wkrótce po powrocie, mieliśmy przyjemność gościć tutaj przypadkowo spotkanego na ulicy pana Zborowskiego, kierownika szkoły powszechnej w Bodzanowie na Kujawach. Przekazałem mu granat, który zostawił mi Adaś, przed ewakuacją z budynku na ulicy Kościuszki. Na drugi dzień, pan Zborowski przyniósł mi wydawaną w podziemiu gazetkę z podziękowaniem Juliuszowi (był to umówiony mój pseudonim) za przekazaną paczkę waty. Otrzymany również od Adasia pistolet z amunicją, już wcześniej sprzedałem znajomemu urzędnikowi z magistratu.

W tym okresie, kościół był przez cały czas otwarty w niedzielę i nabożeństwa były odprawiane według ustalonego porządku. Braliśmy w nich udział jak również w tradycyjnej procesji prowadzonej z kościoła do usytuowanej w centralnym punkcie Otwocka figury Chrystusa dźwigającego krzyż. W tej procesji uczestniczyła orkiestra wojska polskiego, nazywanego wówczas Kościuszkowcami. Spokojne nasze życie w mieszkaniu przy ulicy Gajzlera, nie trwało jednak długo. Pewnego dnia przyszedł do nas wiceburmistrz Kowalski i oznajmił, że posiada z komisji kwaterunkowej decyzję przydzielającą mu zajmowane przez nas mieszkanie. Wizyta jego wypadła w czasie, gdy wyjmowałem z pod podłogi na werandzie przechowywane tam walizki. Od razu zapytał, – czyje to jest? Odpowiedziałem krótko, – nasze.

Od tego dnia zaczęła się codzienna moja wędrówka do komisji kwaterunkowej z siedzibą blisko Śródborowa. Każdego dnia, przez co najmniej dwa tygodnie słyszałem tę samą odpowiedź, – nie ma wolnych mieszkań. Z drugiej strony, wiceburmistrz często przychodził z pytaniem, kiedy opuścimy jego mieszkanie. W tej beznadziejnej sytuacji zdecydowaliśmy z Helenką, że trzeba wrócić do Oleszyc. W tym celu udaliśmy się do sowieckiej komendy miasta, gdzie Helenka znająca język rosyjski, poprosiła komendanta o samochód do przewiezienia naszego dobytku. Na to otrzymała odpowiedź, że możemy skorzystać tylko z samochodów przygodnych jadących w tamtym kierunku.

Jednego wieczoru, zamyślony nad naszą sytuacją spojrziałem na stojący w sieni podniszczony dziecięcy rowerek, pozostawiony przez mieszkańców, którzy mieszkali tu przed wkroczeniem wojsk sowieckich. Pomyślałem, - może by zaproponować panu z komisji kwaterunkowej ten rowerek? Na drugi dzień, uczyniłem jak pomyślałem i na postawione pytanie, – czy nie przydałby się panu



dziecięcy rowerek? Bez namysłu padła odpowiedź, – niech pan przyprowadzi. Zaprowadziłem niezwłocznie. Wtedy podał mi adres mieszkania przy ulicy Prądyńskiego nr 15 do obejrzenia i poinformowania go, czy na to mieszkanie będę reflektował. Bezpośrednio stamtąd udałem się pod wskazany adres. Stał tam jednopiętrowy dom murowany, otynkowany na biało z frontem na północ. Przed domem był zaniedbany, z rosnącą sosną, nieduży ogródek, ogrodzony płotem z drucianej siatki od chodnika przy piaszczystej jezdni. Mieszkanie zastałem otwarte, a wewnątrz mieszkania ludzie. W rozmowie wyjaśnili mi oni, że zamieszkali tu na czas remontu swego mieszkania i w najbliższych dniach wyprowadzą się stąd. Zwiedzając to mieszkanie, stwierdziłem, że jest to połowa parteru tego domu od strony frontowej. Do mieszkania tego prowadziły dwa wejścia. Od frontu schodami i przez taras osłonięty szklanym dachem prowadziły drzwi do dużego pokoju z dwoma oknami oraz do obu bocznych werand. Drugie wejście z klatki schodowej prowadziło do małego przedpokoju z wejściami do pokoju, kuchni z oknem na wschód i do ubikacji. Z pokoju dużego z wyjściem na taras, prowadziły drzwi do drugiego mniejszego pokoju z oknem od strony zachodniej i z drzwiami do łazienki. Od obecnych tu ludzi otrzymałem dodatkowe informacje: o pobieraniu wody pompą usytuowaną na podwórku, i odpływie nieczystości do szamba, o przynależnej piwnicy i inne szczegóły. Znajac warunki, w jakich przyjdzie nam mieszkać postanowiłem działać bezzwłocznie i zdecydowanie. Bezpośrednio po oględzinach mieszkania udałem się do biura komisji kwaterunkowej i poprosiłem o przydział tego mieszkania. Wystawiony dokument zachował się. Treść jego jest następująca: Rada Narodowa m. Otwocka Komisja Kwaterunkowa Otwock dn. 22 września 1944 Decyzja o przydzieleniu lokalu. Na mocy uchwały Kom. Kw. z dnia 22 września 1944 podanie ob. Nowakowski Nikodem został przydzielony lokal składający się z 3 izb Prądyńskiego 15 22/IX. 44 Komisja Kwaterunkowa podpis nieczytelny.

Mając dokument w ręku, udałem się do znajomych żołnierzy rosyjskich i poprosiłem o podstawienie dwóch wozów przy mieszkaniu. Mimo wielkiego zaskoczenia, Helenka od razu przystąpiła do pakowania wszystkiego, co było do zabrania. W krótkim czasie, cały nasz dobytek był już na wozach i wyruszyliśmy w kierunku ulicy Prądyńskiego. Wozy podjechały przed taras, a wtedy mężczyzna, który tam mieszkał z rodziną, przyszedł do mnie i powiedział, że oni nie będą się na razie wyprowadzać. Na to, wskazując w stronę żołnierzy rosyjskich odpowiedziałem, – to oni was wyprowadzą. Na tym rozmowa skończyła się. Otworzyłem oba skrzydła drzwi prowadzących z tarasu do pokoju, poprosiłem żołnierzy o przesunięcie znajdujących się tam mebli do jednego kąta i wskazałem, aby wnosili nasze meble. Tak też uczynili. W trakcie rozładowywania wozów przez żołnierzy, podjechał i stanął na ulicy naprzeciw domu, konny wóz załadowany meblami. Zaraz jednak zawrócił i odjechał, uprzedziliśmy go. Żołnierze nie mieli dodatkowej roboty z wynoszeniem.

Następnego dnia po naszym wprowadzeniu, dzicy lokatorzy wyprowadzili się. W przydzielonym nam mieszkaniu zostaliśmy sami. Mieszkanie było przestronne, ponad 57 metrów kwadratowych, nie licząc werand, które w okresie letnim mogły służyć, jako mieszkania. Dom otoczony był lasem, a w oddaleniu około stu metrów, był piękny park z gmachem dawnego kasyna, zamienionego na szkołę średnią. Niestety były również bardzo poważne niedogodności. Nie było w mieszkaniu wody. Był zbiornik na strychu, była instalacja wodna, był bojler do ogrzewania wody, była wanna w łazience, ale nie było motoru do napędu pompy. Mieszkanie ogrzewane było piecami na węgiel, kupowanym w oddalonym składzie. Bardzo poważnie zwiększyły się odległości do rynku na targi i to w większości uciążliwą drogą piaszczystą, do stacji kolejowej i do kościoła.

Pozostałe z czasów okupacji zapasy, wyczerpywały się szybko. Wynoszone do komisów różne przedmioty niewiele przynosiły dochodu. Przez pewien czas zarabialiśmy z Helenką robiąc papierosy. Tytoń i zwijki dostarczał nam Jasiński i on też odbierał od nas gotowe papierosy. Jeszcze przed nauką w szkole średniej, Helenka uczyła się krawiectwa u krawcowej. Teraz w Otwocku, mając swoją maszynę, przyjmowała też od znajomych, a także od spotkanej tu koleżanki z Oleszyc wydanej za Żyda, różne prace do szycia. W przedstawionej sytuacji, nieodzownym stało się poszukiwanie i podjęcie stałej pracy. Nie mając bliższych znajomości wśród osób aktualnie wpływowych u nowych władz w Otwocku, nie było szans na znalezienie na miejscu pracy umysłowej. Dlatego też trzeba było szukać zatrudnienia według posiadanych kwalifikacji nabytych w okresie okupacji przy kopalniakach. W tym celu udałem się do ministerstwa leśnictwa w

Warszawie, aby dowiedzieć się o możliwościach zatrudnienia. Z przeprowadzonej tam rozmowy, dowiedziałem się, że dostawą kopalniaków do kopalń zajmuje się odpowiednia centrala mająca siedzibę w Katowicach. Udałem się, więc do Katowic i tam w centrali uzyskałem informację, że ich ekspozytura w Krakowie, dysponuje wolnym etatem na stanowisku brakarza. Pojechałem, więc do Krakowa. Okazało się jednak, że etat ten jest już obsadzony. Na drugi dzień, z Krakowa wróciłem z powrotem do centrali w Katowicach z wiadomością, że w Krakowie nie ma już wolnego etatu. Podczas prowadzonej na ten temat rozmowy, wszedł do pokoju mężczyzna i zapytał mojego rozmówcę czy nie mógłby polecić pracownika na stanowisko brakarza w ekspozyturze Łódź. Ten oczywiście wskazał na mnie. Pojechałem, zatem z Katowic bezpośrednio do Łodzi pod wskazany adres. W prowadzonej rozmowie z kierownikiem ekspozytury wskazałem, że najchętniej podjąłbym pracę w rejonie Skierniewice, najbliższym miejsca mojego zamieszkania. Kierownik Oracz chętnie wyraził na to zgodę.

Z wyniku odbytej podróży wróciłem zadowolony o tyle, że praca będzie stosunkowo niedaleko, że w soboty będę mógł przyjeżdżać do domu i całe niedziele będziemy mogli spędzać razem. A oto część pisma angażującego: Obywatel Nowakowski Nikodem Ekspozytura Łódź. Nasz znak SD Katowice, 7.8.1945. Z dniem 1.7.1945 angażujemy obywatela w charakterze brakarza. Wynagrodzenie miesięczne ustalamy na zł 960, odpowiadające kategorii 11- tej wg obowiązujących przepisów. Szczęść Boże. Pieczęć: Centrala Dostaw Drzewnych Dla Przemysłu Węglowego. Podpis nieczytelny naczelnego dyrektora Jerzego Oszeldy.

Wyraz brakarz kojarzy się ze znawcą oceniającym materiał, wyrób, czy towar pod względem, jakości i przydatności do określonych celów. W Centrali Dostaw Drzewnych Dla Przemysłu Węglowego, do podstawowych obowiązków brakarza należało:

- odbiór od przedstawiciela Lasów Państwowych protokołem zdawczoodbiorczym dłużyc kopalniakowych złożonych na placu kolejowym w mygłach od kilkudziesięciu do kilkuset metrów sześciennych;
- angażowanie stróża nocnego oraz robotników do pracy w akordzie przy przerzynce dłużyc i załadunku stojaków na wagony;
- wynajęcie wozaka do podwożenia stojaków z dalszej odległości, przed podstawiony wagon do załadunku;
- sporządzanie list płac dla robotników na podstawie list wyrzynki i specyfikacji załadowanych na wagony stojaków;
- sporządzanie rachunków za dowóz stojaków do wagonu i zapłata wozakowi;
- wypłaty zarobków robotnikom i stróżowi;
- sporządzanie miesięcznych raportów z poszczególnych składnic o obrotach i zapasach drewna;
- sporządzanie miesięcznych raportów kasowych i rozliczanie pobranych w ekspozyturze zaliczek.

Przeważnie każdy brakarz prowadził pracę przy kopalniakach na kilku składnicach w obrębie stacji kolejowych najbliższych jego siedziby. W rejonie Skierniewice, składnice takie położone były przy stacjach kolejowych Żyrardów, Radziwiłłów, Skierniewice, Płyćwia, Rogów, Rokiciny i Złota przy kolei wąskotorowej Rogów – Rawa Mazowiecka. Przez początkowe dni pracy w Skierniewicach mieszkałem w hotelu. Wkrótce zamieszkałem, jak w czasie okupacji, przy ulicy Bielańskiej, blisko składnicy z drewnem. Samodzielny, ładnie urządzonej pokój z bezpośrednim wejściem z podwórka, wynajmowałem od żony pułkownika Balsewicza, który nie wrócił jeszcze z wojny. W ciągu kilku dni od przybycia do Skierniewic zorganizowałem zespół robotników i wkrótce wagony ze stojakami regularnie odjeżdżały do kopalń.

Po pewnym czasie od zamieszkania przy ulicy Bielańskiej, wrócił z niewoli pułkownik Balcewicz, który wkrótce zwrócił się do mnie o pomoc w znalezieniu pracy, w branży, w jakiej ja pracuję. Chętnie się na to zgodziłem i podobnie jak niegdyś w Ostrowcu Świętokrzyskim ja nauczyłem się właściwego wykorzystywania dłużyc na stojaki, pułkownik Balsewicz nauczył się też tego i zatrudniłem go w charakterze manipułanta. Sztuki manipulowania dłużyc na stojaki

nauczyłem również Artura Jaronia, syna sąsiada z Otwocka. Później, przeszedł on do pracy u brakarza w Kole.

Pewnego wieczoru, siedząc, jak co dzień, przy stole nad dokumentami dla ustalenia wyników pracy robotników w minionym dniu, usłyszałem głośne stukanie do drzwi. Po otwarciu weszło dwóch żołnierzy. Pierwszy wchodzący, już od progu zapytał, czy kupiłbym materiał. Zaskoczony tym pytaniem, odpowiedziałem bez namysłu, że potrzebuję materiał na garnitur. Na to bez słowa, natychmiast wyszli. Za kilka minut od tej rozmowy, wrócili obaj trzymając na ramionach po dwa wałki materiału używanego na podszewkę. Rzucili to na podłogę i wyszli. Wkrótce wrócili niosąc taki sam towar, który rzucili na stos i niemo zapatrzyli się na mnie. Oszołomiony, bez chwili zastanowienia, zapytałem, – ile wy za to chcecie? Wymienili sumę, a ja podałem im o połowę mniej, na co obaj, natychmiast odpowiedzieli, – dobrze! Zapłaciłem im z zaliczki, jaką każdego miesiąca pobierałem w ekspozyturze na płace dla robotników i inne wydatki. Żołnierze zabrali pieniądze i szybko wyszli.

Zostałem w pokoju sam z leżącymi na podłodze ośmioma wałkami materiału na podszewkę i wtedy dopiero przysłała refleksja. Przecież, gdybym po raz trzeci otwierał drzwi tym razem na wezwanie, to do Otwocka mógłbym już nigdy nie trafić! I ogarnęła mnie rozpacz. Po tym krótkim załamaniu, obudził się naraz we mnie instynkt samozachowawczy i napływ energii do natychmiastowego działania, aby się ratować. Wcisnąłem sześć wałków tego materiału pod łóżko, a pozostałe dwa, owinięte w prześcieradło, przygotowałem do wyniesienia. Nie spałem tej nocy, ani minuty. Było ciemno, gdy wyszedłem z tym białym bagażem. Idąc na przełaj przez tory kolejowe, wsiadłem do pierwszego pociągu odjeżdżającego w tym dniu do Warszawy. Wsiadłem na dworcu głównym i po drugiej stronie ulicy Towarowej wszedłem na plac Kazimierza, pełen straganów i handlarzy. Towar sprzedałem szybko. Za te dwa wałki, otrzymałem sumę, jaką zapłaciłem żołnierzom. Wracałem do Skierniewic w wielkim napięciu i z bojaźnią zbliżałem się do domu, w którym mieszkałem. Była cisza. Zaraz zapakowałem następne dwa wałki materiału i po raz drugi w tym dniu zawiozłem do Warszawy, z tym samym skutkiem jak za pierwszym razem. Następnego dnia, powtórzyłem wyjazdy jak w dniu poprzednim. Trzeciego dnia wywoziłem ostatnie dwa wałki materiału. Jeden sprzedałem w Warszawie, a drugi zawiozłem do Otwocka. Podczas mojego opowiadania, Helenka przeżywała moją sytuację, nie mniej emocjonalnie, niż ja. Od razu zapewniłem jednak Helenkę, że już tej pierwszej tragicznej nocy, poprzysięgłem sobie, że nigdy w życiu nie popełnię czynu zabronionego prawem. Do dnia pisania tych wyrazów, przysięgi dotrzymałem. Gdy po czterech dniach niebytności, przyszedłem na składnicę z kopalniakami, robotnicy pytali mnie czy słyszałem o tym, że nasi żołnierze rozbili na stacji wagon w pociągu wiozącym materiały z Łodzi do Rosji. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że o tym nie słyszałem. Pomyślałem wtedy, że też w niewielkim ułamku procenta, przyczyniłem się do odebrania zrabowanego naszego majątku.

Po wyczerpaniu się zapasu dłużyc w Skierniewicach, praca przy kopalniakach, odbywała się na placu kolejowym stacji Radziwiłłów. Była to dla mnie o tyle korzystna zmiana, bo mogłem korzystać z kolejowego biletu miesięcznego na trasie do Otwocka, jako że odległość nie przekraczała stu kilometrów. Następnym etapem mojej pracy była składnica przy stacji kolejowej Płyćwia, a potem pracowałem w Rogowie. W tym Rogowie, w którym 5 lutego 1941 roku, zetknąłem się po raz pierwszy z drewnem kopalniakowym, przyjmując na placu kolejowym dowożone dłużyce. Zaraz po przyjeździe do Rogowa, nie omieszkałem odwiedzić, a także zamieszkać jak z górą cztery lata temu, u państwa Kuczkowskich mieszkających z córką, zameżną Marcinkowską. Wszedłem niepoznany. Dopiero po przedstawieniu się, nastąpiło z obu stron bardzo serdeczne przywitanie. Pani Marcinkowska opowiadała mi z płaczem o przeżywanej tragedii, z powodu zabrania z mieszkania jej męża przez Niemców, którzy go zaraz rozstrzelali. Po zakończeniu pracy na składnicy, zegnaliśmy się z żalem i nadzieją następnego spotkania. Do tego jednak już nie doszło.

Praca na składnicy przy stacji kolejki wąskotorowej Złota, nie trwała długo. Załadunek stojaków na wagony, był tu o wiele łatwiejszy od załadunku na wagony normalnotorowe. Tu na mieszkanie zaprosił mnie do swej leśniczówki, sympatyczny, młody leśniczy. Ze Złotej przenieśliem się do pracy na składnicy stacji kolejowej Rokiciny. Miejscowość ta szczególnie zapisała się w mojej

pamięci, bo tam nadarzyła się okazja do odpłacenia Niemcom za doznane krzywdy zarówno przeze mnie jak i przez członków mojej rodziny. Do podstawionego wagonu, robotnicy rozpoczęli ładowanie pomierzonych przeze mnie stojaków. W tym czasie podszedł do mnie oficer naszego wojska i zwrócił się z prośbą o pozwolenie na zabranie odpadów drzewnych na opał, w celu przygotowaniu posiłku dla jeńców niemieckich. W odpowiedzi wyraziłem zgodę, pod warunkiem przysłania tych jeńców do załadunku drewna do podstawionego wagonu. Oficer chętnie się na to zgodził, podziękował i odszedł. Wtedy pomyślałem, że nadszedł dla mnie czas odpłacenia Niemcom za to, co w okresie wojny przeżyłem sam i moi najbliżsi. Od razu, jak w kalejdoskopie, przebiegały w myśli obrazy hitlerowskiego terroru i barbarzyństwa, przeżywanego przez nas podczas minionej niedawno wojny:

- czterokrotne bezpośrednie zagrożenie życia w pierwszych dniach wojny podczas bombardowania przez niemieckie samoloty mostu na Wiśle pod Maciejowicami, w miastach Biała Podlaska i Brześć nad Bugiem oraz podczas ostrzału z karabinów maszynowych samolotów przelatujących nad wsią Gończyce;

- rewizja na drodze Sobolew – Garwolin podczas przewożenia z kolegą Bolkiem, pistoletu w bochenku chleba;

- kompletne spalenie mieszkania w Garwolinie, zajmowanego przez rodzinę brata Adama;

- wysiedlenie rodziny siostry Felicji z własnego gospodarstwa;

- praca niewolnicza ojca, sióstr Kazimieri i Ewy, brata Witolda oraz męża siostry Felicji, Józefa Rybackiego;

- moja przeprawa przez granicę państwową;

- aresztowanie Helenki w nocy i przetrzymywanie w areszcie przez następną noc z przeznaczeniem na wywóz do Niemiec;

- aresztowanie mnie w Jarosławiu i przetrzymywanie w areszcie przez kilkanaście godzin;

- kilkakrotne ucieczki na ulicach Warszawy przed łapankami zakładników do rozstrzelania;

- wielokrotny dzienny i nocny artyleryjski ostrzał Otwocka, padające pociski na rynek podczas targu, spędzone w piwnicy godziny w dzień i w nocy;

- spotkany w Otwocku na ulicy Warszawskiej zabity polski żołnierz i w innym dniu spotkana na ulicy Kościuszki leżąca mała dziewczynka brocząca krwią z rany w nóżce i wyciągniętymi do mnie rączkami, bo pierwszy ją płaczącą spotkałem.

Teraz nadszedł wymarzony dzień zemsty! Po pewnym czasie, pod strażą naszych żołnierzy, przyprowadzono czwórkami jeńców. Powitałem ich hitlerowskim zawołaniem – heil Hitler. Oczywiście żaden nie odpowiedział. Wskazałem na stosy stojaków i na wagon z poleceniem załadunku. Były to stojaki dłuższych wymiarów, a więc odpowiednio ciężkie. Mimo to, nasi robotnicy w pojedynkę wnosili je do wagonu, na ramieniu, bez większego wysiłku. Tak samo próbowali Niemcy, ale żaden nie mógł takiego stojaka udźwignąć, a ja popędzałem ich słowami, – schnell – schnell (prędzej, prędzej)! Nie odnosiło to jednak skutku. Nie mieli sił. Nawet we dwóch niosąc stojaka, słaniali się pod jego ciężarem. Patrząc na autentyczną słabość tych ludzi w młodym wieku, zaczęła ogarniać mnie litość, mimo, że ubrani byli w zienawidzone niemieckie mundury. Ten widok słaniających się młodych ludzi, był dla mnie zbyt przykry, by obojętnie na to patrzeć. Pomyślałem, że powinienem odejść, bo nie mogę przecież okazać swej słabości. Zleciłem, więc robotnikowi Przytule nadzór nad załadunkiem do wagonu reszty pomierzonych stojaków i odszedłem do mieszkania, jakie tam w pobliżu stacji kolejowej, u sympatycznych gospodarzy wynajmowałem.

Jak już wspominałem, każdej soboty, o tej samej godzinie, przyjeżdżałem do swojej Helenki w Otwocku. Do mieszkania wchodziłem zawsze od klatki schodowej, drzwiami do przedpokoiku. Jednej pogodnej soboty pomyślałem, aby ukradkiem wejść przez taras do pokoju. Po cichu wszedłem po schodach i przez szybę w drzwiach zobaczyłem Helenkę. Siedziała na małym stołeczku z robótką w rączkach, a naprzeciw na taborecie stał zegar. Zatrzymałem się i patrzyłem jak urzeczony. Helenka, co chwilę, nie dłuższą jak kilkanaście sekund, podnosiła schyloną nad robótką głowę, i spoglądała na zegar. Zapatrzony, stałem tak przez kilka minut. To był najpiękniejszy

obrazek Helenki, jaki w moim życiu ukradkiem oglądałem. Zachował się w sercu i serdecznej pamięci.

Innej soboty zastałem w mieszkaniu Helenkę zapłakaną. Przerazony zapytałem, - co się stało. Na to, z łkaniem odpowiedziała, - wojsko zabiera nam mieszkanie. Z dalszego jej opowiadania wynikało, że do mieszkania weszło dwóch żołnierzy i po obejrzeniu wszystkich izb powiadomili, że mieszkanie to przejmuje wojsko. Zostawili przy tym wezwanie dla mnie do stawienia się w poniedziałek w ratuszu. W tej samej sprawie, wezwanie do ratusza otrzymał również, mieszkający na piętrze, sąsiad Jaroń. Uspokoilem Helenkę, że jeżeli dla wojska, to zabrano by cały budynek. Nie wiele to jednak pomogło na jej zmartwienie. W poniedziałek razem z sąsiadem Jaroniem poszliśmy do ratusza. Urzędnik poinformował nas, że jest zamach na wasze mieszkania. W odpowiedzi usłyszałem od nas, że przed zamachem potrafimy się obronić. Wkrótce do pokoju weszło dwóch wojskowych podoficerów. Urzędnik zaraz zapoznał ich z naszym stanowiskiem. Wtedy sierżant z krzykiem do urzędnika, - co to znaczy! Pan ma dać im mieszkania, a my sobie poradzimy! Wtedy ja do niego (dosłownie), - spróbuj! Przez próg nie przejdiesz, bo ci łeb siekierą rozwalę! Sąsiad Jaroń też mu coś dołożył i wyszliśmy. Siekierę z werandy przenieśliśmy do przedpokoju i nie wychodząc z domu, czekałem przez cały tydzień. Nie przyszedł. Po każdym, razem spędzonym dniu, Helenka stawała się coraz spokojniejsza. Również i ja spokojny już, mogłem wrócić do pracy.

Od podjęcia pracy związanej z górnictwem węglowym, każdy pracownik nabywał prawo do określonych przywilejów. Dzień Świętej Barbary 4 grudnia, był w tym resorcie dniem wolnym od pracy. W środowisku górniczym, z tej okazji odbywały się akademie i ważne imprezy. Na centralną imprezę zorganizowaną w dyrekcji naszej centrali w Katowicach, kierownik ekspozytury Oracz wytypował czterech brakarzy, w tym również mnie. Przyjęcie po zakończeniu akademii, przeciągnęło się do późnych godzin nocnych. Pracując w resorcie górnictwa wstąpiłem do Związku Zawodowego Górników. Członkostwo w tym Związku uprawniało między innymi do korzystania z górniczych ośrodków wczasowych i innych ośrodków prowadzonych przez Fundusz Wczasów Pracowniczych. Jako funkcjonariusz państwowy, miałem przez pewien okres czasu prawo do korzystania z ulgowych biletów kolejowych.

W styczniu 1946 roku, nastąpiła zmiana na stanowisku kierownika naszej ekspozytury w Łodzi. Na miejsce Oracza, powołany został inżynier Hofmokl, który od pewnego czasu, już w ekspozyturze pracował. Po kilku dniach od objęcia nowego stanowiska przeprowadził on ze mną rozmowę i zaproponował mi zatrudnienie w ekspozyturze na stanowisku inspektora. Określił przy tym zadania do wykonywania na tym stanowisku i warunki pracy, a mianowicie: kontrola dokumentacji u brakarzy i na składnicach z drewnem, całkowita samodzielność odnośnie miejsca, zakresu i czasu kontroli, krótkie pisemne sprawozdanie z wyników kontroli, samochód służbowy do dyspozycji, rozliczanie kosztów podróży na podstawie polecenia wyjazdu służbowego z uwzględnieniem wydatków za noclegi oraz diety. Na mieszkanie w Łodzi był do zaadoptowania sąsiedni z biurem pokój z łóżkiem, częściowo wykorzystywany na magazyn. Aby podjąć decyzję, poprosiłem o czas do zastanowienia, na co inżynier Hofmokl oczywiście zgodził się.

Największym mankamentem było zwiększenie odległości o około 70 kilometrów, w porównaniu z odległością ze Skierniewic do Otwocka. Tym samym czas przejazdu pociągiem osobowym w jedną stronę, wydłużyłby się o jedną godzinę. Rozpatrując dalej niespodziewaną propozycję zmiany stanowiska pracy, przebiegały w myślach wspomnienia dobrych i trudnych warunków, w jakich przebiegała praca dotychczasowa. Dobre warunki, to przede wszystkim całkowita samodzielność w organizowaniu pracy przy wykonywaniu miesięcznych zadań, wynikających z otrzymanych zamówień kopalń na kopalniaki. Decydującym czynnikiem w uzyskiwaniu pozytywnych ocen mojej pracy, była dobra współpraca z zatrudnionymi robotnikami. Warto tutaj wspomnieć, że przez pół roku współpracy nie było między nami żadnych nieporozumień.

Ciężkie warunki to praca na powietrzu, bez względu na pogodę, zwłaszcza przy załadunku drewna do podstawionego na zamówienie wagonu. Trzeba było pracować również wieczorami przy obliczaniu z list wyrzynki i specyfikacji załadowanego drewna na wagony, ilości w metrach sześciennych, przypadające na poszczególnych pracowników. Tak samo, listy płac robotników oraz raporty kasowe sporządzane były wieczorową porą. Zdarzyło się jednego miesiąca, że przy

opracowywaniu miesięcznych materiałowych i finansowych sprawozdań pracowałem przez całą noc. Bez śniadania pojechałem pociągiem do Łodzi. Po załatwieniu w ekspozyturze, dwaj koledzy brakarze zaprosili mnie na śniadanie. Zamówili przy tym ćwiartkę wódki. W trakcie spożywania wypiliśmy po kieliszku tej wódki. Za chwilę poczułem się źle. Niespotykany w życiu zawrót głowy z odczuciem, że w powietrzu opłatam koło obracające się w pionie jak koło u wozu. Od razu wyszedłem z lokalu, a koledzy za mną. Idąc do tramwaju, po drodze, kolega Stefan Gruszecki wstąpił do krawca. Gdy wszedłem za nim, o mało tam nie upadłem, tak było mi tam duszno. Pojechaliśmy do Pabianic i tam po wejściu do mieszkania, zapytałem kolegę Stefana, które jest jego łóżko. Spałem tam do rana. Od tego pamiętnego dnia roku 1945, tylko w szczególnie wyjątkowych okazjach, wypijałem kieliszek wódki i do tego na raty.

Kłopotliwe, a zarazem obciążające finansowo, było wynajmowanie mieszkań przez okres pracy na składnicach oddalonych od Skierniewic, w przypadkach niesprzyjającego rozkładu jazdy pociągów. Wprawdzie niektóre ponoszone koszty kompensowało się z pieniędzy otrzymywanych ze sprzedaży odpadów, jakie powstawały przy przerzynce dłużyć, ale były to transakcje nieksięgowane w raportach kasowych. Podobnie nie były księgowane w sprawozdaniach obrotu materiałowego, wydawane robotnikom odpady drzewne. Było to konieczne, gdyż obowiązujące stawki akordowe zarówno za przerzynkę jak i załadunek na wagony były zbyt niskie, aby bez dodatkowej zachęty można było znaleźć chętnych robotników do tej pracy.

Przebiegając w myślach przedstawione wyżej warunki i sytuacje w pracy dotychczasowej, zdecydowałem przyjąć propozycję inżyniera Hofmokla i podjąć pracę w ekspozyturze. Decydującym argumentem za podjęciem takiej decyzji było uzmysłowienie sobie, że na nowym stanowisku, będę rozliczany wyłącznie z wyników własnej pracy, a tego nigdy w życiu, nie obawiałem się.

Po przedstawieniu inżynierowi Hofmoklowi swej decyzji, otrzymałem z jego rąk pismo następującej treści: Do Obyw. Nowakowskiego Nikodema Skierniewice Bielańska 41 nasz znak. Łódź, 5 stycznia 1946. Na podstawie zarządzenia Władz, z dnia 5 stycznia 1946 r. zostaje Obywatel powołany do pełnienia obowiązków Inspektora Ekspozytury, polegających na przeprowadzaniu kontroli wszystkich placówek na terenie Ekspozytury Łódź. Odcisk pieczętki: Centrala Dostaw Drzewnych Dla Przemysłu Węglowego Katowice Gliwicka 17 ekspozytura Łódź i podpis inż., Hofmokla. Teren ekspozytury pokrywał się w zasadzie z terenem województwa Łódź. Na obszarze tym, pracowało wraz ze mną dziesięciu brakarzy z siedzibami w miastach, których nazwy zostały przyjęte, jako nazwy rejonów Centrali Dostaw Drzewnych dla Przemysłu Węglowego.

Oto nazwiska brakarzy i nazwy rejonów:

Bartela – Wieluń  
Ciurla – Radomsko  
Gruszecki – Koło  
Janicki - Sulejów  
Nowakowski – Skierniewice  
Panuś – Czastary  
Pęczak – Poddębice  
Tarczewski – Sieradz  
Trojanowski – Turek  
Matusiak – Pabianice

Przyjmując stanowisko inspektora i obowiązek przeprowadzania kontroli pracy kolegów brakarzy, zastanawiałem się jak będą układały się w przyszłości nasze dotychczasowe przyjazne, a z większością przyjacielskie stosunki. Jak koledzy będą reagować na moje spostrzeżenia i uwagi? Czy nasze dotychczasowe koleżeńskie stosunki utrzymają się nadal? Odpowiedzi na te pytania przyjdą w czasie wizytacji składnic z drewnem. Przed przeniesieniem się do pracy w Łodzi należało przekazać protokołem zdawczo – odbiorczym mojemu następcy, pułkownikowi Balsewiczowi zapasy drewna na składnicach oraz dokumentację. Zeszło na to sporo czasu.

Pamiętnego dnia 19 stycznia 1946 roku, jak w każdą sobotę, przyjechałem do domu w Otwocku gdzie od paru tygodni, na nasze zaproszenie, mieszkała z nami mama Helenki. Po wejściu do pokoju rzucił mi się w oczy odwrócony tapczan, który zawsze ustawiony był wzdłuż ściany, a

wtedy był odwrócony tak, że o ścianę opierały się poduszki, na których spoczywała głowa Helenki. Nachylony do ucałowania, zobaczyłem na poduszce obok twarzy Helenki, twarzyczkę dzieciątka ze zmarszczką nad małym noskiem, tuż pod czółkiem. Helenka wyszeptala, - masz córeczkę. Jakie było powitanie i matki i dzieciątka, tego nie da się opisać. To było wielkie przeżycie, a przede wszystkim radość ze szczęśliwego porodu przy pomocy akuszerki wezwanej przez mamę Helenki. Przez cały następny tydzień, razem z mamą Helenki, opiekowaliśmy się naszymi najdroższymi, ukochanymi, młodziutką mamą i dzieciątkiem ze zmarszczką nad noskiem.

Następnego tygodnia, pracę rozpocząłem już na nowym stanowisku. Zgodnie z otrzymanym pismem w tej sprawie, zadaniem moim było przeprowadzanie kontroli pracy kolegów brakarzy, jaką prowadzili na składnicach z drewnem oraz stan dokumentacji materiałowej i finansowej. Od razu przychodziła na myśl doznawane niespodziewane, bardzo życzliwe przyjmowanie mnie przez wszystkich kolegów odwiedzanych w ich rejonach. Mimo, że kontrole odbywały się zawsze bez uprzedzenia, spotkania nasze odbywały się zawsze w przyjacielskiej atmosferze. Wskazywane podczas kontroli niedociągnięcia w gospodarce drzewnej na składnicach, usuwane były niezwłocznie w mojej obecności wszędzie tam, gdzie pracowali robotnicy. Na składnicach nieczynnych, następowało to w dniu następnym. Mogłem to stwierdzić na miejscu, gdyż kontrole w rejonach trwały przeważnie po kilka dni. Odnosiło to się to do większych rejonów jak Koło, Sieradz, Sulejów, Wieluń. Przyjmowanie moich uwag i wykonywanie zaleceń w czasie trwania kontroli, przedstawiałem w swoich sprawozdaniach z tych czynności. W przedstawionych okolicznościach, przeprowadzane przez mnie kontrole w pełni osiągały swój cel, już w trakcie ich przeprowadzania. Z tego też powodu, opracowywanie i wysyłanie do kontrolowanych rejonów zarządzeń pokontrolnych stało się zbędne.

Wyjazdy na kontrole, odbywałem przeważnie koleją. Oszczędziło to kolegom brakarzom kłopotów z zakwaterowaniem na noc kierowcy, a ja miałem prawo korzystania z wagonów pierwszej klasy. Samochód używałem tylko na wyjazdy do bliższych rejonów jak na przykład Poddębice, gdzie kontrole trwały nie dłużej jak jeden dzień. Z jazdy samochodem po odbytej kontroli, utrwalił mi się w pamięci powrót wieczorem szosą w okolicy Sieradza, gdzie wjechaliśmy w tak gęstą mgłę, że zmuszony byłem iść przed maską samochodu, aby kierowca nie zbiegł z drogi.

Tymczasem zbliżał się ustalony już wcześniej dzień chrztu świętego naszej córeczki. Wspólnie wybraliśmy jej dwa imiona: Danuta Henryka. To pierwsze utrwaliło się w pamięci po przeczytaniu powieści Krzyżacy napisanej przez Henryka Sienkiewicza. Miła Danusia mieszkała też w Sobolewie, którą poznałem w okresie pracy przy budowie mostu w Maciejowicach. Drugie imię to patron urodzin. Na rodziców chrzestnych poprosiliśmy panią Jasińską z ulicy Kościuszki oraz mojego brata Witolda mieszkającego w Aleksandrowie Kujawskim. Przy pięknej słonecznej pogodzie, do chrztu powieźliśmy dzieciątka konną dorożką. Chrzest odbył się w kościele parafialnym w Otwocku przy zgromadzonej ludności na niedzielną mszę świętą. Z okazji tej uroczystości wykonane były, dotąd zachowane, zdjęcia zarówno w mieszkaniu jak i na tarasie.

Zakres pracy w ekspozyturze, jaki dość długo wykonywałem, stopniowo uległ zmianie. Ustalenia moje w trakcie ostatnio przeprowadzonych kontroli wskazywały na prawidłową gospodarkę drewnem na składnicach i dalsze kontrole były zbędne. Zdarzały się tylko sporadycznie. Z tego też względu, pracowałem w biurze ekspozytury, w pionie technicznym. Tu praca moja polegała na śledzeniu terminowości dostaw kopalniaków do kopalń, a w przypadku opóźnień, kierowanie do rejonów ponagleń. Praca w biurze, oczywiście pozbawiała mnie diet, jakie pobierałem przy wyjazdach w teren. W pewnym stopniu, otrzymywane dary z UNRA rekompensowały te straty.

I na tym stanowisku też długo nie pracowałem. Z datą 6 grudnia 1946 roku otrzymałem z Centrali Dostaw Drzewnych Dla Przemysłu Węglowego w Katowicach pismo następującej treści: W zastępstwie chorego Ob. Rosady Karola, polecamy Obywatelowi z dniem dzisiejszym aż do odwołania pełnienie obowiązków kierownika Ekspozytury C.D.D. Legnica z siedzibą w Zielonej Górze. Szczęść Boże Biuro personalne. Podpis nieczytelny. Pieczęć C. D. D. Nieczytelny podpis. nacz.dyr.

Oczywiście do Zielonej Góry nie pojechałem bezpośrednio z Łodzi. Posiadane tu rzeczy przewiozłem do Otwocka. Zatrzymałem się tutaj z kochaną rodziną na krótko i po smutnym

pożegnaniu z żalem wyruszyłem do Zielonej Góry. Pobyt w tym miejscu pracy, finansowo rozliczany był na zasadach delegacji. Oprócz wynagrodzenia, otrzymywałem diety i zwrot za mieszkanie w hotelu. Szybko zapoznałem się tu z organizacją biura ekspozytury i rejonów oraz z personelem. Od razu współpraca układała się dobrze. Na odbytej wkrótce po przyjeździe naradzie z kierownikami rejonów, zorientowałem się, że personel terenowy, podobnie jak i biurowy, pod względem fachowym, jest dobrze przygotowany. Stąd nasza współpraca, od samego, początku, układała się bez zarzutu. Po pewnym czasie, pojawił się w biurze chory kierownik ekspozytury Rosada. Miał on wypadek podczas jazdy motocyklem. Od razu, nawiązaliśmy ze sobą przyjazne stosunki. Podzieliłem się z nim swoimi spostrzeżeniami zarówno o pracy w biurze jak i o gospodarce drewnem na lustrowanych składnicach. Delegacja moja do tej ekspozytury skończyła się w końcu stycznia 1947 roku, do jest do dnia stawienia się na wezwanie w Centrali w Katowicach. Tu skierowany zostałem do gabinetu naczelnego dyrektora, gdzie zebrani byli wszyscy członkowie dyrekcji, również z ciężko chorym naczelnym dyrektorem Oszeldą.

Po przywitaniu się, zastępca naczelnego dyrektora inżynier Bałłaban poinformował mnie o podjętej przez dyrekcję decyzji powierzenia mi stanowiska kierownika oddziału na szczeblu ekspozytury w Wałbrzychu. Na zapytanie czy się na to zgadzam, odpowiedziałem twierdząco. Wtedy naczelnny dyrektor Oszelda, ledwie słyszalnym głosem powiedział, – nie ustaliliśmy panu Nowakowskiemu wynagrodzenia. Nastąpiło to niezwłocznie. Na zakończenie spotkania otrzymałem pismo następującej treści: Obywatel Nowakowski Nikodem Kierownik Ekspozytury Wałbrzych. Wałbrzych nasz znak BP/ P/ SD Katowice 28.1. 1947. W związku z przeniesieniem Obywatela na stanowisko Kierownika Ekspozytury zostaje mu przyznana 5 grupa uposażenia według obowiązujących przepisów i odrębny dopisek – tj. z dniem 1 lutego 1947. Biuro Personalne – podpis nieczytelny. Szczęść Boże – odcisk pieczęci – Centrala Dostaw Drzewnych Przemysłu Węglowego – i podpis zastępcy naczelnego dyrektora J. Bałłaban. Nieodżałowany naczelnny dyrektor inżynier Oszelda zmarł wkrótce. Byłem na jego pogrzebie na cmentarzu w Katowicach.

Z otrzymanym pismem o powierzeniu mi stanowiska kierownika ekspozytury Wałbrzych, udałem się do Otwocka, odwiedzić kochaną rodzinę, niewidzianą od blisko dwóch miesięcy. Po krótkim pobycie, znów smutne rozstanie i wyjazd do Wałbrzycha, jednak z nadzieją, że tam już wkrótce będziemy razem. W Wałbrzychu ekspozytura (oficjalna nazwa oddział) mieściła się na ulicy Przemysłowej w domu pod numerem 18 na pierwszym piętrze. Od strony frontowej, w czterech pokojach usytuowane było biuro, w tym oddzielny pokój przeznaczony był dla kierownika. Po drugiej stronie korytarza mieszkanie składające się z dwóch pokoi i kuchni z widokiem na niewielkie podwórko z trawnikiem, zajmował kierownik ekspozytury. Naprzeciw tego domu, po drugiej stronie ulicy, znajdował się duży niemiecki cmentarz. Poważnym utrapieniem dla mieszkańców tego miasta było zatrutowane powietrze przez kopalnię węgla Biały Kamień, Bolesław Chrobry, Mieszko i Wiktoria, a szczególnie przez koksownie przetwarzające węgiel na koks.

Przejęcie urzędowania na stanowisku kierownika ekspozytury, nastąpiło w dniu 8 lutego 1947 roku po podpisaniu protokołu zdawczo – odbiorczego z ustępującym kierownikiem Wiktorem Tochowiczem. Dopiero przy ustalaniu treści protokołu zdawczo – odbiorczego, zorientowałem się, że, zarówno zakres działania tej ekspozytury jak i zakresy działania brakarzy, daleko odbiegają od zakresów poznanych w ekspozyturach Łódź i Zielonej Górze. Oto kilka przykładów, przepisanych z protokołu zdawczo – odbiorczego przedstawiających odrębne zagadnienia występujące w ekspozyturze Wałbrzych:

- Brakarze Dąbrowski, Zuba i Kulesza prowadzą wywózkę kopalniaków we własnym zakresie.
- Za zgodą dyrekcji Adm. C.D.D. Ekspozytura Wałbrzych zakupuje we własnym zakresie kopalniaki pochodzące z miejscowych lasów komunalnych.
- W Nadleśnictwach Państwowych Sierże i Wałbrzych znajdujące się w lesie kopalniaki poniemieckie o ogólnej masie około 5430 metrów sześciennych będą wywożone na koszt Centrali.
- Pracownicy terenowi otrzymują żywność z DZPW za pośrednictwem Ekspozytury na podstawie przysyłanych przez brakarzy, co miesiąc wykazów stanu pracowników.



- Użytek liściasty w drobnych partiach Ekspozytura zakupuje przez swoich brakarzy w miarę możliwości. Cenę kupna płaci się według cennika uwzględniając nieprzewidziany procent, stosowany przy zakupach wolnorynkowych.
- Użytek iglasty zakupuje się w miarę możliwości na podstawie umowy z Dyr. L P. a za wywieziony użytek iglasty Ekspozytura sporządza każdego miesiąca wnioski o przyznanie premii za zorganizowanie zwózki.
- Ekspozyturze tutejszej podlegają kontrolerzy na kopalniach (wymieniono tutaj sześć nazwisk ludzi pracujących na kopalniach w tym trzech poza Wałbrzychem).
- Do pilnowania majątku tutejszej Ekspozytury powołana była straż, która pełniła służbę w myśl regulaminu. Tutaj wymienione były trzy nazwiska z wynagrodzeniem po sto złotych dziennie. Strażnicy zobowiązani są również do konwojowania artykułów żywnościowych przewożonych w teren.
- Ekspozytura za zwózkę kopalniaków i użytku tartaczno wysyła do kopalń wnioski o sprzedaż węgla dla wozaków po cenach sztywnych.

Gdyby przytoczone z protokołu zdawczo-odbiorczego informacje, dotarły do mojej wiadomości przed wyrażeniem zgody na objęcie stanowiska kierownika tej ekspozytury, niewątpliwie zgoda taka z mojej strony by nie zapadła. Na potwierdzenie moich obaw, nie trzeba było długo czekać. Oto w doręczonym mi w miesiącu kwietniu 1947 roku liście przeczytałem: „Szanowny Panie! W myśl naszego porozumienia do ewentualnej prowizji z naszej Firmy „Zwóz” przesyłam W. Panu niniejszym w liście za miesiąc luty 47 r. 4440 zł, za miesiąc marzec 5000 zł – razem 9440 zł. Dlatego przesyłam w liście, ponieważ nie mogłem Pana zastać w Ekspozyturze. W przyszłości wołałbym jednak wręczyć osobiście”. Po końcowym zdaniu na inny temat, zakończenie: „Łączę serdeczne pozdrowienia” i podpis. Ponieważ „naszego porozumienia, nie było, pieniądze za pokwitowaniem zwróciłem doręczycielowi.

Terenem działalności ekspozytury Wałbrzych były góry Sudety i Przedgórze Sudeckie. Zatrudnionych tam było siedmiu brakarzy: Dąbrowski, Kulesza, Kuliński, Lachowicz, Marczyński i Zuba. Do wyjazdów w teren służył samochód Mercedes obsługiwany przez kierowcę Niemca Gerlicha, który jednak nie posiadał polskiego prawa jazdy. Samochód ten garażował w bramie domu, w którym mieściło się biuro ekspozytury. Stan tego samochodu wymagał niezwłocznego przeprowadzenia generalnego remontu. Zleciłem to wykonać w warsztatach Dolnośląskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego, wkrótce po objęciu urzędowania. Zmieniłem też kierowcę. Na miejsce Gerlicha przyjąłem spowinowaconego z bratem Witoldem, Adama Toczka, zamieszkałego w Nieszawie. Wkrótce po odbiorze z warsztatu wyremontowanego samochodu, kierowca poprosił mnie do tego samochodu stojącego w bramie i ze zbiornika na paliwo wyciągnął śmieci. Był to oczywisty sabotaż.

Pod koniec miesiąca marca wyjechałem samochodem przeprowadzić kontrolę w rejonie Jelenia Góra. Wkrótce po wyjeździe z Wałbrzycha poczułem w brzuchu bóle, które stale się nasilały. Gdy dojechalismy w Jeleniej Górze pod dom, w którym mieściło się biuro rejonu, z trudem wszedłem na piętro i po otwarciu drzwi do pokoju, od razu zapytałem siedzące tam obce mi osoby, gdzie ja mogę się położyć. Dopiero kierowca Toczek pośpieszył z wyjaśnieniem, że jestem kierownikiem ekspozytury. Wtedy kierownik rejonu Sufryd wezwał telefonicznie lekarza. Przybyły lekarz polecił przewieźć mnie do szpitala i tam też niezwłocznie się znalazłem. Po przeprowadzonym badaniu, poinformował on mnie, że atak bólu pochodzi od wyrostka robaczkowego i należy przeprowadzić operację. Od razu zapytał czy na to się zgadzam. Z kolei ja zapytałem czy to konieczne. Na to odpowiedział z naciskiem, - tak. Odpowiedziałem, że w tej sytuacji nie mam wyboru, więc się zgadzam. Wtedy zapytał mnie, jaką operację sobie życzę, czy w pierwszej klasie, która będzie kosztować dziesięć tysięcy złotych, czy zwykłą. Na to zapytałem, na czym polega różnica. W odpowiedzi usłyszałem, że w operacji pierwszej klasy uczestniczy dwóch lekarzy i jeśli mimo woli jeden lekarz coś przeoczy, to drugi zwróci na to uwagę, natomiast operację zwykłą, przeprowadza jeden lekarz. Odpowiedziałem, że chciałbym w pierwszej, ale nie mam tyle pieniędzy. Wtedy zapytał mnie, – a ile pan ma? Odpowiedziałem, – tylko pięć tysięcy. Na to usłyszałem odpowiedź, – dobrze niech będzie pięć.

Do zabiegu przygotowywały mnie dwie pielęgniarki, starsza wiekiem siostra zakonna i młodzianka dziewczynka. Rozebrany wstydziałem się bardzo, szczególnie, gdy pomagało to młode dziewczę. Po przygotowaniu, przywieziono mnie na salę operacyjną, gdzie oczekiwało już dwóch lekarzy w rękawicach, na rękach. Od razu dostałem zastrzyk i zasnąłem. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że pielęgniarka trzyma mnie za rękę. Wtedy powiedziałem, – nie trzeba mnie trzymać, a zaraz usłyszałem energiczny głos, – nie śpi, maskę mu dajcie! Od razu zrobiło mi się ciemno w oczach. Gdy się obudziłem leżałem na łóżku, a obok stał kierowca Toczek, który powiedział, – chwała Bogu. Już po wszystkim. Wtedy zapytałem, – co się stało? Ale poruszyłem się i odpowiedzi już nie czekałem, poczułem ból, gdzie była rana. Przez kilka dni po operacji, największą udręką, były gazy atakujące świeżą ranę.

Podczas pobytu w szpitalu, odwiedzał mnie kierownik rejonu Sufryd, a także przychodziła dość często do mnie, młoda Niemka Berwald, zatrudniona w rejonie, jako manipulant na składnicach z kopalniakami. Również dwie pracowniczki ekspozytury, z Wałbrzycha przyjechały odwiedzić mnie w szpitalu. Po szczęśliwym opuszczeniu szpitala i powrocie do Wałbrzycha, pełnienie w zastępstwie funkcji kierownika ekspozytury, przekazałem brakarzowi Dąbrowskiemu.

Wtedy korzystając ze zwolnienia lekarskiego oraz należnego urlopu, pojechałem do Otwocka, aby tam cieszyć się razem z ukochaną rodziną z odzyskanego zdrowia. Dopiero z ust moich, Helenka dowiedziała się o pobycie w szpitalu i przebytej operacji. Powiedziała mi, że gdybym zawiadomił ją o swej chorobie, to od razu przyjechałaby do mnie. W czasie pobytu w Otwocku przyjechał do mnie z Wałbrzycha pracownik ekspozytury dla uzyskania moich podpisów na czekach służących do pobierania gotówki w banku. Przy tej okazji przywiózł niewielką paczkę, wysłaną na mój adres w Wałbrzychu przez brata Helenki, Franciszka, mieszkającego we Francji. Po rozpakowaniu stwierdziliśmy, że był to kawałek słoniny. Przyglądając się bliżej tej słoninie stwierdziłem, że jest przekrojona na dwie równe części, ale skóra pozostała w całości. Po przelamaniu na cięciu, ukazał się w jednym miejscu ledwie widoczny ślad nacięcia. Przy pomocy noża, wydlubałem z tego miejsca złotą dwudziesto dolarówkę.

Tak przyjemnie spędzony z rodziną urlop, szybko się skończył i mój pobyt w Otwocku też musiał się skończyć. Przyjechałem do Wałbrzycha i objąłem urzędowanie. Dość często wyjeżdżałem samochodem kontrolować pracę i zapasy kopalniaków na składnicach. Zdarzyło się, że po kontroli składnic w obrębie Kłocka, zatrzymałem się na noc w Szczytnej. Idąc przez rynek spotkałem Sabinę Drewnowską, którą poznałem i nieraz odwiedzałem w domu jej rodziców w Garwolinie. Było to w okresie okupacji, gdy mieszkalem u Adasia. Nasze spotkanie po latach, przebiegło w serdecznej atmosferze. Razem poszliśmy do mieszkającej tu pani Komoszyńskiej, która w okresie okupacji mieszkała również w Garwolinie. Pracowała tam w urzędzie miasta czy powiatu Garwolin, zajmując się dystrybucją towarów, a w tym również materiałów na ubrania. Dzięki przyjaźni łączącej Adasia z tą panią, również i ja otrzymałem „Bezugschein” uprawniający do zakupu materiału na garnitur.

Mimo, że w Garwolinie nie było okazji do nawiązania znajomości z panią Komoszyńską, to po przedstawieniu się, że jestem bratem Adasia, przyjęcie, jakie tam doznałem, było aż wzruszające. Od razu posłała też chłopca do pana Piotrowskiego z wiadomością, jakiego ma gościa. Pan Piotrowski za okupacji był wójtem w gminie Wola Rębkowska, położonej w pobliżu stacji kolejowej Garwolin. Przyszedł on niezwłocznie. Niemal ze wzruszeniem mówił, że gdyby nie doszło do przypadkowego spotkania z panią Sabiną na rynku ominęłaby nas ta wielka przyjemność obecnego spotkania.

Z nastaniem lata postanowiłem przewieźć rodzinę z Otwocka do Wałbrzycha. Helenka odnosiła się z rezerwą do tego pomysłu i dlatego postanowiliśmy wspólnie, że w Wałbrzychu zamieszka nas troje, a mama Helenki pozostanie jeszcze na miejscu i ewentualnie przyjmie kogoś do wspólnego zamieszkania. Na moją prośbę, otrzymaliśmy z dyrekcji Centrali w Katowicach samochód do przewozu tylko niezbędnych rzeczy. Podróż naszej trójki, prowadziła przez Katowice, gdzie noc spędziliśmy w hotelu. Następnego dnia, po długim załatwianiu formalności na starej granicy państwowej, znaleźliśmy się szczęśliwie w mieszkaniu na ulicy Przemysłowej w Wałbrzychu. Już po niedługim czasie pobytu w Wałbrzychu, Helenka oceniła, że wszystko było by dobrze, gdyby nie otoczenie, zarówno powietrze jak i ludność. Mówiła, – tu nawet psy szczekają po

niemiecku. Istotnie na ulicy słycać było język niemiecki, albo żydowski, bo Żydów w Wałbrzychu było dużo. Jednego dnia, przy pięknej pogodzie, Helenka położyła koc na trawniku rosnącym w podwórku i opalała się razem z dzieckiem. Danusia oczywiście biegała boso po trawniku i wtedy Helenka zobaczyła, że jej stopki pod spodem, stały się czarne od sadzy. To ją tak zraziło do Wałbrzycha, że powiedziała stanowczo, – ja tu mieszkać nie będę. Nie było argumentu, aby zmienić zdanie. Wkrótce nastąpiła przeprowadzka z powrotem do Otwocka. W Wałbrzychu, znów mieszkalem sam.

Pewnej letniej niedzieli, po powrocie z kościoła po mszy świętej, położyłem się spać. Po południu przygotowałem sobie obiad i wtedy przyszedł do mnie kierowca Toczek z wiadomością, że był tu mój kuzyn, który przyjechał z Francji. Pytał o mnie, ale gdy usłyszał, że ja śpię nie pozwolił mnie obudzić. Powiedział, że przyjdzie później i wyszedł. Istotnie, później przyszedł Franciszek, brat Helenki. Pierwsze w życiu nasze spotkanie i przywitanie było bardzo serdeczne, ale i z wyrzutem, dlaczego nie pozwolił mnie obudzić. Na to odpowiedział, że zna dobrze, co to jest zmęczenie i potrzeba odpoczynku. A przecież on sam, po tak długiej podróży pociągiem, potrzebował odpoczynku bardziej, niż ja. Ale taki był ten Franek, kochany brat Helenki. Po paru dniach pobytu Franka w Wałbrzychu obaj pojechaliśmy do Otwocka. Jakie było powitanie Franka przez mamę i jego siostrę, tego nie łatwo byłoby opisać. Tylko tyle można wspomnieć, że obie płakały, ze szczęścia.

Do Wałbrzycha wróciłem sam. Tutaj atmosfera w pracy, stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. Były powody do podejrzeń o popełnienie nadużyć rzutujących na aktualny stan zakupionego użytku tartaczno-go znajdującego się zarówno w lesie jak i na składnicach. W związku z tym wystąpiłem do dyrekcji Centrali w Katowicach o przeprowadzenie kontroli w tym zakresie. Wniosek mój został przyjęty i do zbadania tej sprawy wyznaczono kierownika ekspozytury w Poznaniu Szczyrbę i brakarza z Katowic, Strzebińczyka. Kwaterowali oni w domu, w którym znajdowała się stołówka. Za ich przykładem również i ja przenieśliem się do tego domu i tam miałem oddzielny pokój i wyżywienie na miejscu.

Będąc we wrześniu na comiesięcznej naradzie kierowników ekspozytur w Katowicach, rozmawiałem z dyrektorem o ewentualnym moim przeniesieniu z Wałbrzycha do pracy w ekspozyturze Warszawa. Wyraziłem wtedy zadowolenie i wdzięczność za ten pomysł, bo wreszcie będę mógł mieszkać z rodziną. Po tej rozmowie otrzymałem, podpisane w zastępstwie naczelnego dyrektora, pismo z dnia 29. 9. 1947 r. następującej treści: Ob. Nowakowski Nikodem Ekspozytura Wałbrzych. Ze względu na terminowe zaopatrzenie Przemysłu Węglowego w materiały drzewne i zwiększenie wydajności pracy, oraz konieczność wprowadzenia lepszej organizacji terenu – przenosimy niniejszym Obywatela z dniem 1 października 1947 r. na stanowisko zastępcy kierownika Ekspozytury w Warszawie. Szczęść Boże! Pieczęć Centrala Przemysłu Węglowego i podpis w/z nieczytelny.

Z dniem 1 października 1947 r. otrzymałem w tej sprawie drugie pismo, o treści jak następuje: ‘Ob. Nowakowski Nikodem Ekspozytura Warszawa. Z dniem 1 października 1947 r. przenosimy Obywatela z zajmowanego dotychczas stanowiska Kierownika Ekspozytury Wałbrzych, na stanowisko Zastępcy Kierownika Ekspozytury w Warszawie z dotychczasowym uposażeniem w/g kat 5 – ej. Szczęść Boże! Pieczęć: Centrala Dostaw Drzewnych Przemysłu Węglowego’. Podpis nieczytelny (inny inż. na piśmie poprzednim).

Aby zakończyć temat mojego przeniesienia z Wałbrzycha do Warszawy, przytaczam poniżej treść zaświadczenia z dnia 15 października 1954 r. podpisanego przez naczelnego dyrektora inż. Józefa Bałabana, zastępcę dyrektora do spraw technicznych inż. Mieczysława Wąsowicza, zastępcy dyrektora do spraw ekonomicznych Aleksandra Nurskiego i zastępcę dyrektora do spraw administracyjnych Floriana Nowaka.

Zaświadczenie: Ze strony Zarządu Centrali Dostaw Drzewnych Przemysłu Węglowego w Stalinogrodzie niniejszym zaświadcza się, że ob. Nowakowski Nikodem syn Wawrzyńca i Bronisławy urodzony 1 maja 1917 r. w Milżynie powiat Włocławek zamieszkały w Otwocku ul. Prądyńskiego nr 15 pracuje w naszym przedsiębiorstwie od 1 lipca 1945 r. i nadal oraz, że zajmował kolejno następujące stanowiska:

1.7.45 – 28.2.46 r. – Kierownik Rejonu Brakarskiego  
Skierniewice Ekspozytura Łódź  
1.3.46 – 4.12.46 r. - Referent techn. Ekspozytura Łódź  
5.12.46 – 31.1.47 r. – Kierownik Ekspoz. Zielona Góra  
1.2.47 – 30.9.47 r. - Kierownik Ekspoz. Wałbrzych

1.10.47 – do tej pory- Zastępca kierownika Ekspozytury Warszawa.

Ze stanowiska kierownika Ekspozytury CDDPW Wałbrzych został ob. Nowakowski Nikodem przeniesiony na stanowisko zastępcy Kierownika Ekspozytury CDDPW Warszawa na jego własną prośbę, którą motywował miejscem zamieszkania i stosunkami rodzinnymi. W ciągu pracy w naszym przedsiębiorstwie zajmował ob. Nowakowski Nikodem począwszy od 1 grudnia 1946 r. i nadal zajmuje stanowiska powierzone zazwyczaj inżynierom. Ob. Nowakowski Nikodem w ciągu całego okresu pracy w naszym przedsiębiorstwie wykazywał wysokie walory osobiste, jako pracownik o dużym zasobie wiedzy, śmiałej i samodzielnej decyzji, o dużym poczuciu odpowiedzialności, o dobrych zdolnościach organizacyjnych, bardzo pracowity i ambitny, dbały o współpracowników i dobrze uświadomiony społecznie. Zaświadczenie to wydaje się celem przedłożenia go w N.O.T. dla umożliwienia Ob. Nowakowskiemu Nikodemowi przyjęcia na kurs korespondencyjny przygotowawczy na tytuł inżyniera w zakresie technologii drewna. Stalingród, dnia 15 października 54 r. Pieczęć: Centrala Dostaw Drzewnych Przemysłu Węglowego przedsiębiorstwo państwowe.

Opuszczone przeze mnie stanowisko kierownika ekspozytury Wałbrzych, dyrektor naczelny Centrali powierzył Karolowi Wojciechowskiemu. Protokół zdawczo – odbiorczy podpisaliśmy obaj 25 września 1947 r. Przeprowadzka do Otwocka rozpoczęła się już wcześniej. Zarówno przedmioty gospodarstwa domowego jak i otrzymany na deputat węgiel, zostały przewiezione samochodem Centrali. Helenka z wielkim zadowoleniem przyjęła mój powrót do Otwocka tym bardziej, że zmiana stanowiska, nie pociągnęła za sobą żadnej straty, zarówno w wynagrodzeniu jak i przy przeprowadzce.

Biuro ekspozytury w Warszawie mieściło się przy ulicy Lwowskiej 11 w drugim podwórzu na drugim piętrze. Był to pokój, w którym pracowały trzy osoby: kierownik Komar Stanisław oraz Sojczyńska Zofia i Kawęcki Eugeniusz. Pokój był bez okien. Światło dzienne wpadało przez oszklone drzwi prowadzące na balkon od podwórza. Z kierownikiem Komarem spotykałem się w czasie comiesięcznych porad kierowników ekspozytur odbywanych w dyrekcji Centrali w Katowicach. Znajomość ta ułatwiła nawiązać od razu wzajemność życzliwych stosunków, które jak się okazało nie uległy zmianie, przez kilkuletni okres pracy. Niemal codziennie przychodził też do biura ekspozytury, Teodor Fichtner. Starszy wiekiem właściciel całej posesji przy ulicy Lwowskiej 11. Spełniał on rolę łącznika pomiędzy dyrekcją Centrali w Katowicach a urzędami centralnymi w Warszawie.

Zakres działania ekspozytury Warszawa obejmował tereny trzech dyrekcji lasów państwowych białostockiej, olsztyńskiej i siedleckiej, pokrywające się z granicami województwa białostockiego, olsztyńskiego i warszawskiego. Zagadnienia i zakresy pracy występujące w biurze ekspozytury, dostatecznie poznałem pracując dotychczas w biurach trzech ekspozytur. Znając również pracę na składnicach, działalność swoją w ekspozyturze Warszawa, rozpocząłem od poznawania terenu i warunków, w jakich prowadzone były prace na składnicach dwunastu rejonów, a mianowicie: w Białostockim: Białystok i Ełk, w Olsztyńskim: Biskupiec, Działdowo, Giżycko, Ostróda, Susz, Szczytno, Wielbark i w Warszawskim: Garwolin, Gostynin, Myszyniec. Do objazdu tych terenów służył mi samochód, obsługiwany przez doświadczonego kierowcę o długim stażu pracy w zawodzie Teofila Młodawskiego. Aby dotrzeć do najdalej położonych od Warszawy składnic, trzeba było pokonywać dziesiątki i setki kilometrów. Tak oddalone były składnice przy stacjach kolejowych Stożne, Kowale Oleckie, Botkuny i Gołdap w pobliżu granicy z Litwą. Blisko granicy z Białorusią znajdowały się składnice Czarna Wieś, Waliły, Hajnówka, Kleszczele. Najdalej na zachód od Warszawy położone były składnice Gostynin, Łąck i Płock Radziwie.

Podróże odbywałem nie tylko do składnic z drewnem kopalniakowym. Oceniałem również użytek tartaczny iglasty zakupywany w lesie i wywożony do stacji kolejowych przez opłacanych

wozaków. Zdarzyło się przy tym, że jednego dnia będąc w lesie nadszedł wieczór i zmuszony byłem nocować u gospodarza na wsi nie opodal tego lasu. Na kolację gospodyni podała na talerzu rosół z kluskami a gospodarz komentował, – krowa nam się zmarnowała i mamy mięso. Po kolacji położyłem się do przygotowanego w pokoju łóżka, ale pchły nie pozwoliły mi zasnąć. Całą noc spędziłem na krześle. Inaczej było w miasteczku Susz. Po zameldowaniu się w recepcji hotelu, dostałem klucz do pokoju, w którym było niezaścielone łóżko z widoczną brudną pościelą. Na zwróconą w ostrej formie uwagę, pani z recepcji, poprosiła abym zaczekał i wyszła. Po kilkunastu minutach wróciła z mężczyzną z zawiniątkiem w ręku. Weszli oboje do pokoju i po chwili wyszli wskazując, że mogę tam wejść. Stwierdziłem czyste powłoki, a na miejscu prześcieradła, biały obrus. Podobna historia z brudną pościelą w hotelu, spotkała mnie również w Gostyninie, ale tam, przy zmianie obyło się bez obrusa.

Podczas pobytu na jednej z największych w ekspozyturze składnic Czarna Wieś, w rejonie Białystok, zwrócił się do mnie pracownik nadleśnictwa z zażaleniem na kierownika rejonu Tadeusza Warzechę, bo odmawiał on podpisania protokołu zdawczo – odbiorczego na zabranych ponad trzysta metrów sześciennych dłużyc kopalniakowych. Zapytany w tej sprawie Warzecha, nie potrafił jednoznacznie udzielić wyjaśnienia. Z jego wypowiedzi wynikało, że nie było rozgraniczenia pomiędzy drewnem odebranych protokołem zdawczo – odbiorczym, a drewnem nieodebranych. Dowożone drewno z lasu nieraz składano na mygły z drewnem już przekazanym naszemu rejonowi.

Sytuacja była niezwykle zagmatwana. Ze względu na to, że spór toczył się o masę drewna dużej wartości i nie było widoków na polubowne jego rozwiązanie, należało poświęcić wiele czasu na drobiazgowo badanie i porównywanie dowodów przedłożonych z obu stron. Szczegółowa analiza wszystkich tych dokumentów, utwierdziła mnie w przekonaniu, że żądanie podpisania protokołu odbioru spornej masy drewna, jest bezzasadne. W tej sytuacji, dyrekcja lasów państwowych, wystąpiła do komisji arbitrażowej ze skargą o zasądzenie od Zakładów Drzewnych sumy, jaką przedstawiała wartość trzystu metrów sześciennych dłużyc kopalniakowych.

Po wyznaczeniu przez komisję arbitrażową terminu rozprawy, zwróciłem się do naczelnego dyrektora w Katowicach, o udzielenie mi pełnomocnictwa do udziału w tej rozprawie w charakterze arbitra ze strony Zakładów. Pełnomocnictwo takie otrzymałem. W rozprawie wziął również udział radca prawny przybyły z Katowic. Jego wystąpienie ograniczyło się do oceny strony formalnej procesu i opuścił salę. Zgodnie z obowiązującą procedurą, jako pierwszy wystąpił arbiter ze strony dyrekcji lasów państwowych, podtrzymując wniosek o zasądzenie od Zakładów na rzecz dyrekcji lasów sumy, jaką przedstawiała wartość ponad trzystu metrów sześciennych dłużyc kopalniakowych.

Po udzieleniu mi głosu, swoje stanowisko przedstawiłem stwierdzeniem o braku podstaw do żądania zapłaty. Jako uzasadnienie przedłożyłem szczegółowo opracowane rozliczenie drewna pobranego od lasów państwowych na podstawie protokołów zdawczo – odbiorczych. Ilości drewna wysłanego do kopalń z dodaniem zapasu znajdującego się na składnicy, pokrywały się z masą drewna przyjętego na podstawie protokołów zdawczo – odbiorczych. Po moim wystąpieniu, arbiter z urzędu zwrócił się do arbitra strony skarżącej, a ten zrezygnowany machnął tylko ręką. Protokół z posiedzenia komisji o odrzuceniu skargi, podpisaliśmy wszyscy arbitrzy. Rozprawa odbyła się w siedzibie komisji arbitrażowej w Białymstoku.

Pewnego dnia otrzymaliśmy dyspozycję dyrektora z Centrali w Katowicach, udzielić pomocy delegowanemu do naszej ekspozytury pracownikowi przy werbowaniu robotników do pracy w tartakach na Śląsku. Już następnego dnia rano, wyjechaliśmy w tej sprawie samochodem, kierując się na teren województwa białostockiego w okolice miasta Grajewa. Po kilku godzinach jazdy, trafiliśmy do wioski położonej o kilkanaście kilometrów od Grajewa jadąc w kierunku Rajgrodu. Pracownik Centrali udał się do sołtysa, a ja stałem przy samochodzie. Wkrótce podeszła starsza kobieta i niemal z płaczem zwróciła się do mnie w przybliżeniu tymi słowami, – proszę pana, przysyła mnie do pana córka, bo usłyszała, że przyjechał tu samochód i powiedziała, – niech mama idzie, bo to przyjechał jakiś wielki pan samochodem i poprosi, to może przywiózłby do mnie doktora. Na moje pytanie o chorobę córki, odpowiedziała, – nie może chodzić, bo ciecze jej z kolana. Zapytałem też, – ile córka ma lat? Odpowiedziała, – dziewiętnaście. Od razu wspomniałem o swojej chorobie, gdy miałem dziewiętnaście lat i wezbrała się we mnie litość i postanowienie, że

muszę jej pomóc. Kobiecie odpowiedziałem, że postaram się przywieźć lekarza, ale nie wiem, czy to mi się uda. Wtedy kobieta odeszła. Zapytałem też softysa o chorą. Potwierdził, co powiedziała matka i dodał, że to są biedni ludzie.

Pracownik Centrali załatwił swoje sprawy i mieliśmy wracać do Warszawy. Powiedziałem mu jednak, że na tym terenie mam do załatwienia jeszcze inne sprawy i muszę tu pozostać. Odjechał, więc pociągiem. Pozostałem w Grajewie z postanowieniem, że nie wyjadę stąd, dopóki nie zawiozę tej chorej do lekarza. W pokoju wynajętym w prywatnym mieszkaniu cały wieczór upłynął mi na rozmyślaniu, gdzie i do kogo udać się o pomoc w skierowaniu lekarza do chorej. Nie znam przecież tutaj ludzi, którzy mogliby mi w tym pomóc. W końcu postanowiłem, że udam się do powiatowego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, najwyższej władzy ludowej i z tym zasnąłem.

Następnego dnia, o ósmej rano wszedłem do pokoju, gdzie urzędowała sekretarka. Na moje zapytanie, czy jest sekretarz, odpowiedzią było pytanie, – w jakiej sprawie? Ja widząc, że z sekretariatu wychodzą tylko jedne drzwi, odpowiedziałem, – to już sekretarz się dowie i otworzyłem drzwi, za którymi przy biurku siedział sekretarz. Po przedstawieniu się i poinformowaniu, że na teren powiatu Grajewo przyjechałem z Warszawy służbowo, w przybliżeniu przemówiłem tymi słowami – czy wy wiecie, co się na terenie waszego powiatu dzieje? We wsi dziewiętnastoletnia dziewczyna od lat ciężko choruje i nie ma żadnej opieki lekarskiej, bo ją na to nie stać. Wtedy sekretarz wtrącił, – to nie do mnie. A ja mu na to, – ach tak, to was nie interesują ludzkie sprawy na terenie waszego powiatu? Informuję was, że zainteresują się tą sprawą odpowiednie władze w Warszawie, dokąd dziś wracam. Wtedy, posługując się popularnym na Kujawach powiedzeniem ‘rura mu zmięknęła’, zapytał, – o co chodzi? Na to odpowiedziałem, żeby wskazał lekarza, którego przewiozę do chorej służbowym samochodem. Wtedy podniósł słuchawkę telefonu i zapamiętane niektóre jego słowa, – jest tu u mnie przedstawiciel z Warszawy.... spotkał na wsi chorą.... potrzebny jest lekarz. Po czym odłożył słuchawkę i powiedział do mnie, – będzie lekarz po południu. Obecnie bada dziewczyny do Służby Polsce. Proszę się zgłosić w szkole na ulicy.. Odpowiedź moja, – dziękuję, do widzenia.

Po południu zabraliśmy młodą, sympatyczną doktór i wkrótce byliśmy przed domem z chorą. Z sieni otworzyłem drzwi do izby i... w progu stanęliśmy z panią doktór jak skamieniali z wzajemnym spojrzeniem na siebie. W izbie był dosłownie rój much i w powietrzu i na ścianach. W kącie naprzeciw po lewej stronie, na słomie rozłożone prześcieradło, które poruszyło się i z pod tego prześcieradła, pokazała się główka z bladziutką twarzą i blond włoskami. Powiedziałem do niej, – przyjechała do ciebie pani doktór. A ona na to odpowiedziała (dosłownie), - wiedziałam, że przyjedzie, bo śniła mi się Matka Boska i powiedziała mi, że doktór do mnie przyjdzie.

Po przeprowadzonym badaniu, lekarz orzekła, że konieczne jest leczenie w szpitalu. Wtedy poprosiłem o skierowanie do szpitala w Warszawie przy ulicy Oczki. Do matki chorej, zwróciłem się o przygotowanie i ubranie córki, do przewiezienia jej do tego szpitala. Wtedy matka ze złożonymi rękami prosiła mnie, aby jej nie zabierać, bo zupełnie nie jest przygotowana. Oczywiście musiałem ustąpić i chora musiała zostać w domu. Przed odjazdem, matka prosiła, aby jeszcze zaczekać, bo dla pani doktór chce złapać kogutka. Poradziłem jej, aby tego kogutka przeznaczyła dla chorej i odjechaliśmy. W drodze powrotnej, pani doktór poprosiła o zabranie jej do Warszawy. Skorzystała z okazji, by jak powiedziała, odwiedzić narzeczonego.

Po paru miesiącach od opisanego wydarzenia jadąc na teren województwa białostockiego, poleciłem kierowcy zjechać z trasy i podjechać do wioski gdzie mieszkała chora dziewczynka. Nazywała się Figura. W izbie, gdzie leżała chora, zastałem matkę i zapytałem o córkę. Odpowiedziała mi wskazując na stół, – niech pan przeczyta list od córki, który dziś otrzymałam. W liście tym, pisanym z zakładu w Konstancinie, przeczytałem takie wiadomości: noga mnie nie boli i mogę chodzić, dobrze się czuję, przyjeżdż mam i zabierz mnie, bo bardzo za tobą tęsknię. Ze swojej strony bardzo gorąco odradzałem matce zabrania jej z tego zakładu i przywiezienie do tej nędzy w domu.

Odbываяc samochodem podróże liczące setki i tysiące kilometrów zdarzały się również sytuacje grożące poważnym niebezpieczeństwem. Najtragiczniejsza taka sytuacja zaistniała podczas jazdy na szosie prowadzącej z Ciechanowa do Przasnysza. W gęstej mgłę przy zmniejszonej

szybkości, nagle przed maską samochodu, wyłonił się jadący w poprzek szosy, parowóz kolejki wąskotorowej. Kierowca Młodawski, silnym ruchem kierownicy w prawo, skierował samochód do głębokiego na kilka metrów rowu, gdzie chłodnica oparła się o dno. Niezablokowane drzwi, pozwoliły nam wydostać się na zewnątrz. Przybyli wkrótce na miejsce wypadku mężczyźni, pomogli wyciągnąć samochód z rowu i pojechaliśmy dalej. Drugi groźny wypadek pozostał w pamięci, gdy jadący od Grajewa do Osowca samochód, wylądował na wysokiej skarpie przydrożnego rowu.

Zdarzały się również niespodzianki przyjemne. Do takich można zaliczyć w czasie przejazdu samochodu z terenu olsztyńskiego do Ełku. Był to już późny wieczór, a przed nami do pokonania jeszcze kilkadziesiąt kilometrów, a przy tym świadomość, że w Ełku nie ma hotelu. Droga prowadziła przez Giżycko położone nad jeziorem. Jadąc ulicą miasta, naraz ukazał się duży, bogato oświetlony dom, a w miarę zbliżania się dochodziła muzyka. Był to hotel i restauracja. Oczywiście wolne pokoje i kolacja były na zamówienie.

Z okazji pobytu w Ełku warto wspomnieć, że na terenie tego rejonu, jadąc pociągiem trasą Olecko- Suwałki, widać było często jak od stacji kolejowej Raczki, zdążyła polną drogą, gromadki ludzi do pobliskiej wioski. Jak powszechnie głosiła wieść, w wiosce tej mieszkał znany w okolicy znachor nazwiskiem Karaś.

Na zakończenie opisu wspomnień o zdarzeniach i obserwacjach podczas pobytu na terenie rejonu Ełk wspomnę o osiągniętym tu osobistym, życiowym sukcesie. Zdarzyło to się w czasie podróży do tego rejonu odbytej w celach kontrolnych i organizacyjnych przez czwórkę pracowników ekspozytury, włączając mnie. Ponieważ w Ełku nie było hotelu, na nocleg pojechaliśmy do Augustowa. Po kolacji spożytej w restauracji, każdy z nas, w tym jedna kobieta, sięgnęliśmy po papierosa. Po paru minutach rozmowy, zwróciłem się do obecnych przy stoliku z propozycją zawartą w pytaniu, – a może przestalibyśmy palić? Po upływie chwili, wszyscy propozycję przyjęli i wygasiliśmy zapalone papierosy. Ja pudełko z resztą papierosów zgmiotłem i wrzuciłem do kosza. Wkrótce po podjęciu tej decyzji, rozeszliśmy się do swoich pokoi. Rano, śniadanie spożyliśmy w barze mlecznym. Po śniadaniu, przed wejściem do samochodu, koleżanka, kolega i kierowca, zapalają papierosy. Wtedy zapytałem, – a co postanowiliśmy po kolacji? Na to koleżanka odpowiedziała, – ja żartowałam. Podobnie tłumaczyli się mężczyźni. Wówczas ja zdecydowanym głosem powiedziałem, - nie palę. W samochodzie, koleżanka siedząca na tylnym siedzeniu, dmuchała dymem na mnie siedzącego obok kierowcy. Tak było w drodze do Ełku, i tak było w drodze powrotnej do Warszawy. To mnie tym bardziej mobilizowało do wykazania, że powzięte postanowienie ‘a ja wam pokażę!’ Będzie wykonane.

Oczywiście głąd dymu z papierosa bardzo mnie męczył, biorąc pod uwagę, że w dniach pracy, wypalałem po około dwadzieścia sztuk dziennie. Brak takiej masy dymu w organizmie, odzywał się szczególnie dokuczliwie po jedzeniu. Najlepszym lekarstwem na tą udrękę był sen, którego mi zawsze brakowało. Dlatego też po powrocie z pracy i spożyciu obiadu, z tego dobrodziejstwa najczęściej korzystałem. Walka z tym nałogiem trwała około trzech miesięcy. Najważniejszym osiągnięciem z tej walki jest fakt, że po około dwudziestu latach ponoszonych wydatków na zakup papierosów i zatruwaniu się dymem zwycięstwo odniósł zdrowy rozsądek w parze z ambicją.

Podróżując wygodnie samochodem, często polecałem kierowcy zabierać do samochodu spotykanych ludzi starszych, lub w czasie złej pogody, idących w kierunku jazdy samochodu. A to niektóre tkwiące w pamięci wyświadczone usługi. Padał gęsty deszcz, niemal ulewa, a na nieosłoniętym przystanku autobusowym stała bez żadnej osłony kobieta z jednym dzieckiem na rękę, a przy jej nogach stało drugie małe dziecko. Ociekające wodą, zupełnie przemoczone zabraliśmy do samochodu.

Innym razem jechaliśmy od składnicy Waliły do odległego ponad 30 km Białegostoku. Wkrótce spotkaliśmy prawosławnego księdza, idącego przed nami. Zaproszony wszedł do samochodu, miał, bowiem do przejścia jeszcze około dwie trzecie tej trasy. Wspólna podróż, upłynęła na rozmowie w bardzo przyjemnej atmosferze.

Po paru latach pracy, kierowcę Młodawskiego zastąpił starszy już mężczyzna Zakrzewski. W deszczowy dzień jechaliśmy z Białegostoku do Hajnówki. Przed nami szła gromadka kobiet.

Zgodnie ze znanym mu zwyczajem, kierowca zatrzymał samochód, a wtedy do wnętrza wcisnęło się pięć kobiet. Nie było mowy o zamknięciu drzwi, a żadna nie chciała wyjść. Trzeba było wszystkie wyciągać.

Oprócz użytku tartaczno-iglastego do produkcji tarcicy, na potrzeby górnictwa istniało również zapotrzebowanie kopalń na prowadnice szybowe. Do produkcji tych prowadnic, nadawało się tylko drewno dębowe o ciągłej słoistości. W celu znalezienia takiego drewna, kilkakrotnie jeździłem do Puszczy Białowieskiej i do tartaku w Hajnówce. Wskazane przeze mnie sztuki, były zarówno wycinane w lesie jak i zabierane z placu tartaczno-iglastego. Jednego dnia, późnym popołudniem, jechaliśmy z Hajnówki do Białegostoku. Widząc hotel w Bielsku Podlaskim, postanowiłem zatrzymać się tutaj na noc. W trosce o zabezpieczenie samochodu przed kradzieżą zwróciłem się do dyżurnego milicjanta w komendzie powiatowej milicji, o zezwolenie na postawienie samochodu na podwórzu komendy. Milicjant wyraził zgodę i kierowca wjechał na wskazane miejsce, zamknął drzwi i udał się do hotelu. Następnego dnia, wczesnym rankiem, usłyszałem stukanie do mojego pokoju. Po otwarciu drzwi, zobaczyłem kierowcę, który niemal z płaczem zawołał, – samochód mamy rozbity!

Po wejściu na podwórze powiatowej komendy milicji, zobaczyłem nasz samochód stojący z otwartymi na oścież drzwiami, a także zarysowania i wgniecenia blachy nadwozia. Drzwi przednie nie dawały się zamknąć. Po kilku minutach, pojawił się na podwórzu oficer milicji, a za nim, niemal biegiem przychodzili milicjanci, których oficer ustawił w dwuszeregu i krzychał najordynarniejszymi słowami w języku białoruskim. Z potoku tych słów, można było odnotować tylko jego podkreślenie, że nasze zaufanie do milicji zostało podeptane. Zostawiając tu samochód na noc, byliśmy przecież przeświadczeni, że jest to najbardziej bezpieczne miejsce.

Po zakończeniu przez oficera milicji tej niezwykle burzliwej reprymendy, kierowca stwierdził, że silnik samochodu nie jest uszkodzony. Z zamocowanymi odpowiednio drzwiami przednimi otwartymi na oścież, wyjechaliśmy na ulicę, kierując się do szosy prowadzącej do Białegostoku. W opisanej sytuacji, szybkość jazdy nie przekraczała szybkości dzieci, biegnących z krzykiem obok takiego samochodu, przy przejeździe przez każdą wieś. Kierowca Zakrzewski był tą „asystą” tak podenerwowany, że zszedł nagle z szosy, ominął drogowy znak zakazu jazdy i wjechał na polną drogę prowadzącą do widocznej w dole wody. Widząc groźące niebezpieczeństwo topieli, chwyciłem silnie za ręczny hamulec i samochód stanął. Wtedy dopiero kierowca oprzytomniał i samochód wycofał. Podobna sytuacja powtórzyła się w Białymstoku, na głównej ulicy Lipowej. Tu o mało nie najechał na jadący przed nami wóz konny. Również i tu chwyciłem za ręczny hamulec, a kierowca zaparł się nogami i krzyknął, – trzymać go!

Od tych wydarzeń minęło parę tygodni. Do biura ekspozytury, które wówczas mieściło się w domu przy ulicy Mianowskiego na Ochocie, przyszedł milicjant i zapytał o moje nazwisko. Gdy się zgłosiłem otrzymałem nakaz stawienia się w głównej komendzie milicji w Pałacu Mostowskich. Po jego wyjściu, wszyscy współpracownicy patrzyli na mnie z przeświadczeniem, że jest to ostatni dzień obecności mojej w tym biurze. Powszechna, bowiem wieść głosiła, że z Pałacu Mostowskich, nikt z wezwanych dotąd nie wrócił. Ja również z tym przeświadczeniem tam poszedłem. Po zgłoszeniu się o wyznaczonej godzinie, kazano mi czekać. Czekałem długo, długo, mimo, że w tym czasie, samotnie siedzącego w pokoju milicjanta nikt nie absorbował. Taka też była ich metoda dręczenia. Wreszcie drzwi się otworzyły i na wezwanie wszedłem do pokoju. Po wstępnych formalnościach zostałem zapytany o zdarzenie z samochodem w Bielsku Podlaskim. Po skończeniu zeznania, zdążyłem jeszcze wrócić do biura ekspozytury.

Częste i długie podróże, jakie odbywałem po terenie ekspozytury w granicach trzech województw wpływały nie tylko korzystnie na wyniki działalności Zakładów Drzewnych, ale przynosiły również znaczące korzyści dla naszego domu. Za czas spędzony w podróży, otrzymywałem dietę a zwrot kosztów noclegów następował na podstawie rachunków, względnie w postaci ryczałtu. Ponadto przejeżdżając przez różne miasta i miasteczka w dni targowe, zawsze zatrzymywaliśmy się, aby zaopatrzyć się w artykuły przywożone na sprzedaż przez ludność wiejską. Kupowałem drób, jaja i owoce. Ceny tych artykułów na targach, w porównaniu z cenami w Otwocku, były około połowy niższe. Kupując te artykuły, zawsze poświęcałem czas, aby znaleźć i



wybrać najdorodniejsze, a bywało, że i rzadko spotykane. Kupiłem na przykład gęsi z czubkami piór na głowach. Kupiłem też na targu w Siedlcach kogutka całego jednolicie upierzonego piórkami białymi i czarnymi jednakowej wielkości. Na główce miał grzebyczek jak rozwijająca się różyczka i duże białe uszka.

Przy tak rozległym terenie ekspozytury, wyjazdy samochodem rozpoczynałem przeważnie na początku tygodnia, a do Warszawy wracałem w piątki lub soboty. Te ostatnie były wówczas sześciogodzinnymi dniami pracy. Z Warszawy do Otwocka wracałem pociągiem. Odbywane podróże służbowe jakkolwiek częste i przeważnie długie, pochłaniały mi mniej dni w miesiącu niż praca w biurze ekspozytury. Przejazdy pociągiem w obie strony wraz z dojściem do stacji kolejowych w Otwocku i Warszawie, łącznie z oczekiwaniem na pociąg po pracy, zabierały mi około trzech godzin.

Praca w biurze ekspozytury, podobnie jak podczas podróży służbowych do rejonów, w dużej mierze polegała na prowadzeniu kontroli. Kontrolowałem dokumenty dotyczące zarówno gospodarki materiałowej jak i finansów. Wśród różnych wydatków, jakie występowały w rejonach, płacono również za przewóz do stacji kolejowej zakupionego w lesie użytku tartaczno. Jeśli występowało więcej, niż jeden wozak, sporządzano listę wypłat podobnie jak lista płacy dla robotników. Taką listę wypłat z kilkunastoma nazwiskami wozaków, przedłożył mi brakarz z rejonu Wielbark. Od razu rzuciło mi się w oczy podobieństwo wszystkich podpisów na tej liście. Siedzący przy moim biurku zainteresowany brakarz za chwilę wstał i wyszedł z biura ekspozytury. Po drodze powiedział do jednego ze swoich kolegów, że obserwując mnie przy oglądaniu tego dokumentu, zorientował się o wykryciu podrabiania podpisów. Zgłoszone do milicji doniesienie o popełnieniu przestępstwa, nie pociągnęło za sobą skutku.

A to jeszcze jedno wspomnienie z okresu pracy w biurze ekspozytury przy ulicy Lwowskiej. Z centrali w Katowicach, wszyscy pracownicy biura otrzymali polecenie stawienia się w dniu 6 stycznia, to jest w oficjalne wówczas święto Trzech Króli, w biurze ekspozytury, na spotkanie z pracownikiem biura personalnego Centrali. A oto jak przebiegało moje spotkanie. Na początku zwrócił się do mnie, abym opowiedział swój życiorys. W trakcie mojego opowiadania, on śledził to, co ja napisałem w swoim życiorysie dołączonym do mojego podania o przyjęcie do pracy. Następnie zapytał czy należę do partii (oczywiście Polskiej Partii Robotniczej), odpowiedziałem, że nie należę. Pytanie a dlaczego? Moja odpowiedź była, – bo mnie polityka nie interesuje. Wtedy popłynął potok jego słów przekonywania, żebym wstąpił do partii. Jeszcze raz odpowiedziałem, że nie interesuje mnie polityka, że zajmuję się sprawami gospodarczymi. Ale on nie poprzestał. Wtedy zapytałem go, – czy wy chodzicie do kościoła? Na to on w uniesieniu, – ja do kościoła?! A ja na to, - ja chodzę, ale was do chodzenia nie będę namawiał; do widzenia.

Lokalizacja biura ekspozytury zmieniona była kilkakrotnie. Poza przeprowadzką do domu przy ulicy Mianowskiego, o czym była już wzmianka, biuro mieściło się przy ulicy Kruczej, potem przy ulicy Mysiej i ponownie przy ulicy Kruczej, tym razem w budynku Ministerstwa Górnictwa. Tutaj do pracy trafił Karol Woyciechowski, który był moim zastępcą na stanowisku kierownika ekspozytury Wałbrzych. Dał się on tu poznać, jako niezrównany pamiętnikarz z czasów pracy w okresie przedwojennym na stanowisku starosty powiatowego na wschodzie Polski. Utrwalił mi się w pamięci fragment jego opowiadania o wizytacji, jaką przeprowadzał na terenie tego powiatu, premier generał Sławoj – Składkowski. Otóż na wieść o mającym nastąpić przyjeździe premiera cały teren wokół budynku starostwa, był gruntownie uporządkowany i wymieciony. Tuż przed przyjazdem samochodu premiera, przejeżdżał przed budynkiem starostwa, wóz konny i koń zrobił kupę. Podjechał samochód i wysiadający premier zobaczył to i od razu zapytał mnie, – a to, co? Na to odpowiedziałem, – gówno, panie premierze. I poszliśmy do budynku starostwa.

Generał Sławoj – Składkowski, jako premier, był znany z zaprowadzania porządków, szczególnie na wsi. Wprowadził nakaz budowania przy zagrodach klozetów i stąd powstała popularna na wsi kujawskiej ich nazwa sławojki. Karol Woyciechowski znany był również z tego, że palił dużo papierosów. Pracował w ekspozyturze niedługo. Zmarł w szpitalu z rozpoznaniem nowotworu płuc. Byłem na jego pogrzebie. Niedługo potem zmarł też Teodor Fichtner, wspomniany już właściciel posesji przy ulicy Lwowskiej, gdzie rozpoczęła swoją działalność warszawska

ekspozytura. Zmarły został pochowany na cmentarzu ewangelickim przy ulicy Młynarskiej. Brałem udział w jego pogrzebie.

Po wielokrotnych wystąpieniach zarówno kierownika Komara jak i moich, udało się przekonać dyrektora Centrali w Katowicach do utworzenia ekspozytury na obszarze dyrekcji lasów państwowych Olsztyn. Siedzibą utworzonej ekspozytury było miasto Barczewo. W zamian przyłączono do naszej ekspozytury, odłączone od ekspozytury Kraków trzy rejony: Biłgoraj, Łuków i Zaklików, położone na terenie dyrekcji lasów państwowych Lublin. Wprowadzone w ten sposób zmiany granic naszej ekspozytury spowodowały zmniejszenie się ilości rejonów z 12 do 8 oraz wyeliminowanie asortymentu użytku tartacznego. Ja zyskałem okazję do odwiedzania miasteczka Biłgoraj, tak często nawiedzany przeze mnie podczas okupacji w okresie zamieszkiwania w Tarnogrodzie.

Przedstawione wyżej zmiany spowodowały znaczne odciążenie mnie od wyjazdów służbowych, jakie najczęściej i najdłużej odbywałem na odłączonym terenie. Pozwoliło mi to na szersze niż poprzednio zajmowanie się działalnością społeczną w ramach Związku Zawodowego Górników. Byłem, bowiem członkiem rady zakładowej przy ekspozyturze i zakładowym społecznym inspektorem pracy. Poszerzoną działalność związkową podjąłem w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Odtąd corocznie wybierano mnie w ekspozyturze delegatem na doroczne konferencje sprawozdawczo - wyborcze Zarządu Okręgowego Związku Zawodowego Górników w Warszawie. Na tych konferencjach wybierany byłem do komisji rewizyjnej przy Zarządzie Okręgu, w której pełniłem funkcję przewodniczącego, a także wybierano mnie corocznie delegatem na Krajowy Zjazd Delegatów Związku Zawodowego Górników w Katowicach. Tam uczestniczyłem zawsze w pracach w jednej z powołanych komisji problemowych do opracowania aktualnie występujących zagadnień. Byłem też przewodniczącym jednej z tych komisji. Zachowało się zdjęcie przy mikrofonie.

Moja działalność w Związku Zawodowym Górników nie uszła uwadze również najwyższej władzy tego Związku, o czym świadczy treść otrzymanego pisma: Związek Zawodowy Górników w Polsce Zarząd Główny, Katowice ulica Dąbrowskiego 23 telefony... L.dz. Org./1827/62/G/.W. Katowice dnia 27 grudnia 1962r. Tow. Nikodem Nowakowski Zarząd Okręgowy Związku Zawodowego Górników Warszawa. Uprzejmie zawiadamiamy, iż decyzją Kierownictwa Zarządu Głównego Związku Zawodowego Górników desygnowany został Tow. w skład Rady Nadzorczej ZUS w Warszawie. W Radzie Nadzorczej będzie Tow. reprezentował Zarząd Główny Związku Zawodowego Górników. Prosimy was o aktywne uczestniczenie w jej pracach. Kier. Wydz. Podpis /H. Strzyż/. Chciałbym nadmienić, że w Związku Zawodowym Górników, podobnie jak i we wszystkich innych organizacjach związkowych zrzeszonych w Centralnej Radzie Związków Zawodowych a także w Radzie Nadzorczej Zakładu Ubezpieczeń Społecznych zwracano się do ludzi: towarzysz i towarzyszka bez względu przynależności do partii.

Desygnowanie mnie na członka Rady Nadzorczej Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, było niewątpliwie wyróżnieniem biorąc pod uwagę, że na terenie Warszawy prowadziło wówczas działalność jeszcze dziesięć innych jednostek podległych Ministerstwu Górnictwa z działającymi organizacjami związkowymi. Wyróżnienie to potwierdził jeszcze przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych w piśmie następującej treści: Centralna Rada Związków Zawodowych Warszawa dnia 29 listopada 1965r. Towarzysz Nikodem Nowakowski Przewodniczący Komisji Rewizyjnej Zarządu Okręgowego Związku Zawodowego Górników w Warszawie. Z dniem 26 listopada 1965 r. został Towarzysz powołany do składu Rady Nadzorczej Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych. Podpis nieczytelny. Pieczęć okrągła. Zrzeszenie Związków Zawodowych w Polsce. Centralna Rada Zw. Zaw.

Przez okres członkostwa w Radzie Nadzorczej Zakładu Ubezpieczeń Społecznych trwający od 1 stycznia 1963 roku do 31 października 1966 roku brałem udział w zebraniach plenarnych 2 – 3 razy w roku. Ponadto z powołania prezydium tej Rady, pełniłem funkcję członka w dwóch zespołach orzekających. W zespole orzekającym, pod przewodnictwem generała Orlińskiego, którego po nominacji na ambasadora w Korei, zastąpił pułkownik Działa oraz w zespole Nowodworskiej. Zespół orzekający po przewodnictwem przedstawicieli wojska, wydawał ostateczne

orzeczenia w sprawach emerytur i rent, natomiast drugi zespół, wydawał ostateczne orzeczenia dotyczące zasiłków chorobowych i innych. W posiedzeniach obu tych zespołów brałem udział około 10 razy w miesiącu. W przypadkach nieobecności przewodniczącego zespołu na posiedzeniu, funkcję tę powierzono mnie. Za udział w posiedzeniu, członkowie zespołu otrzymywali wynagrodzenie, przy czym przewodniczący odpowiednio wyższe.

Niezależnie od prac w Radzie Nadzorczej, w dalszym ciągu kontynuowałem prace wynikające z funkcji przewodniczącego Komisji Rewizyjnej przy Zarządzie Okręgu Związku Zawodowego Górników. Poza kontrolami przeprowadzanymi przez komisję rewizyjną w Zarządzie Okręgu, przeprowadzone zostały również kontrole w czterech radach zakładowych wchodzących w skład Okręgu. Były to Rady w ekspozyturach Zakładów Drzewnych Przemysłu Węglowego Szczecinek i Toruń, w Przedsiębiorstwie Geologicznym w Kielcach oraz w Przedsiębiorstwie Hydrogeologicznym w Gdańsku.

Jako przewodniczący komisji, byłem nie raz zapraszany też do udziału w posiedzeniach plenarnych Zarządu Okręgowego Związku. Zdarzyło się też, że brałem udział w posiedzeniu plenarnym na życzenie dyrektora naszej Centrali w Katowicach. Na posiedzenie to Zarząd Okręgu zaprosił dyrektorów wszystkich jednostek podległych Ministerstwu Górnictwa położonych na terenie działalności Zarządu Okręgu Warszawa. W wysyłanych zaproszeniach była prośba do dyrektorów o przedstawienie na tym posiedzeniu informacji na określone tematy. Przybyły z Katowic dyrektor Centrali wstąpił do ekspozytury i zwrócił się do mnie, abym mu na tym posiedzeniu towarzyszył. Gdy na tym posiedzeniu, przewodniczący udzielił głosu dyrektorowi, wskazał on na mnie i wtedy ja odczytałem wręczone mi pisma. Po zakończeniu czytania, głos zabrał członek prezydium zarządu okręgu i poddał niezwykle ostrej krytyce treść tego pisma, jako niewuwzględniającą wytycznych zawartych w zaproszeniu. Na zakończenie swojego wystąpienia postawił on wniosek o odrzucenie tej informacji i zarządzenie informacji nowej, zgodnie z wytycznymi w zaproszeniu. Po tym wystąpieniu, przewodniczący posiedzenia zarządził przerwę w obradach. Wtedy poprosiłem zdenerwowanego dyrektora o pokazanie mi zaproszenia. Okazało się, że odczytane przeze mnie pismo, dokładnie odpowiadało wymogom zawartym w zaproszeniu. Po przerwie, dyrektor poprosił o głos i w swoim wystąpieniu punkt po punkcie obalił zarzuty swojego przedmówcy, który w tym czasie zdołał powtarzać tylko dwa słowa, - przepraszam bardzo. Wkrótce po wystąpieniu dyrektora, przewodniczący zamknął posiedzenie. Nieodprężony jeszcze do końca, dyrektor podając mi rękę i powiedział, - moje uszanowanie. Z dyrektorem tym, a w okresie późniejszym również a jego następcą, spotykałem się także na posiedzeniach prezydium rady robotniczej odbywanych, co miesiąc w katowickiej siedzibie centrali.

Podobnie jak w dyrekcji centrali, zmiana nastąpiła również na stanowisku kierownika warszawskiej ekspozytury. Tu Stanisława Komara zastąpił magister inżynier Arkadiusz Kuśmirek. Z kierownikiem Komarem współpracowałem w ekspozyturze Warszawa ponad 17 lat. Była to współpraca wzorowa. W tym okresie czasu, nie zdarzały się pomiędzy nami poważniejsze nieporozumienie. Podczas nieobecności jednego, zawsze potrafiliśmy wzajemnie się zastępować w sposób nienasuujący zastrzeżeń ze strony zastępowanego. Niejednokrotnie zastępowałem kierownika Komara na odbywanych comiesięcznych naradach kierowników ekspozytur. Na jednej z tych narad, był omawiany temat dotyczący szczegółów pracy na zakładnicach z kopalniakami. Toczył się spór pomiędzy dyrektorem i kierownikami ekspozytur. W pewnym momencie zastępca dyrektora, powszechnie uważany za narzuconego na to stanowisko przez miejscowe władze rządzącej partii, podniesionym głosem odezwał się tymi słowami, – ja tego nie rozumiem, że nie można tego wykonać. Na to odpowiedziałem, – pan tego nie rozumie, bo pan na tym nie zna się. Dyskusja od razu się skończyła. Dyrektor zgodził się ze stanowiskiem kierowników.

Współpraca z kierownikiem Kuśmierkiem, podobnie jak i z jego poprzednikiem, również układała się bardzo dobrze. Wyjeżdżał on często w teren i to mi odpowiadało. Będąc na miejscu, mogłem częściej brać udział w płatnych posiedzeniach zespołów Rady Nadzorczej. Współpraca ta nie trwała jednak długo. Z dniem 31 października 1966 roku, to jest po przepracowaniu 21 lat i 4 miesięcy, rozstałem się z Zakładami Drzewnymi Przemysłu Węglowego. Przybyły z Katowic

dyrektor zapytał mnie przy pożegnaniu, czy nie wyraziłbym zgody na objęcie stanowiska kierownika w nowej siedzibie na terenie miasta Siedlce. Z podziękowaniem, oczywiście odmówiłem.

Ostatnim kontaktem zarówno z dyrektorem jak i organizacjami działającymi w dyrekcji Zakładów Drzewnych Przemysłu Węglowego, było przysłane mi na adres domowy pismo następującej treści: Zakłady Drzewne Przemysłu Węglowego Przedsiębiorstwo Państwowe Katowice, ul. Armii Czerwonej 3 Obywatel Nikodem Nowakowski Warszawa ul. Nowo Bema 91/33 Data 18.11.1966r. W związku z likwidacją Okręgowego Oddziału w Warszawie i odejściem w związku z tym Obywatela z naszego przedsiębiorstwa, składamy Mu serdeczne podziękowania za długoletnią wytrwałą i owocną pracę w Zakładach Drzewnych Przemysłu Węglowego. Pieczęć: Zakłady Drzewne Przemysłu Węglowego Prezydium Rady Robotniczej- podpis Ludyga, P.O.P – podpis. Pieczęć: Zakłady Drzewne Przemysłu Węglowego Przedsiębiorstwo Państwowe Dyrektor napis i podpis mgr inż. P. Marcinek.

Jako wspomnienie po Zakładach Drzewnych Przemysłu Węglowego pozostały otrzymane odznaczenia państwowe. W roku 1955 - Medal 10-lecia Polski Ludowej oraz w roku 1964 - Złoty Krzyż Zasługi, a także dyplom uznania za długoletnią pracę z okazji XX-lecia Zakładów Przemysłu Węglowego 1945-1965 z podpisami Rady Robotniczej i Dyrekcji.

Utrata pracy w resorcie Ministerstwa Górnictwa, pociągnęła za sobą także utratę członkostwa w Związku Zawodowym Górników. Nie mogłem, zatem pełnić powierzonej mi funkcji przewodniczącego komisji rewizyjnej w Zarządzie Okręgu. Za pracę i działalność na tym terenie otrzymałem odznakę Tysiąclecia, a także cztery dyplomy w latach 1963, 1964 i 1966.

Pracując nie tylko zawodowo w Zakładach Drzewnych Przemysłu Węglowego, ale i społecznie w Związku Zawodowym Górników, miałem możliwość korzystania z dobrodziejstw, jakimi Związek ten dysponował. Odnosiło się to w szczególności do leczenia Helenki w sanatoriach w tym w Gołczynie w 1957 roku, które tak skutecznie wpłynęły na odzyskanie zdrowia Helenki, że 20 listopada 1958 roku, urodziła nam się szczęśliwie córeczka w Otwockim szpitalu. Gdy po urodzeniu odwiedziłem Helenkę w szpitalu, to usłyszałem skierowane do mnie pierwsze jej słowa, -o jak bardzo kocham to dziecko.

Zaraz zaczęły się w domu deliberacje, jakie temu dziecku nadać imię. Ja zaproponowałem, aby była Lidia, ale mama Helenki nieustępliwie obstawała przy imieniu Jolanta uzasadniając, że jej wnuk Janek też ma córkę Jolantę. Tak się upierała, że w końcu zgodziłem się, aby Lidia było drugim imieniem. Rodzicami chrzestnymi dziecka byli sąsiedzi: pani Kuciowa i pan Sawicki..

Po roku nasze dziecko zachorowało. Lekarz dał skierowanie do szpitala dziecięcego przy ulicy Litewskiej w Warszawie. Kuracja przebiegała szczęśliwie, co stwierdzaliśmy z Helenką podczas odwiedzin w szpitalu. Po kilkutygodniowym pobycie w tym szpitalu, maleńka Joleczka, nazywana przeze mnie Lizia (od Lidia) mogła wrócić do domu.

Wspominając zamieszkiwanie w Otwocku przy ulicy Prądzyńskiego w okresie od 22/IX.1944 do 25/VIII.1961 r. to jest przez niemal 27 lat, należy stwierdzić, że był to okres na ogół szczęśliwy, bez poważniejszych zmartwień. Mieliliśmy również przyjemność gościć tutaj członków naszych rodzin i krewnych zarówno Helenki jak i moich. Z mojej strony oprócz wspomnianego już brata Witolda, chrzestnego ojca Danusi, odwiedziła nas moja mama, przy okazji odwiedzin w warszawskim więzieniu syna, a mojego brata Adama. Skazany on był na karę śmierci za czasów komunistycznego reżimu za rzekomą współpracę z niemieckim okupantem, będąc w rzeczywistości członkiem podziemnej Armii Krajowej. Po obaleniu komunistycznej władzy w Polsce w 1956 roku, Adaś otrzymał Order Odrodzenia Polski. Odwiedził on nas bezpośrednio po zwolnieniu z więzienia. Ja odwiedzałem go w więzieniu dziesiątki razy. W kilka lat później, Adam dodał do swojego nazwiska Nowakowski swój wojenny pseudonim Nowina.

Ze strony Helenki, oprócz odwiedzin mieszkającego we Francji brata Franciszka, o czym była już wzmianka, niemal stałym gościem była jej mama. Teściowa moja zapisała się w mojej pamięci, jako wspaniały człowiek, kochająca nas matka, pomagająca ile miała sił. Urodzona była w 1890 roku. Mieszkała z nami około dziesięciu lat z przerwami. W tym okresie czasu zdarzył się pomiędzy nami jedyny „incydent”, gdy w mieszkaniu zdjąłem jej z głowy noszoną grubą chustkę, zawiązaną pod brodą. Bez słowa spojrzała wtedy na mnie z wymownym wyrzutem. Przez kila

miesiący mieszkała też w Otwocku sama, podczas pobytu Helenki z malutką Danusią w Wałbrzychu, w czasie, gdy tam pracowałem.

Obecność mamy w domu, pozwalała Helence mniej zajmować się pracami w gospodarstwie, a więcej czasu poświęcić na uganianie się za żywnością dla rodziny. Bardzo dużo czasu poświęcała też Helenka na szycie zarówno z nowych materiałów jak i przeróbkami odzieży otrzymywanej w paczkach nadsyłanych z Ameryki przez ciotkę Marię. Szycie dla rodziny, a częściowo i na sprzedaż to była praca Helenki przez wiele lat. Świadczą o tym także zachowane dotąd dziesiątki wyciętych z papieru form, służących do wykroju części odzieży. Cieszyła się zawsze każdą zarobioną w ten sposób sumą, bo moje wynagrodzenie, jakie otrzymywałem za pracę, nie wystarczało na utrzymywanie rodziny oraz stałe opłaty takie jak komorne, miesięczny bilet kolejowy i abonamenty włączając telewizyjny.

Zarabiane przez nas oboje pieniądze, trzeba było wydawać oszczędnie, a Helenka wykorzystywała każdą nadarzającą się do tego okazję. I tak na przykład na zbliżające się uroczyste święta, ciasta nie były kupowane, mimo, że kuchnia do gotowania była bez piecyka do pieczenia. Otóż Helenka dowiedziała się, że w cukierni Adamkiewicza na ul. Kościelnej, można było za opłatą upiec w piecu własne ciasto. Oczywiście z tego „dobrodziejstwa” przez cały czas zamieszkiwania w Otwocku Helenka korzystała. Blachy z surowym, a następnie upieczonym ciastem nosiła dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Niemal cała blisko dwu kilometra droga was w każdą stronę prowadziła chodnikiem i tylko jej mała część szła przez las.

Zupełnie inna droga prowadziła do rynku gdzie, co tydzień odbywały się targi. Rynek był nieco bliżej, ale połowa tej drogi to latem pod stopami głęboki piasek, a zimą nieraz do łydek śnieg. Taką drogę Helenka chodziła, co tydzień na targ, aby taniej kupić, a niekiedy coś sprzedać, ale również do sklepów znajdujących się do rynku gdzie wykupywała żywność sprzedawaną tylko na kartki. Wprawdzie w pobliżu naszego domu był sklep z żywnością, ale dostępny tylko dla milicji obywatelskiej (oficjalna nazwa policji). W takich warunkach, w dużej mierze, maleńką Danusią opiekowała się babcia, mama Helenki. Latem przy pięknej pogodzie, z powierzoną opieką, babcia nie miała większych kłopotów. W ogródku przed domem pod sosną, rozłożony koc służył za miejsce zabaw.

Po paru latach zamieszkiwania w domu przy ulicy Prądyńskiego, na parterze zmienił się nasz sąsiad z za ściany. Na miejsce rodziny Wójcickich wprowadziła się rodzina Kuciów. Głowa tej rodziny Kuć, zajmował bliżej nieznane stanowisko we władzach miasta. Od razu po wprowadzeniu, zaproponował nam pozostałym lokatorom, wspólne pokrycie kosztu zainstalowania na strychu domu motoru i pompy wodnej. Oczywiście wszyscy chętnie zgodzili i popłynęła wkrótce z kranów woda zimna oraz ciepła, ogrzewana w bojlerze znajdującym się nad kuchnią. Największą radość przeżywała kilkuletnia Danusia, gdy znalazła się w wannie z ciepłą wodą. Jej radosne pokrzykiwania mieszały się z podobnie wyrażaną radością dzieci sąsiada, kąpiących się po drugiej stronie ściany łazienki.

Od najmłodszych lat, gdy Danusia samodzielnie biegała przed domem a w niedziele i święta zabierana była do kościoła mszę świętą. Jednego dnia wracaliśmy trójką z kościoła i w połowie drogi, w lesie, na ścieżce, Danusia powiedziała, – nóżki mnie bołą. Wtedy Helenka zwróciła się do mnie, – weź ją na ręce. Na to odpowiedziałem, że przecież całymi dniami biega z dziećmi i nigdy nie mówiła, że nóżki ją bołą, a my idziemy nie dłużej niż pół godziny, to teraz też może iść dalej. Wtedy Helenka wzięła ją na ręce i tak poniosła do domu.

Pisząc o odbywanych podróżach służbowych wspominałem między innymi o kupionym w Siedlcach pięknie upierzonym kogutku z grzebieniem na główce jak różyczka. Pech sprawił, że kogutek ten polubił kury sąsiadki mieszkającej po drugiej stronie ulicy. Pozostawiał domowe towarzyski i tam spędzał większość dnia. To przebywanie kogutka u obcych, nie podobało się babci. Aby temu zapobiec, ucięła kogutkowi główkę. Gdy zobaczyła to maleńka Danusia, ogarnęła ją rozpacz i wybuchła niepokonanym płaczem. Uspokajanie i obiecywanie przez babcię kupna innego kogutka, nie odnosiło skutku, dziecko długo nie mogło się uspokoić. Żałoba po zabitym kogutku, pozostała na zawsze w pamięci dziecka.

Podobnie jak wszystkich zdrowych mężczyzn, również i mnie nie ominęła służba wojskowa. Ten obywatelski obowiązek pełniłem w budynku urzędu miasta Otwocka. Urzędowała tam komisja kwalifikująca mężczyzn pod względem przydatności do służby wojskowej. W skład tej komisji wchodził oficer wojska polskiego oraz lekarz. Do prac pomocniczych przy tej komisji powołano kilkunastu mężczyzn. Wszyscy otrzymaliśmy umundurowanie wojskowe, ale nie byliśmy skoszarowani. Po zajęciach wracaliśmy do domów. Na podstawie napisanych podyktowanych tekstów, znalazłem się w trójce zakwalifikowanych do wypełniania książeczek wojskowych. Funkcja pisarza została wpisana do mojej książeczki wojskowej.

W trakcie wypełniania tych książeczek spotkałem się z nazwiskiem Traciłowski, syn Michała. Od razu skojarzyłem sobie, że jest to syn mojego nauczyciela ze szkoły w Milżynie, w czasie, gdy byłem uczniem pierwszego oddziału. Zapamiętałem żonę tego nauczyciela, noszącą na rękę maleńkie dziecko. Zapytany chłopiec potwierdził, że ojciec pracował w Milżynie. Dodał przy tym, że obecnie mieszka z rodzicami w Falenicy. Inni powołani do służby w wojsku zatrudnieni byli przy dokonywaniu pomiarów wysokości (mój wzrost wynosił wówczas 181 cm), wdechów i wydechów klatki piersiowej i wazeniu. Z adnotacji zamieszczonych w książeczce wojskowej wynikało, że służba ta trwała przez sześć tygodni zaczynając od 15 marca 1949 roku, a do rezerwy zostałem przeniesiony z dniem 27.XII.1949 roku.

Latem 1952 roku, podczas pobytu na delegacji służbowej w Katowicach natknąłem się na wywieszone na tablicy ogłoszenie o naborze kandydatów do nauki w zaocznym technikum ekonomicznym. Od razu zdecydowałem pójść pod wskazany adres z zamiarem zapisania się na naukę. Gdy podczas rozmowy, rozmawiający ze mną mężczyzna dowiedział się, że mieszkam w Otwocku, podał mi adres tego typu szkoły w Warszawie przy ulicy Karolkowej. Po powrocie z delegacji i przeprowadzonej na ten temat rozmowie z Helenką, udałem się pod wskazany adres. Z otrzymanej informacji wynikało, że nauka w tym technikum handlowym, trwa przez siedem semestrów, po dwa semestry rocznie. Przyjęcia kandydatów do tej szkoły, odbywały się na podstawie złożonego podania o przyjęcie ze wskazaniem semestru rozpoczęcia nauki i z dołączonym świadectwem ukończenia szkoły podstawowej (dawniej powszechnej), a także zaliczenia egzaminów pisemnych i ustnych z języka polskiego i matematyki.

Po upływie dwudziestu lat od ukończenia szkoły powszechnej w Bodzanowie w roku 1932 złożyłem podanie o przyjęcie mnie do tego techniku na semestr trzeci. Od razu rozpocząłem przygotowania do czekających mnie egzaminów, a szczególnie do egzaminu z matematyki. Kupiłem odpowiednie podręczniki i po powrocie z pracy oraz w dni świąteczne po powrocie z nabożeństwa w kościele, wolny czas w domu poświęcałem na naukę i przygotowania do czekających mnie egzaminów.

Napisane przeze mnie na egzaminach prace pisemne zarówno z języka polskiego jak i z matematyki oceniono stopniem bardzo dobrym i to zaważyło, że ustnych egzaminów nie zdawałem. Zgodnie z prośbą zamieszczoną w podaniu zostałem przyjęty na semestr trzeci. Zajęcia w szkole w okresie roku szkolnego odbywały się w soboty i niedziele. Po niedługim czasie od rozpoczęcia nauki, szkoła z ulicy Karolkowej została przeniesiona na ulicę Szpitalną w Śródmieściu, co znaczenie skróciło moją drogę od dworca kolejowego. Zakres nauczania obejmował dwadzieścia przedmiotów, w tym większość zawodowych. Wykłady prowadzone były przez kilkunastu wykładowców z dyrektorem Jagodzińskim oraz dwiema bardzo sympatycznymi paniami w średnim wieku: pani Górna wykładała język polski i pani Majewska wykładała matematykę. Przedmioty zawodowe i polityczne w większości wykładali mężczyźni.

Zdarzyło się, że jeden z wykładowców przedmiotu zawodowego „zapomniał się” i w czasie swojego wykładu, przerwał rozpoczęty temat i rozpoczął atak na religię i duchowieństwo. Nie wytrzymałem i przerywając jego wykład zapytałem, czy słyszane wypowiedzi na temat religii mieszczą się w programie nauczania przedmiotu zawodowego. Oczywiście od razu przerwał swoje wypowiedzi na ten temat i wyraźnie zaskoczony powiedział tylko, że ludzkie uczucia i poglądy on zawsze szanuje i wrócił do omawiania przerwanej tematu zawodowego.

W miarę upływu czasu nawiązały się stopniowo między słuchaczami znajomości, a z czasem i przyjaźnie. Gdy z prowadzonych rozmów, dwie koleżanki dowiedziały się, że rozpocząłem naukę

od trzeciego semestru i nadal zamierzam skracać okres nauki, poprosiły mnie o zgodę na dołączenie się dla wspólnego omawiania przedmiotów i wzajemnej pomocy w realizacji tego przedsięwzięcia. Oczywiście zgodę na to wyraziłem i ta współpraca okazała się pomocną w nauce.

Wśród około dwudziestu słuchaczy, znalazł się też „działacz” z komunistycznej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jego gadulstwo również w czasie wykładów, nieraz było wręcz obrzydliwe. Na jednym z wykładów prowadzonych przez wykładowcę zaczął on głądzić coś na temat papieża. Wykładowca wtedy zadał mu pytania wiążące się z tematem wykładu. „Działacz” zaniemówił, nie potrafił odpowiedzieć. Wtedy ja zwróciłem się do wykładowcy, -może ja odpowiem? Wykładowca odpowiedział, - proszę. Odpowiedziałem na pytanie i zwróciłem się do „działacza” tymi słowami, - to trzeba wiedzieć, a nie głądzić o papieżu. Od tego czasu mijał on mnie bez słowa, ale... nieświadomie pomógł skrócić w czasie mój nadchodzący egzamin dojrzałości.

Otóż w dniu tego egzaminu, pamiętnego w moim życiu 1 lipca 1954 roku, idąc korytarzem w kierunku pokoju, w którym urzędowała komisja egzaminacyjna, spotkał mnie ten „działacz” i wymachując przede mną Trybuną Ludu (oficjalny organ komunistycznej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej) wykrzyknął, - w Związku Radzieckim uruchomiono pierwszą na świecie elektrownię atomową. Odwróciłem się bez słowa i po chwili wszedłem do pokoju komisji egzaminacyjnej. Widząc mnie, członek tej komisji, dyrektor zaocznego technikum Jagodziński, powiedział, -oto nasz przodownik nauki (z takim tytułem spotykałem się również podczas zajęć na sali).

Podchodząc do stołu, sięgnąłem po trzy zwinięte kartki z pytaniami i nie rozwijając położyłem je na stole przed przewodniczącym komisji. On, nie biorąc do ręki tych kartek, zapytał, - jaka jest ostatnia wiadomość ze Związku Radzieckiego? Na to odpowiedziałem, - uruchomienie pierwszej na świecie elektrowni atomowej. Odpowiedział, - dziękuję. Pozostali członkowie komisji, bez pytań, kolejno także podziękowali i egzamin był skończony. Ja również podziękowałem i wyszedłem z pokoju. Na otrzymanym świadectwie dojrzałości wymienionych było 20 przedmiotów z ocenami: 15- bardzo dobry i 5- dobry.

W rok później niż ojcu technikum, podwoje szkoły podstawowej, otworzyły się w 1953 roku, dla naszej siedmioletniej córeczki Danusi. Szkoła ta usytuowana była w odległości około jednego kilometra od naszego domu. Droga do tej szkoły pokrywała się na dużym odcinku z drogą prowadzącą do rynku w Otwocku, którą Helenka pokonywała chodząc na targi. Kierownikiem tej szkoły był nauczyciel o nazwisku Szajblet. Wychowawczyni dzieci w pierwszej klasie, nauczycielka w starszym wieku nazywała się Maria Balcerowicz. Dobrze się złożyło, że w tym roku, co Danusia, zaczęła naukę w tej szkole mieszkająca nieopodal córka adwokata Koziółkiewicz, Zosia. Przez wszystkie lata szkolne dziewczynki spotykały się codziennie i razem spędzały dużo czasu.

Biorąc udział w zebraniach rodzicielskich zwoływanych przez kierownika szkoły, nieraz zabierałem głos. To spowodowało, że wkrótce wybrano mnie do komitetu rodzicielskiego. Z kolei członkowie komitetu wybrali mnie przewodniczącym tego komitetu. Wielokrotnie pomagałem w organizowaniu wycieczek, w tym do Warszawy. Robiłem wtedy mnóstwo zdjęć Danusi z nauczycielkami, koleżankami i kolegami. Dużo z nich zachowało się. Przez dłuższy okres czasu współpraca pomiędzy komitetem i kierownikiem szkoły układała się bardzo dobrze. Jednak z upływem czasu kierownik szkoły działał samodzielnie w sprawach leżących w gestii komitetu rodzicielskiego. W takiej sytuacji, zebrania odbywały się nie dla podejmowania uchwał, a tylko, dla wysłuchania informacji kierownika o jego podjętych decyzjach. Obserwując bezsens uczestniczenia w tych zebraniach wycofałem się z tej działalności. Danusia uczyła się bardzo dobrze. Przechodziła z klasy do klasy każdego roku. Uczęszczała również do kościoła na katechizację. Na zakończenie nauki odbyła się w kościele uroczystość, w czasie, której Danusia przyjęła pierwszą Komunię Świętą.

Nawiązana znajomość z wychowawczynią Danusi panią Balcerowicz, przerodziła się wkrótce w szczerą przyjaźń, która przetrwała również przez lata, gdy Danusia uczyła się w innych szkołach. Po ukończeniu szkoły podstawowej Danusia została przyjęta do liceum ogólnokształcącego. Szkoła ta mieściła się w budynku dawnego kasyna gry, położonego na terenie parku w Otwocku. Odległość od tej szkoły do domu, w którym mieszkaliśmy nie przekraczała jednego kilometra. Również w tej

szkole córeczka nasza radziła sobie bardzo dobrze. Promocję do drugiej klasy otrzymała z dobrymi ocenami na świadectwie, które przyszło jej przedłożyć w innej szkole po naszej przeprowadzce z Otwocka do Warszawy w 1961 roku.

Dla podniesienia standardu bytowania staraliśmy się wyposażać nasze mieszkanie zarówno w meble jak i urządzenia ułatwiające i uprzyjemniające życie.

Sprowadzone zostały z Warszawy zamówione u stolarza meble pokojowe: dwuczęściowy kredens, wersalka, biblioteczka, stół i krzesła. Zakupiony został telewizor „Belweder”, który według rachunku z dnia 12.XII.1957 roku kosztował 1000 złotych. Zainstalowanie anteny telewizyjnej dokonała firma z Warszawy, kosztem 560zł. (zachował się rachunek z 14.XII.1957).

Zakupiony został też dwuosobowy motocykl z gumową trąbką sygnałową oraz automatyczna pralka z wirnikiem w dniu. Pierwsze pranie pralką, urządziliśmy na tarasie. Była to atrakcja także dla sąsiadów oglądających pranie bez tarcia rękami. Zarówno motocykl jak i pralkę, kupiłem na podstawie talonów otrzymanych ze Związku Zawodowego Górników. Otrzymanie talonu uprawniającego do zakupu przedmiotu niedostępnego na rynku, traktowane było, jako nagroda.

Bardzo atrakcyjnym nabytkiem był duży aparat radiowy, który w szczególności służył nam do nasłuchiwania wściekle zagłuszanych u nas w kraju audycji, a szczególnie wiadomości podawanych przez radio Wolna Europa i radio Londyn. Były to jedyne źródła wiarygodnych wiadomości o wydarzeniach w Polsce jak i na świecie.

W posiadanej biblioteczce gromadzone były latami dzieła autorów polskich i obcych ukazujące się zarówno w subskrypcji jak i w wolnym handlu. A oto ważniejsi autorzy posiadanych dzieł:

1. Korzeniowski Józef (8 tomów)
2. Łoziński Waler (4 tomy)
3. Mickiewicz Adam (Pan Tadeusz)
4. Norwid Cyprian (5 tomów)
5. Orzeszkowa Eliza (12 tomów)
6. Prus Bolesław (10 tomów)
7. Sienkiewicz Henryk (12 tomów)
8. Słowacki Juliusz (4 tomy)
9. Żeromski Stefan (23 tomy)
10. Byron (3 tomy)
11. Dostojewski Fiodor (5 tomów)
12. Dumas Aleksander (4 tomy)
13. Rolland Roman (4 tomy)
14. Szolochow Michał (2 tomy)
15. Tołstoj Lew (14 tomów)

Ponadto obok dziesiątek książek różnych autorów zgromadzonych z czasem w dwóch biblioteczkach, były takie pozycje jak:

- Pismo Święte Nowego Testamentu – 2 księgi
- 3 książki lekarskie
- 2 książki kucharskie
- Encyklopedia II wojny światowej

Praca w resorcie górnictwa i w konsekwencji przynależność do Związku Zawodowego Górników, decydująco wpłynęła także na układanie się naszych warunków bytowania. Będąc członkiem władz Okręgu tego Związku, niejednokrotnie wskazywałem na posiedzeniach odbywanych przez prezydium tego Okręgu, na niezwykle trudne warunki mojej pracy z powodu dużego oddalenia mojego miejsca zamieszkania przy ulicy Prądyńskiego od stacji kolejowej w Otwocku. Zwraçałem przy tym uwagę na szczególnie trudne warunki w okresie zimowym.

Biorąc pod uwagę istotnie trudne moje położenie, nowo wybrany, zaprzyjaźniony ze mną przewodniczący zarządu Okręgu tego Związku Janusz Grecki zainicjował i utworzył komisję, do której dobrał kierownika ekspozytury Stanisława Komara i przewodniczącego rady zakładowej



Edwarda Zareckiego. Komisja ta w dniu 21 lutego 1961 roku dokonała wizji lokalnej w naszym mieszkaniu w Otwocku. W konsekwencji sporządzony został protokół z opisem stanu tego mieszkania.

Protokół ten posłużył mi za podstawę do wystąpienia pismem z dnia 27 lutego 1961 roku do Ministerstwa Górnictwa i Energetyki o przydzielenie czteroizbowego mieszkania w Warszawie. W odpowiedzi Ministerstwo wyraziło zgodę na przydział takiego mieszkania, wskazując trzy adresy wolnych mieszkań: na Muranowie, na Żeraniu i na Woli. Po obejrzeniu z Helenką tych mieszkań, zdecydowaliśmy zamieszkać na Woli. Było to mieszkanie czteroizbowe o powierzchni ponad 57 metrów kwadratowych na pierwszym piętrze z balkonem od strony południowej. Dawna nazwa ulicy Nowo Bema została przemianowana najpierw na Rewolucji Październikowej i w końcu na Aleję Prymasa Tysiąclecia, numer domu 91 i numer mieszkania 33. Po uzyskaniu decyzji Wydziału Kwaterunkowego o przydzieleniu lokalu mieszkalnego z dnia 24.VII.1961 r., przeprowadzka z Otwocka do tego mieszkania nastąpiła w dniu 26.VIII.1961r. Do przewozu wynajęty był samochód ciężarowy Ministerstwa Górnictwa i Energetyki. Mieszkanie to zostało wykupione na własność na podstawie aktu notarialnego z dnia 16.XI.1976 roku.

## POLKAT



Jak już wspomniałem pracę w Zakładach Drzewnych Przemysłu Węglowego zakończyłem w październiku 1966 roku. Najbardziej bolesnym następstwem deglomeracji Zakładu była natychmiastowa utrata źródła środków na utrzymanie rodziny, bowiem nastąpiło to bez wypowiedzenia pracownikom pracy i bez żadnej odprawy. Z tego też względu, poszukiwanie pracy rozpocząłem niezwłocznie po otrzymaniu wiadomości, że zostałem bezrobotnym.

Śledząc w gazetach ogłoszenia o przyjęciach do pracy, natknąłem się na ogłoszenie o poszukiwaniu rewidenta przez Społeczne Zakłady Przemysłowo Handlowe „Polkat” przy ulicy Mokotowskiej. Po przeprowadzonej rozmowie z dyrektorem tych Zakładów, Marianem Różycem, zdecydowałem się podjąć tam pracę w charakterze rewidenta. Pracę w Polkacie rozpocząłem 2 listopada 1966 roku. Bezpośrednim moim przełożonym był kierownik działu rewizji Tadeusz Krynicki. W dziale tym zatrudniony był również drugi rewident do kontroli od strony technicznej. W skład Polkatu wchodziły trzy zakłady produkcyjne w Warszawie, Wrocławiu i Wojcieszowie koło Jeleniej Góry oraz pięć zakładów usługowych w Warszawie, Krakowie, Katowicach, Wrocławiu i Gdyni.

Po kilkudniowym zapoznawaniu się ze strukturą organizacyjną i obowiązującymi w Polkacie przepisami, otrzymałem na piśmie zarządzenie o przeprowadzeniu rewizji w Zakładzie Mechaniczno-Elektrycznym w Warszawie przy ulicy Szczęśliwieckiej z oddziałem przy ulicy Płockiej. Zakład ten produkował piekarniki do wypieku ciast. Kontrola ta trwała przez ponad miesiąc czasu. Napisany przeze mnie protokół zawierał około stu stron. Podpisany przez dyrektora i przeze mnie, przekazałem kierownikowi działu rewizji, a ten z kolei oddał ten protokół naczelnemu dyrektorowi. I zaczęło się. Dyrektor wezwał mnie do siebie i zwrócił mi protokół ze swoimi krytycznymi adnotacjami na marginesach stron. Ostatnia adnotacja, którą zapamiętałem, składała się z czterech wyrazów: „nie mogę dalej czytać”. Było to napisane na stronie około połowy protokołu. Główny postawiony mi zarzut był w pytaniu, dlaczego nie spowodowałem usunięcia i uporządkowania stwierdzonych i opisanych nieprawidłowości i nieporządków, zamiast to wszystko opisywać w protokole. Na ten zarzut odpowiedziałem, że po pierwsze rewident nie ma uprawnień do wydawania w jednostce kontrolowanej poleceń, a po drugie, gdyby stan, jaki w trakcie rewizji stwierdziłem, nie został ujawniony, pan dyrektor miałby faktyczny stan przedstawiony w fałszywym świetle.

Pokój dyrektora opuszczałem z niepokojącymi myślami, co będzie dalej? Wkrótce po przedstawionej wyżej rozmowie, w dniu 14 stycznia 1967 r., poprosiłem dyrektora o rozwiązanie umowy o pracę, potwierdzając tę prośbę pismem z tą datą. Pismo to jednak nie zostało przyjęte.

Z datą 26/1.1967 otrzymałem pismo powołujące mnie z dniem 15/1.1967 na stanowisko kierownika działu rewizji z wynagrodzeniem 2800 zł plus premia regulaminowa i plus 500 zł za tak zwany dodatek rewidencki. Stanowisko to bezpośrednio podlegało naczelnemu dyrektorowi, na równi ze stanowiskami zastępców naczelnego dyrektora do spraw technicznych i do spraw ekonomicznych oraz głównego księgowego. Po tak krytycznej ocenie pierwszej mojej pracy, otrzymany awans, to była dla mnie wielka, przyjemna niespodzianka. Poprzednik po przejętym przeze mnie stanowisku oraz rewident zostali przeniesieni do Zakładu Robót i Chemio-odpornych w Warszawie. Do działu rewizji zostali przyjęci Stanisława Burcicka i Jan Kozłowski. Będąc kierownikiem tego działu, również przeprowadzałem kontrole, zarówno wspólnie z rewidentami jak i samodzielnie.

Bodajże pierwszą moją kontrolę po objęciu tego stanowiska przeprowadziłem w kierownictwie robót (k.g.z.) w Częstochowie (placówka ta w późniejszym okresie została zlikwidowana). Pobyt w tym mieście przez kilka dni trwającej kontroli utrwalił się głęboko w pamięci, w skutek wielkiego wzruszenia, jakie przeżywałem podczas wieczornych nabożeństw w klasztorze na Jasnej Górze. Wywoływały to momenty odsłaniania i zasłaniania cudownego Obrazu Matki Najświętszej.

Podczas kontroli przeprowadzanych w Zakładzie Robót Antykorozyjnych i Termoizolacyjnych w Krakowie, zawsze, też ze wzruszeniem odwiedzałem zarówno katedrę na Wawelu jak i kościół Mariacki. Na msze święte wieczorne, chodziłem do kościoła położonego najbliżej hotelu, w którym każdorazowo mieszkalem podczas pobytu w tym mieście. W kościele tym, na mszy świętej wieczornej, codziennie spotykałem grupę składającą się, z co najmniej 20 młodych chłopców, ubranych w habity. Spoglądając na ich twarze, wzbudzali oni u mnie zawsze uczucie szczerego podziwu.

Najwięcej czasu na przeprowadzenie kontroli, spędziłem we Wrocławiu. Kontrolowałem tam nie jeden raz zarówno Zakład Mechaniczno- Elektroniczny jak i Zakład Robót Antykorozyjnych i Chemoodpornych. W wyniku tych kontroli, w obu Zakładach następowały zmiany na stanowiskach kierowniczych, z dyrektorami włącznie.

Częstotliwość przyjazdów i długie pobyty we Wrocławiu sprawiały, że w recepcji hotelu „Panorama” zawsze spotykałem się z przyjaznym uśmiechem i zawsze mogłem liczyć na wolny pokój. Jedyny to hotel, w którym każdego dnia była zmieniana bielizna pościelowa. W pobliżu tego hotelu była wspaniała Panorama Raclawicka, a dalej kościół św. Wojciecha, gdzie bywałem na porannych mszach świętych. Pewnego dnia o zmierzchu, przechodząc przy tym kościele, zobaczyłem, że do budynku stojącego obok, wchodzi młodzi ludzie i schodami idą na piętro. Pomyślałem, – pójde i ja. Wszedłem na pierwsze piętro i przez otwarte drzwi do sali zobaczyłem siedzącego przy stole księdza, a wokół siedzącą młodzież. Wszyscy utkwili we mnie wzrok, a ja od

razu przedstawiłem się i dodałem, że mieszkam w Warszawie, a we Wrocławiu przebywam na delegacji. Powiedziałem też – jeśli ksiądz pozwoli, chętnie włączę się do waszego grona. Na moją prośbę, od razu usłyszałem zaproszenie. Początkowo rozmawialiśmy o naszych miastach a później i o polityce. Widać było, że szybko zdobyłem ich zaufanie. W przyjaznym nastroju rozmawialiśmy, co najmniej dwie godziny. Dnia następnego i w dniach następnych, msze świętą odprawiał przy bocznym ołtarzu ten poznany kapłan i podawał Komunię świętą. Ten sam poznany we Wrocławiu ksiądz podał mi Komunię świętą w kościele na Żoliborzu w kilka dni po zamordowaniu księdza Popiełuszki.

Korzystając z wolnego czasu we Wrocławiu, często odwiedzałem księgarnie, a jeszcze częściej antykwariaty, gdzie nieraz szperałem, aby coś ciekawego znaleźć. Pewnego dnia, zobaczyłem wysoko na półce potężną księgę w futerale. Poprosiłem księgarza o podanie, ale on uprzedził mnie mówiąc, – to droga księga. Niezrażony poprosiłem o podanie. Była ciężka. Jej tytuł: Dziesięciolecie Polski Odrodzonej 1918-1928. Zapytałem o cenę i padła odpowiedź. Wymienił sumę, a ja pomyślałem, – gdyby podał dwukrotnie wyższą i tak księgę tę bym kupił. Nadal oglądałem ją z rozrzwinięciem.

W pogodne, ciepłe dni po pracy wychodziłem nieraz do parku z książką w ręku. Jednego dnia spotkałem siedzących na trawie dwóch mężczyzn, w starszym wieku, a obok stała pełna butelka denaturatu. Gdy po pewnym czasie wracałem tą samą drogą, z daleka usłyszałem powtarzające się wycie, zupełnie jak wycie psa. Zbliżając się do miejsca, gdzie spotkałem tych mężczyzn, zobaczyłem tarzającego się po ziemi pijaka, który nieustannie wył. Butelka leżała pusta.

Zdarzyło się, że z jakiś powodów, pozostałem we Wrocławiu na niedzielę. Tego dnia rano poszedłem na msze świętą do wielokrotnie odwiedzanej katedry. Jest tam w bocznym ołtarzu po lewej stronie, przepiękny obraz Matki Najświętszej. Podobizna tego obrazu, obok obrazka Chrystusa Miłosiernego z napisem ‘Jezu ufam Tobie’, od wielu lat znajduje się nad moim biurkiem. Wracając z katedry po mszy świętej zobaczyłem, że w kościele stojącym w pobliżu katedry otwarte było wejście do kościoła dolnego. Od razu tam wszedłem i trafiłem tam na mszę świętą odprawianą w języku ukraińskim. Po jej skończeniu, przechodząc koło cerkwi prawosławnej, znów pomyślałem, – wstąpię i tutaj. Również i tu trafiłem na nabożeństwo, które odprawiane było w języku rosyjskim. Trwało jeszcze długo, gdyż modlitwy były śpiewane.

Po zakończeniu długotrwałej kontroli w zakładzie na terenie Wrocławia, przyszła kolej na skontrolowanie działalności zakładu miejscowego. Kontrola ta trwała długo, prowadziłem ją samodzielnie. W wyniku tej kontroli zostały ujawnione nadużycia. Do jakiego stopnia przestępcy liczyli na bezkarność, niech świadczy między innymi fakt pokrycia z kasy zakładu nie tylko rachunku za meble, ale i również zapłacenie rachunku za przewóz tych mebli do prywatnego mieszkania.

Były również inne dowody wyraźnie świadczące o popełnionych nadużyciach. I tak na przykład ewidencja przedmiotów nietrwałych znajdujących się w biurze zakładu, prowadzona była w sposób wskazujący na machinacje. Dla przykładu: kilka identycznych szafek wiszących na ścianie w biurze zakładu przed biurkiem księgowej, które ta osoba ta wyceniła po różnej cenie. W protokole z kontroli napisałem, nie wymieniając nazwiska, że księgowa ta musiała zdawać sobie sprawę z czynu, jaki popełniła i w nawiasie dodałem (oszustwo). Księgowa poczuła się obrażona i wniosła do sądu na mnie skargę za pomówienie.

W pierwszej instancji pani sędzina przerywała mi podczas składania wyjaśnień. obrońca mój nie był zupełnie zaznajomiony z tą sprawą. Główne usprawiedliwienie dla mnie widział w tym, że wyraz oszustwo umieściłem w nawiasie. Wyrokiem tego sądu, zostałem skazany na karę grzywny z zamianą w razie nieściągalności na karę aresztu. Od tego wyroku oczywiście inny już obrońca, złożył odwołanie do sądu wojewódzkiego. Na rozprawę sąd ten wezwał zarówno skarżącą jak i mnie. W przeciwieństwie do atmosfery, jaka panowała podczas rozprawy w sądzie powiatowym, u pani sędziny sądu wojewódzkiego nietrudno było dopatrzeć się właściwej postawy i traktowania w odniesieniu do obu stron. Wyrokiem tego sądu zostałem uniewinniony.

Na podstawie protokołu z przeprowadzanej kontroli, Dyrekcja Naczelna Polkatu skierowała doniesienie do władz o ujawnionych w zakładzie nadużyciach. Niedługo potem otrzymałem

wezwanie do wstawienia się w komisariacie milicji, w celu złożenia zeznania dotyczącego ustaleń zamieszczonych w protokole z przeprowadzonej kontroli. Przesłuchiwany byłem przez dwie młode, sympatyczne funkcjonariuszki. Na początku uzgodniliśmy, że ze względu na moje dolegliwości serca, zeznanie składać będę w dniach o nieokreślonym czasie. Po pewnym czasie przesłuchiwała mnie w charakterze świadka młoda prokurator. Jej również wspomniałem o swoich sercowych dolegliwościach.

Wezwanie na rozprawę w sądzie otrzymałem w czasie lekkiej poprawy zdrowia. Przed rozprawą pani prokurator poinformowała mnie, że o moich kłopotach zdrowotnych rozmawiała z sędzią, a on na to odpowiedział, że mogę zwrócić się o zezwolenie składania zeznań siedząco. Nie skorzystałem z takiej możliwości. Pierwszego dnia, jako pierwszy i jedyny świadek oskarżenia, zeznanie składałem do zakończenia sesji. Następnego dnia zeznawałem do godzin południowych. W trakcie przedstawiania sądowi moich ustaleń zamieszczonych w protokole kontroli, obrońca głównego oskarżonego usiłował kilkakrotnie zdezwuować moje wypowiedzi. W pamięci pozostały dwie takie próby. Pierwsza to jego pytanie, – dlaczego protokół nie jest podpisany przez drugiego rewidenta wymienionego we wstępie tego protokołu. Na to pytanie odpowiedziałem, –z tego pytania wynika, że pan obrońca nie do końca przeczytał ten protokół. Następnie zwróciłem się do sądu, – wysoki sąd pozwoli, że odpowiedź panu obrońcy przeczytam z protokołu. W odpowiedzi usłyszałem, - proszę. Odczytałem, –„obywatel... nie podpisał tego protokołu, ponieważ w międzyczasie został zwolniony z pracy”. Podczas kontynuowania swojego zeznania, postawiłem zarzut przedwczesnego zlikwidowania przedmiotu nietrwałego. Wtedy obrońca wtrącił, że przedmiot ten był zakupiony w roku... i zlikwidowany po roku użytkowania, bo w roku... Na to przeczytałem z protokołu, że przedmiot był zakupiony 31 grudnia, a zlikwidowany na początku roku następnego.

Jeszcze jeden szczegół prawdopodobnie niespotykany w sali sądowej. Oto podczas toczącej się rozprawy siedzący na ławie oskarżonych mężczyzna głośno zachrapał. Człowiek w średnim wieku, pokaźnej tuszy, pracujący w zakładzie od lat.

Nazajutrz po zakończeniu przeze mnie składania zeznań, otrzymałem przez telefon od pani prokurator podziękowanie za udział w rozprawie mimo złego stanu zdrowia. Nie omieszkała też wyrazić swojego zadowolenia z moich odpowiedzi na pytania i zarzuty, wysuwane przez obrońcę głównego oskarżonego. Proces zakończył się wydaniem przez sąd wyroków skazujących. Kara głównego oskarżonego określana była ilością lat pozbawienia wolności.

Działalność kontrolna nas pracowników działu rewizji, nie ograniczała się tylko do ujawniania stwierdzonych w podległych Dyrekcji Naczelnej zakładach nieprawidłowości. Zdarzały się również fakty zwracania się dyrektorów zakładów do naczelnego dyrektora Polkatu o pomoc w ustaleniu prawdy w przypadkach pomówień.

Tak postąpił dyrektor Zakładu Polkat w Wojcieszowie, gdzie produkowano anteny telewizyjne. Został on oczerniony przez zwolnionego z pracy głównego księgowego. W wyniku przeprowadzonej w Zakładzie kontroli stwierdziłem, że wysunięte i rozpowszechniane zarzuty, są fałszywe. Pokazałem to niedwuznacznie w protokole.

W czasie podróży służbowych dużo było przeżyć i wątków osobistych. Tak było i w Wojcieszowie. Otóż po pracy w Zakładzie i spożyciu posiłku przy pięknej pogodzie, wybrałem się na spacer w kierunku pobliskich gór. Po dojściu do góry najbliższej zacząłem z dużą łatwością wchodzić coraz wyżej i wyżej, nie oglądając się do tyłu. Gdy po pewnym czasie wspinaczki, zmęczony już, zatrzymałem się i obejrzałem do tyłu struchlałem z przerażenia. Ujrzałem, bowiem przed sobą przepaść. Przebyta pod górę droga, była tak strona, że nie widziałem żadnej możliwości zejścia z powrotem, nawet gdybym chciał na nogach i rękach. Przede mną o kilkanaście kroków pod górę, była skalna ściana. Bliski rozpaczy postanowiłem iść dalej, aby do tej ściany dotrzeć. Wspinaczka zabrała mi jeszcze sporo czasu, zanim przy tej ścianie się znalazłem. Ocenilem na oko, że była wysoka na kilka metrów, ale od razu zobaczyłem po środku zwisający od góry łańcuch. Silnie przeze mnie szarpany trzymał się mocno. Wspinaczka przy pomocy tego łańcucha nie trwała już długo. Szczęśliwy po paru krokach, znalazłem się na uczęszczanej polnej drodze.

Z przykrym pomówieniem, spotkał się również dyrektor Zakładu Robót Antykorozyjnych i Termoizolacyjnych „Polkat” w Gdyni, Mirosław Szpotański. Tym razem „siewcą” pomówienia był

członek rządzącej partii, zasiadający we władzach miasta Gdyni. O mój udział w kontroli dla ustalenia prawdy, dyrektor Szpotański zwrócił się do naczelnego dyrektora Polkatu. Pojechałem, zatem na kontrolę do tego Zakładu po raz pierwszy. Ponieważ „siewca” stawiał zarzuty w imieniu „pokrzywdzonych” robotników, poprosiłem dyrektora Zakładu, aby niezwłocznie wysłał pisma do brygadzystów pracujących na budowach z powiadomieniem o prowadzonej w biurze zakładu kontroli. Odbiór tego pisma, brygadziści winni pisemnie potwierdzić i odwrotnie poinformować pisemnie, o zgłaszanych, lub niezgłaszanych przez robotników roszczeniach płacowych. W międzyczasie przeprowadziłem w biurze zakładu kontrolę dokumentacji płacowej. Zarówno moja kontrola nie wykazała nieprawidłowości jak również od brygadzystów nie było informacji o zgłaszaniu roszczeń.

Wyniki tych ustaleń, przedstawiłem na naradzie po rewizyjnej, w której udział wziął również „siewca”. Nie miał on jednak nic do powiedzenia. Na koniec otrzymał ode mnie odpowiednie „podziękowanie” za wprowadzenie w Zakładzie zamętu. Dla nikogo nie było tajemnicą, że celem jego działania było pognać gorącego patriotę i opozycjonistę, dyrektora Zakładu

W okresie swojej pracy w Zakładach Przemysłowo Usługowych „Polkat”, kontrole przeprowadzałem zarówno osobiście jak i z udziałem rewidentów we wszystkich Zakładach podległych Naczelnej Dyrekcji. Były to przeważnie kontrole pełne, a tylko niekiedy cząstkowe. W wyniku tych kontroli, niewątpliwie wzrosła w Zakładach dyscyplina finansowa, ale też niektórzy dyrektorzy i pracownicy ponieśli przykre konsekwencje. Oprócz opisanego procesu w Warszawie, odbył się również proces kierownictwa we Wrocławiu. Osobiście kontrolowałem nie tylko Zakłady w kraju, ale także niektóre budowle prowadzone za granicą. Byłem na budowach prowadzonych w Czechosłowacji, Niemieckiej Republice Demokratycznej, Niemieckiej Republice Federalnej i na Węgrzech. Kontrole na budowach za granicą trwały tylko kilka dni gdyż zagadnień do zbadania było niewiele.

Podczas kontroli przeprowadzonej na budowie w Czechosłowacji, stwierdziłem drobne nieprawidłowości. Po zakończeniu tej kontroli kierownik budowy zaproponował mi przejazd do Wrocławia samochodem z robotnikiem, który mieszkał w tym mieście. Oczywiście chętnie z tej okazji skorzystałem. Po przyjeździe na miejsce, robotnik- kierowca podając mi paczkę, powiedział, - pan kierownik podał to dla pana. Na to zawahałem się, co mam zrobić? Przyjąć czy nie? Ale od razu pomyślałem, że jeśli nie przyjmę robotnik może skłamać i powiedzieć, że przyjąłem, bo nikt tego nie będzie sprawdzał i dlatego przyjąłem. Na drugi dzień po przyjeździe do biura w Dyrekcji Naczelnej, połączyłem się telefonicznie z biurem Zakładu we Wrocławiu i poprosiłem o podanie mi adresu domowego kierownika budowy. Adres ten po chwili otrzymałem i tego samego dnia, przekazem pocztowym wysłałem na podany mi adres, orientacyjną wartość otrzymanego alkoholu.

W październiku 1978 roku prowadziłem kontrolę na budowie we Frankfurcie nad Odrą. Idąc przed wieczorem ulicą, spotkałem naszych robotników tam pracujących. Od razu zatrzymali mnie i zawołali, – proszę pana! Kardynał Wojtyła z Krakowa wybrany został papieżem! Zaskoczony tą wiadomością, powątpiewałem o tym wyborze, ale oni energicznie przekonywali mnie, że to jest prawda. Zaraz szybko udałem się do zajmowanego pokoju w hotelu i natychmiast włączyłem radio na krótkie fale i Wolną Europę. Usłyszałem wtedy tak silne zagłuszenie, jakiego nigdy w kraju nie słyszałem, a przecież niemal codziennie na tę rozgłośnię radio nastawiałem. Czekałem niecierpliwie do godziny dwudziestej, aby wysłuchać dziennika radiowego z Warszawy. Wysłuchałem wiadomość do końca, jednak o wyborze papieża żadnej wzmianki nie było. Nazajutrz w niedzielę, wybrałem się przez most na Odrze na mszę świętą do kościoła w Słubicach. Miałem nadzieję, że spotkam tam księdza i zapytam o ten wybór. Nie udało mi się, bo ksiądz po mszy świętej niemal biegiem zdążył z kościoła do plebani. Dopiero następnego dnia po wyborze, mogłem usłyszeć przez radio z Warszawy, że papieżem został wybrany Polak, kardynał Wojtyła. Przez cały czas pobytu we Frankfurcie, na falach radia Wolna Europa słychać było tylko potężne wycie.

W Niemieckiej Republice Federalnej, pobyt mój trwał kilka dni. Tam nasi robotnicy pracowali w hali przy warsztatach. Byli tak zaabsorbowani pracą, że ani na chwilę nie przerywali pracy i nie rozmawiali. Właściciele tego zakładu byli niezwykle uprzejmi i gościnni. Zarosili mnie oraz kierownika tych robót, do wykwiutnego lokalu na obiad gdzieś na wsi daleko od miasta.

Kierownik robót raczył się tam ślimakami. Przyjazdy pociągami na tę placówkę były męczące. Trasa prowadziła przez Berlin i Stuttgart, gdzie były przesiadki, a na dwóch granicach państwowych, odprawy celne.

W siedemnastoletnim okresie zatrudnienia na pełnym etacie w Zakładach Przemysłowo Usługowych Polkat, moimi przełożonymi na stanowisku naczelnego dyrektora byli: Marian Różyc, mgr Zdzisław Pielak, mgr Jan Belina, mgr Zygmunt Matuszak i inżynier Krzysztof Gawlicki.

W tym okresie czasu zmieniały się nazwy zajmowanego przeze mnie stanowiska, a mianowicie:

-2.XI.1966- 14.I.1967 rewident

-15.I.1967- 30.IX.1973 kierownik działu rewizji

-I.X.1973- 28.II.1976 naczelnik wydziału rewizji

-I.III.1976- 31.XII.1983 główny specjalista do spraw rewizji

Wynagrodzenie podstawowe w tym okresie czasu zmieniane było jedenastokrotnie od 2.400 zł do 8.400 zł

W późniejszym okresie dwuletniej pracy na pół etatu w charakterze specjalisty do spraw rewizji, przełożonym był kierownik działu rewizji Babulewicz. Na tym stanowisku pracowałem od 1.I.1984 do 31.XII.1985. Wynagrodzenie ryczałtowe początkowo wynosiło 5400 zł po roku zostało zwiększone do 7.560 zł.

Pisząc o wysokości wynagrodzeń, należy wyjaśnić, że w wyniku rewaloryzacji złotówki, jaka została przeprowadzona wkrótce po opisywanym okresie czasu, wartość złotówki w nowym pieniądzu została określona na 3 grosze. Przed zakończeniem pracy na pół etatu, zwróciłem się do dyrektora Gawlickiego pismem z dnia 9.IX.1985 roku z prośbą o zatrudnienie mnie na budowie zagranicznej. Motywem zgłoszenia chęci podjęcia pracy za granicą, był fakt kilkakrotnie wyższych wynagrodzeń w porównaniu z płacami otrzymywanymi w kraju. Ponadto szacując na przykład w Niemieckiej Republice Demokratycznej, gdzie Polkat prowadził roboty na kilku budowach, była możliwość zaopatrywania się i przewożenia do kraju towarów, których u nas brakowało, a które łatwo można było sprzedać ze znacznym zyskiem.

W odpowiedzi na moją prośbę, otrzymałem pismo z dnia 30.IX.1985 roku następującej treści: „Obywatel Nikodem Nowakowski specjalista do spraw rewizji DN ZPU „Polkat” w odpowiedzi na podanie Obywatela z dnia 1985.09.9 w sprawie zatrudnienia na budowie zagranicznej- Dyrekcja Naczelna ZPU „Polkat” z przykrością informuje, że nie może zatrudnić Obywatela na budowie zagranicznej z uwagi na brak wolnych etatów. Naczelny Dyrektor- podpis – inż. Krzysztof Gawlicki”.

Jednocześnie z tą samą datą 30.IX.85r. otrzymałem drugie pismo podpisane przez dyrektora inż. Gawlickiego, którego pierwszy akapit zawiera następującą treść: „ W związku z likwidacją stanowiska specjalisty do spraw rewizji na ½ etatu – Dyrekcja Naczelna ZPU „Polkat” wypowiada Obywatelowi umowę o pracę z dniem 30 września 1985r. i rozwiązuje stosunek pracy z dniem 31 grudnia 1985r.”.

Skierowana do dyrektora inż. Gawlickiego moja odpowiedź na przytoczone wyżej oba pisma, zawarta była na trzech arkuszach formatu A4. Na wstępie swojego pisma, zwróciłem uwagę, że pismo Dyrekcji o wypowiedzeniu mi umowy o pracę z datą 30/IX.1985 otrzymałem 1/X.1985, mimo, że powszechnie wiadomo, iż doręczone wypowiedzenie umowy o pracę nie może działać wstecz. A oto wyjątki treści odpowiedzi skierowanej do dyrektora Gawlińskiego.

‘W kilkunastoletniej działalności w ZPU „Polkat” w zakresie eksportu, jest to wypadek bez precedensu, ażeby na wniosek pracownika o skierowanie go do pracy za granicą (mój wniosek w tej sprawie z 1985.09.09) otrzymał wypowiedzenie umowy o pracę. Wypadek ten jest tym bardziej znamieny, że dotyczy pracownika posiadającego dziewiętnastoletni staż nienagannej pracy w ZPU Polkat. Dlatego też proszę o zmianę rażąco krzywdzącej mnie decyzji’.

‘Uzasadnienie odmowy skierowania mnie do pracy za granicą, zawarte w piśmie Dyrekcji Naczelnej z 1985.09.30, znak NK/200/85, jest w moim przeświadczeniu wykrętne. Jest powszechnie wiadomo a tym bardziej Obywatelowi Naczelnemu Dyrektorowi sprawą znaną, że zatrudnianie za granicą pracowników ( w tym również umysłowych) odbywa się w ogromnej większości przez

stosowanie zasady rotacji, a tylko w nieznaczej części w wyniku powstawania nowych stanowisk pracy. Biorąc powyższe pod uwagę, w swoim podaniu nie wskazałem, w jakim czasie chciałbym za granicą pracować. O aktualnych możliwościach w tym zakresie Obywatel Naczelny Dyrektor może łatwo dowiedzieć się m.in. przez skierowanie mnie do przeprowadzenia rewizji zagadnień eksportu w jednostkach ZPU Polkat Przeprowadzone w przeszłości kontrole tego zagadnienia wykazały liczne przypadki łamania przepisów obowiązujących przy wysyłce osób do pracy za granicą”

‘W przedstawionych okolicznościach z największą goryczą zapoznałem się z treścią pisma odmawiającego mi możliwości zatrudnienia za granicą. Jest to dla mnie tym bardziej niezrozumiałe, biorąc pod uwagę, że np. jeden z byłych pracowników rewizji (również emeryt czy rencista) po kilkuletniej nieobecności w pracy, został skierowany do pracy w eksporcie’.

Po otrzymaniu wyżej cytowanego w części mojego pisma dyrektor Gawlicki wystosował do wszystkich zakładów prowadzących pracę za granicą pismo o rozpatrzenie możliwości zatrudnienia mnie. Na to pismo pozytywną odpowiedź nadesłał dyrektor Zakładu Robót Antykorozyjnych i Termoizolacyjnych w Gdyni Mirosław Szpotański.

Tak, więc moja praca w Dyrekcji Naczelnej ZPU Polkat zakończyła się definitywnie w dniu 31 grudnia 1985 roku. W ponad dziewiętnastoletnim okresie zatrudnienia w tym zakładzie pracy od 2.XI.1966 do 31.XII.1985), przeprowadziłem ponad 100 kontroli w ośmiu podległych Naczelnej Dyrekcji zakładach. Były w tym również budowy prowadzone w Czechosłowacji, Niemieckiej Republice Demokratycznej, Niemieckiej Republice Federalnej i na Węgrzech.

W wyniku ujawnionych podczas kontroli nadużyć zeznawałem, jako świadek na rozprawach sądowych, w Warszawie sześć razy, we Wrocławiu pięć razy i raz w Krakowie. Z przyjemnością należy odnotować, że obok przypadków nieuczciwości, były też oznaki i dowody życzliwości i przyjaźni owych dyrektorów i pracowników zakładów. Świadczyły o tym otrzymywane pocztą karty z życzeniami z okazji świąt i zaproszenia na organizowane imprezy i uroczystości.

Do pracy w Niemieckiej Republice Demokratycznej, wyjechałem z początkiem 1986 roku pociągiem przez Gdynię, a stamtąd dalszą podróż odbyłem samochodem zakładu. Trasa prowadziła przez Szczecin do granicy państwowej i dalej do miasta

Greiswald. W mieście tym na ulicy Kemnutzer Wende 2A, w domu na pierwszym piętrze, otrzymałem pokój z wejściem z korytarza. W innych pokojach mieszkali również pracownicy Polkatu, w tym kierowca samochodu. Mieliśmy wspólną kuchnię i wspólną łazienkę.

Praca prowadzona była na budowie elektrowni atomowej w miejscowości Lubmin oddalonej od Greifswaldu około 20 km i tam codziennie dojeżdżaliśmy samochodem. Wejście na teren budowy, oczywiście było tylko z przepustką. Biuro Polkatu, w którym pracowałem, mieściło się w baraku. Wraz ze mną pracowały jeszcze dwie osoby oraz w oddzielnym pokoju kierownik naszej ekipy, Zbigniew Miedziński.

Na podstawie zawartej w dniu 30/XII.1985 roku umowy o pracę za granicą wynagrodzenie moje zostało ustalone na 1240 marek niemieckich i 3500 złotych miesięcznie oraz bezpłatne zakwaterowanie i jeden posiłek dziennie. Z upływem czasu wynagrodzenie moje było podwyższone na 1400, 1560 i 1725 marek oraz 3900 zł. Dla orientacji: bank PKO przyjmował wkłady w relacji 9,61 marki = 1 dolar.

Z zachowanego dokumentu wynika, że w okresie od miesiąca lipca 1986 roku do końca grudnia 1987 roku to jest w ciągu 18 miesięcy wyjeżdżałem do domu 24 razy. Za każdym razem zabierałem ze sobą zakupione towary. Z deklaracji przedkładanej do kontroli na granicy państwowej wynikało, że łączna wartość tych towarów przewiezionych do kraju wynosiła 1832 marek. Oczywiście ceny w deklaracji podawało się zaniżone, aby nie zostały skonfiskowane, ze względu na obowiązujące ograniczenia wprowadzone przez władze niemieckie.

Wolny czas w Greifswaldzie, w dużej mierze spędzałem na dokonywaniu zakupów. W soboty przyjeżdżał polski ksiądz z Berlina i odprawiał Mszę Świętą w katolickim kościele. Niemal wszyscy obecni, to polscy robotnicy z budowy elektrowni atomowej. Bywało, że tylko ja jeden przyjmowałem Komunię Świętą. W niedziele Msze Święte w tym kościele, odprawiane były w języku niemieckim. Będąc na miejscu, również w tych Mszach, zawsze uczestniczyłem. Rzuciło się w oczy, że Niemcy Komunię Świętą przyjmowali na rękę.



Wracając jednej niedzieli z kościoła, mimochodem rozwiązywałem znajomość z małżeństwem niemieckim. Byli to przesiedleńcy ze Szczytna, miasta w województwie olsztyńskim. Gdy się dowiedzieli, że znam to miasto, zawsze oczekiwali na mnie przed kościołem i razem wracaliśmy prowadząc przyjacielską rozmowę częściowo po polsku, częściowo po niemiecku.

Zdarzyło się też, że podczas niepodzielnej Mszy Świętej, odbyła się uroczystość złożenia przez dziewczynę ślubów zakonnych. Na tę uroczystość przybył niemiecki prymas, kardynał Meisner. Po zakończeniu Mszy Świętej, kardynał rozebrany z szat liturgicznych, szybko stanął przy drzwiach wyjściowych i ścisnął rękę każdemu wychodzącemu z kościoła podając swoje zdjęcie z Janem Pawłem II. Gdy ja podszedłem, podczas jego uścisku powiedziałem po niemiecku, - pozdrowienia z Polski! Na to odpowiedział, - szczęście Boże!

Mieszkając w Greifswaldzie, miałem przyjemność gościć przez tydzień u siebie, wnuczkę mojego ukochanego brata Adasia, Mirosławę (Mirusię), zamężną Olejnik. Wcześniej umówiliśmy się na spotkanie na peronie stacji kolejowej w Szczecinie, gdzie Mirusia z mężem oczekiwała na mój przyjazd pociągiem z Warszawy. Do tego pociągu wsiadła Mirusia i bez przeszkód przejechaliśmy granicę państwa.

Z zakwaterowaniem w Greifswaldzie nie było trudności. Mirusia otrzymała pościel na wolne łóżko w moim pokoju oraz klucze do drzwi. W godzinach mojej pracy, mogła dysponować czasem do woli. Po pracy czas spędzaliśmy na odwiedzaniu sklepów, a także na spacerach, również poza miasto. Jednego dnia zwiedzaliśmy również Berlin. Czas pobytu Milusi szybko upłynął i w umówionym dniu pojechaliśmy do Szczecina. Tu wracając Mirusię witali: ojciec, mąż i synek Kubuś. Do domu wracali samochodem, a ja do Greiswaldu pociągiem.

Kończył się drugi rok mojej pracy za granicą. Była to praca stosunkowo wysoko wynagradzana i dlatego na zapytanie kierownika Miedzińskiego, czy reflektuję na dalszą współpracę odpowiedziałem twierdząco. Decyzja o dalszym zatrudnieniu należała jednak do naczelnego dyrektora Polkatu, pana Gawlickiego. Ponieważ z otrzymanych informacji wynikało, że dyrektor Gawlicki nie zgadza się na dalsze zatrudnienie mnie, kierownik ekipy Polkatu na budowie pan Miedziński wystosował prośbę do dyrektora Gawlickiego o wyrażenia takiej zgody. Uzasadnienie tej prośby wraz z pozytywną opinią o mojej pracy, zajmowało dwie strony maszynopisu.

W piśmie tym, również ze strony AHZ Budimex finansującego Polkat na tej budowie, widnieje adnotacja, że odwołanie pracownika odpowiedzialnego za gospodarkę finansową przed rozliczeniem kontraktu jest niewskazane i że do mojej pracy zastrzeżeń nie zgłasza (otrzymana kopia pisma, zachowała się). Wszystkie wystąpienia i zabiegi nie odniosły skutku. Dyrektor Gawlicki na dalsze zatrudnienie mnie na budowie nie zgodził się. Biorąc pod uwagę fakt bardzo dobrych stosunków, jakie łączyły mnie z dyrektorem Gawlickim przez kilka lat współpracy, rodzi się pytanie, co wpłynęło na tak radykalną zmianę.

Wydaje się, że odpowiedź może być tylko jedna, a mianowicie: wyniki kontroli, jaką przeprowadziłem w dyrekcji naczelnej Polkatu. Było to u schyłku mojej pracy na pół etatu, gdy zwróciłem się do dyrektora Gawlickiego z pytaniem, w którym zakładzie mam przeprowadzić kontrolę. Na to odpowiedział, - w dyrekcji naczelnej. Zdumiałem się na tę odpowiedź, a on powtórzył, - w dyrekcji naczelnej.

Przystąpiłem, zatem do kontroli. Głównym zagadnieniem, które poddałem badaniu była gospodarka samochodowa. Z kart drogowych wynikały nieuzasadnione przejazdy samochodem, a w szczególności jazdy dyrektora Gawlickiego. Jako przykład wykazałem w protokole jego przejazd do Gdyni, mimo, że na tej trasie kursowały pociągi ekspresowe. Koszt przejazdu samochodem w porównaniu z ceną biletu kolejowego był oczywiście znacznie wyższy, a ponadto kierowcy wypłacono dietę należną mu za czas spędzony w podróży. Z treści protokołu wynikało niedwuznacznie, że ujawniając stwierdzone nieprawidłowości, kierowałem się obowiązującymi przepisami, bez względu na to, kto miał przepisy te przestrzegać. Że tak było zawsze, nie jeden dyrektor zakładu Polkat, po mojej kontroli musiał opuścić zajmowane stanowisko.

## 25 LAT PÓŹNIEJ



Warszawa maj 2003. Helenka i Nikodem Nowakowscy z kwiatami gotowymi do wysadzenia na balkonie.

Od tego czasu minęło ponad ćwierć wieku. 31 października 2003 roku, w wieku 84 lat, odeszła moja ukochana Helenka. W kilka miesięcy później po tym najtragiczniejszym momencie w moim życiu, za namową moich córek, zacząłem pisać wspomnienia w brulionie, aby przez nie nieustająco być z moimi najbliższymi osobami, z którymi szedłem przez życie i aby moim córkom: Danusi i Joli, wnukom: Maćkowi, Marysi, Julii i Maksymilianowi, jak również całej dalszej rodzinie zostawić rodzinne ślady przeszłości. Patrząc na stare fotografie i dokumenty wracam do tych dawnych czasów, nucę dawne kujawskie piosenki i wspominam zasłyszane wiersze.

Jak mało jest w życiu dobroci,  
A tyle jej światu potrzeba.  
Nią ziemia jak słońcem się złoci,  
Nią ziemia się zbliża do nieba.  
Potęga jej w sercu poczęta,  
Nie mija bezpłodnie i marnie,  
Sieroty i polne ptaszęta  
Litośnie pod skrzydła swe garnie.

## ZDJĘCIA RODZINNE

### KUJAWY



Milżyn 1930. Dom rodzinny.







Jedność/Adolfin 1932. Przed naszym domem.  
Ojciec z mamą i Ewą. Od lewej, Nikodem, Kazia, Witold i Fela.



Bodzanów 1932. Szkoła powszechna. Pierwszy od lewej  
Nikodem; pierwsza od prawej w drugim rzędzie od góry-Kazia.



Bodzanów 1932 roku. Przedstawienie szkolne. Pierwszy od lewej siedzący Nikodem przebrany za czarownicę.



Jedność/Adolfiń, 1937.

Wymarsz z domu do kościoła.

Janina (Jaśka, żona Adama), ojciec, Nikodem, Witold (ostatni).



Jaśka i Nikodem.





Zdjęcie rodzinne. Siedzą rodzice z Felą i jej dziećmi. Od prawej stoją: Jaśka, Adam, Nikodem, Ewa, Witold i mąż Feli-Józef Rybacki.



Zdjęcie rodzinne. Rodzice z Kazią (od lewej), Ewą z mężem i Jaśką.



Mama z Jaśką.



Nikodem z bratem Witoldem i jego dziećmi.



Okolo 1960. Nikodem z mamą.

## POŻEGNANIE KUJAW



Maciejowice 1939. Nikodem z siedzącym Adamem i kolegą Adama.



Maciejowice 1939. Nikodem (stoi) z inżynierem Wojtko (pierwszy z lewej), kierownikiem budowy mostu przez Wisłę.





Maciejowice 1937. Przejazdka po Wiśle. Nikodem z Jaśką, żoną Adama i ich córeczką Tereską.



Świerże Górne 1939. Wycieczka: Nikodem ( z prawej) z Adamem (od lewej) i kolegami Adama.



Świerże Górne 1939. Wycieczka: Nikodem z Adamem.



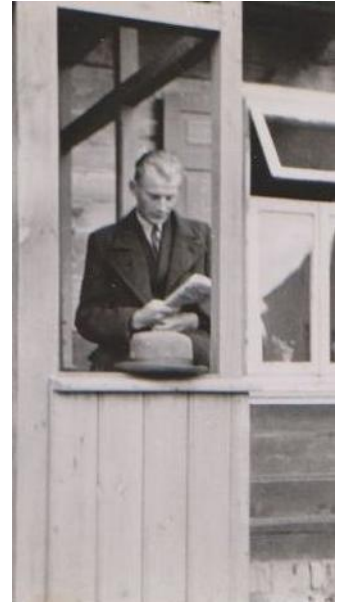
Pozdrowienia  
z Garwolina

Garwolin 1939.



Na spacerze...  
1939

Nikodem z Adamem i małą Tereską.



Garwolin. Nikodem w mieszkaniu Adama i Jaśki.



Garwolin. Nikodem z Adamem na spacerze.





dam z Jašką.



Jaška z Tereską.



Ostrowiec Świętokrzyski 1941.  
Nikodem przed domem gdzie mieszkał.



Wieś Boiska 1941. Nikodem  
w składnicy z kopalniakami.



Tarnogród 1941.



Majdan Sieniawski 1942. Na tartaku.

## OLESZYCE



Helenka Żeniuch.



Helenka na łyżwach.



Helenka z Hanią Iwanicką.



Helenka ze swoim ulubionym kotem.





Nikodem z Helenką.



Ślub w kościele parafialnym w Oleszycach, 12 luty 1944.

## ZDJĘCIA RODZINNE HELENKI ŻENIUCH



Oleszyce 1912. Rodzice i dziadkowie Helenki. Stoją: Maria (z domu Hass) i Jan Żeniuch. Siedzą: Ewa (z domu Osiowa) i Szymon Żeniuch, rodzice Jana. Dzieci Marii i Jana Żeniuch: Zofia (1 rok) i Franciszek (Franek, 2 lata).





Maria Żeniuch, około 1912.



Jan Żeniuch, około 1912.



Ewa Żeniuch (z domu Osiowa), około 1907.



Oleszyce 1926. Ewa i Szymon Żeniuch (dziadkowie Helenki). Stoją: Helenka (7 lat), jej siostra Zofia (15 lat) i brat Franek (16 lat). Pośrodku: Jan Żeniuch (ojciec Helenki).



Helenka z mamą.

Franek Żeniuch, brat Helenki.





Helenka Żeniuch z koleżankami ze szkoły w Przemyślu, 1935-1938.



Oleszyce 1937. Dwa zdjęcia zrobione w czasie wizyty Marii i Anny Żeniuch, sióstr Jana Żeniucha, mieszkających na stałe w Stanach Zjednoczonych. Zdjęcie z lewej strony: Od lewej: Maria i Anna Żeniuch, Maria Żeniuch (mama Helenki) z synem Frankiem. Zdjęcie z prawej strony: Maria Żeniuch z córką Zofią Koscielinską i jej dziećmi Janem (6 lat) i Marianem (1 rok).



Maria Żeniuch (siostra Jana Żeniucha) w swoim mieszkaniu w Stanach Zjednoczonych, około 1950.

## OTWOCK



Okolo 1945. Helenka w ogródku i na tarasie domu, gdzie mieszkaliśmy przy ulicy Prądyńskiego.



Wizyta Jaśki, żony Adasia, z córką Tereską.





Helenka w nowym kapeluszu.



Nikodem z Helenką.



Lato 1946. Chrzest naszej córeczki Danusi.



Helenka z Danusią.



Okolo 1951. Helenka ze swoją mamą i Danusią.





Okolo 1952. Helenka, Nikodem, mama Helenki i Danusia z lalką od Franka, brata Helenki.







1957. Mama Helenki, Helenka, Nikodem i Danusia.



Komunia Danusi.



Helenka na naszym motocyklu (WFM).



Otwock 1959. Helenka z naszą córeczką Jolą.



Otwock 1961. Jola w parku.



Komunia święta Joli.





Warszawa 1961. Na balkonie nowego mieszkania. Helenka z Danusią i Jolą.



Warszawa 1961. Na balkonie nowego mieszkania. Nikodem z Jolą.



Katowice 1961. Nikodem Nowakowski przemawia na VI Krajowym Zjeździe Delegatów Związku Zawodowego Górników.